427

3,60

# *RODZINA ROQUEVILLARDÓW*

HENRYK BORDEAUX
Z AKADEMJI FRANCUSKIEJ

# RODZINA ROQUEVILLARDÓW

(Les Roquevillard)

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
EMILJI GODLEWSKIEJ

POZNAŃ
WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA NAKŁADOWA KAROLA RZEPECKIEGO
1925

Printed in Poland

CZCIONKAMI DRUKARNI LUDWIKA KAPELI W POZNANIU

# CZĘŚĆ PIERWSZA

# I

## WINOBRANIE

Ze szczytu wzgórza, ku widniejącym na zboczu, wśród szeregów winnej latorośli robotnicom, spłynął dźwięczny głos pana Franciszka Roquevillard.

— Wieczór za pasem! Dalej, dzieci, żwawo.

Głos był życzliwy, lecz rozkazujący. Drgnęły żywiej wszystkie ręce, pochyliły się ramiona opieszałych robotnic. Pan Roquevillard dodał wesoło:

— Rano, żwawsze są od skowronków, a popołudniu gadają jak sroki.

Zabrzmiał ogólny śmiech.

— Tak, panie adwokacie.

Nie zwano nigdy inaczej właściciela la Vigie. La Vigie jest piękną posiadłością, z lasem, polami uprawnemi i winnicą, na skraju gminy Cognin, o trzy czy też cztery kilometry od Chambéry. Wiedzie doń boczna drożyna poprzez łąki i spróchniały most na rzece Hyère. Folwark góruje nad traktem lyońskim, łączącym niegdyś Sabaudyę z Francją. Miano swoje — la Vigie — Czaty — zawdzięcza wieży, która strzegła wzgórza, a z której nie pozostało nawet śladu. Jest od kilku stuleci własnością rodziny Ro-

quevillardów, która majątek powiększała stopniowo, jak świadczy o tem złożony z przybudówek dwór i zabudowania folwarczne — całość wątpliwej harmonji, lecz wyrazista jak twarz starca, streszczająca w sobie wszystkie przeżyte lata. Z rodu wiernego ziemi ojczystej, Roquevillardowie dali krajowi samych prawników: adwokatów, sędziów, prezydentów dawnego Senatu prowincjonalnego, wreszcie przy nowym trybunale apelacyjnym radcę, który odrzucił był wszelkie awanse, byle tylko nie opuszczać rodzinnego kąta. Okolica zwała ich wszakże bez różnicy adwokatami, jak gdyby nadając temu mianu osobliwie zaszczytne znaczenie. Blisko czterdziestoletnia praktyka adwokacka, głęboka wiedza prawnicza i porywająca wymowa szczególniej jednały serca ludzkie obecnemu właścicielowi.

Prosto wyciągnięte szeregi winnej łozy ułatwiały dozór nad ludźmi. Barwa liści zdradzała już październik, a bliższe plany wysuwały się światlejszym konturem na bledszym błękicie nieba: la Mondeuse w zieleni i złocie, le Grand Noir i la Douce Noire w zieleni i purpurze. Wśród powodzi listowia nęciły oko ciemne plamy gron winnych. Z nożem w krwawych dłoniach, chyżym ofiarnikom podobne, robotnice ścigały grona jak ofiary na rzeź wydane, obcinały je jednem cięciem i rzucały do kosza. Wszystkie miały dla wygody podkasane i z tyłu spięte spódnice, a na głowach pstre chustki dla ochrony przed słonecznym żarem. Od czasu do czasu, jedna z nich, wyprostowana, wynurzała się z gęstwiny jak karp, łaknący powietrza — i znów zapadała w głąb. Były tam staruchy, żylaste i pomarszczone, powolne i z plecami w kabłąk, lecz wytrwałe i czujne, siłące się dotrzymać kroku młodszym, bardziej poszukiwanym. Młode dwudziestoletnie dziewczęta, żwawe

i zręczne, odważnie złociły w słońcu twarz i odsłonięte ramiona, a niedorosłe dziewuszki, mniej wytrzymałe, zmieniały co chwila miejsce, psuły kolej lub siadały poprostu na ziemi z hałaśliwym śmiechem swawolnych pensjonarek i wdzięczną giętkością okalającej je zewsząd winnej łozy. Na samym końcu, umorusane po oczy dzieciaki, winobrały na własny rachunek, wrzeszcząc i popychając się wzajemnie.

W pół zbocza, na drodze wiodącej do folwarku, wóz zaprzężony w parę krasych wołów czekał cierpliwie chwili odjazdu. Ładowano go niemal w milczeniu, poważnie, bez figlów i przyśmiechów. Młodzi chłopi nosili wzorem strzelców alpejskich białe berety, a na nogach owijki, co uwydatniało smukłość postaci i zwinność ruchów. Przesuwali kij z twardego drzewa w uszy kadzi, pełnej po brzegi, dźwigali na ramiona i lekko kołysząc, ustawiali na wozie. Schylony nad kadziami stary, siwy chłop, dogniatał wino, a gdy prostował niekiedy znużony grzbiet, z rąk jego ociekał kroplami krwawy moszcz winny.

Wprost la Vigie, zmierzch powlekał już mrocznym cieniem wzgórza Vimines i Saint-Sulpice, bliskie pasmo gór Lépine, na których jarzą się co dnia ostatnie łuny zachodu — i niżej, krętą doliną Saint-Thibaud de Couse i Echelles. Lecz winnica gorzała jeszcze złotem i purpurą. Jasnością zórz paliły się barwne chusty robotnic, ciemne rogi wołów, biała broda i spocona gęba przodownika na wozie, energiczna twarz pana Roquevillarda pod szerokiemi skrzydłami kapelusza — i wyniosła dzwonnica w Montagnole i jaskrawo lśniący, niczem złocista korona, legendarny szczyt Mont-Granier.

Skupione przy ostatnich paru szczepach, robotnice obcinały resztę gron. Wreszcie stary Jeremiasz tryumfalnie obwieścił z wozu:

— Już wszystko, panie adwokacie.

— Wiele wozów?

— Dwanaście.

— Dobry rok, rzekł właściciel.

A gdy śladem wołów ruszyła cała gromada, dodał:

— Teraz na mnie kolej. Chodźcie tu wszyscy.

Zwarte kolisko niewieście otoczyło niebawem pana Roquevillarda, który wetknął w ziemię gruby, ciężko okuty kij i wyciągnął z kieszeni sakiewkę, pełną miedziaków i srebrnej monety. Na widok pieniędzy umilkły najgadatliwsze kumoszki. Poważnie, w skupieniu, rozpoczęła się wypłata. Nieco z tyłu, szyby czy też dachy odbijały jasną czerwień słonecznych blasków.

Z przyjazną poufałością wszystkie nazywał po imieniu, gdyż znał najstarsze z dawnych lat, a młode pamiętał dziećmi. Każda usłyszała też miłe słówko, jako dodatek do dziennej płacy, i każda odpowiadała w zamian:

— Dziękuję panu adwokatowi.

Leniuchom dostawała się nagana, dotkliwa, choć wypowiedziana niby żartem, bo czujne oko pańskie na wszystko baczną zwracało uwagę. Dzieciaki, z których więcej było szkody niż pożytku, otrzymały również po parę groszy, pan Roquevillard lubił bowiem dzieci i nigdy ich nie pomijał.

— Te, którym się już nic nie należy, niechaj przejdą na lewo — rzekł po chwili — abym znów nie zaczynał od początku.

— Nikomu by to nie zaszkodziło — odparła ze śmiechem hoża, ośmnasto czy też dwudziestoletnia dziewczyna.

Z gołą głową, jak gdyby na przekór słońcu, trochę roztargana, niełądna, o szerokich ustach i gminnej twarzy, promieniała jednak krasą młodości, blaskiem oczu i cerą złotawą, jak winne grona, pyłem świetlistym kalane. Pan Roquevillard przyjrzał się jej uważnie.

— Ale też prędko wyrosłaś, Kasiu! A kiedy ślub?...

Dziewczyna zapłoniła się z uciechy.

— Jeszcze mi czas.

— Ehe, niedadzą ci siedzieć, Kasiu.

Poczem, płacąc, dodał poważnie:

— Bądź uczciwa, dziewczyno. Cnota więcej warta od urody.

— O tak, panie adwokacie — przytwierdziła bez wahania.

Pod koniec wypłaty, właściciel ogarnął wzrokiem całą gromadkę i zapytał:

— Czy wszyscy już dostali.

— Tak, wszyscy, odpowiedziało wesoło dwadzieścia głosów.

— Jeszcze la Fauchois — zawołał jakiś dzieciak, pokazując palcem stojącą na uboczu starą, jak gdyby zawstydzoną i czemś upokorzoną niewiastę.

Lecz głos jego przebrzmiał przez nikogo niesłuchany i nikt nie upomniał się za pominiętą.

— Zatem dobrej nocy wszystkim — dodał pan Roquevillard. — Za dnia jeszcze dojdziecie do Saint-Cassin i do Vimines.

— Dobrej nocy panu adwokatowi.

Wsparty na kiju, zdala widny, patrzył na sylwetki robotnic, jak ostro zrazu zarysowane na tle nieba, malały coraz bardziej, roztapiały się w mroku, aż znikły wreszcie zupełnie. Tylko głosy dzwoniły z dołu. Jedna partja poszła ku Vimines, druga w lewo ku Saint-Cassin. Niebawem ozwał się od Saint-Cassin chór, rozwlekły, o monotonnej, smętnej zwrotce. Słońce zachodziło za góry.

Nieruchoma obok pana, la Fauchois nie mówiła nic, nie domagała się niczego.

— Piotrusiu — rzekł szorstko pan Roquevillard.

Zwróciła ku niemu twarz nietyle starą, co zbolałą i pooraną bruzdami.

— Panie Franciszku — szepnęła.

— Masz pięć franków. Idź z Bogiem.

— To jest za trzy dni — odparła nędzarka — a mnie należy się za jeden.

— Bierz, kiedy ci daję. A córka twoja?

— Wyjechała do Lyonu.

— Czy ma jakie zajęcie?

Stara opuściła bezradnie obie ręce i nic nie odrzekła.

— Trzeba, żeby pracowała.

— Od wyroku, niema już dla niej pracy. Złodziejka!

Adwokat przytoczył okoliczności łagodzące:

— Kradła przez próżność, przez lekkomyślność, przez głupotę. Może się jeszcze poprawić. Z czego żyje?

— A z czegóż pan chce, żeby żyła. Toć wiadomo, z chłopów.

— Skąd wiesz o tem?

— Posłałam jej zrazu trochę grosza, niedużo, byle wyżyć. Odesłała mi z powrotem wszystko i jeszcze kupę papierków, które spaliłam.

— Które spaliłaś?

— Tak, panie Franciszku, bo to była cena hańby...

Oburzenie wyprostowało nagle zgiętą postać starej chłopki, która ukazała się w pełnem świetle, groźna, z dłonią wyciągniętą, jak gdyby oskarżać chciała własną ciężką dolę:

— Nie wiem, skąd się taka wzięła. Nie było dotąd gałgaństwa w naszej rodzinie. Teraz tylko wstyd i zgryzota na stare lata.

— Nie twoja wina, Piotrusiu.

Zaprzeczyła głową:

— Zawsze jest wina rodziny. Sam pan to mówił.

— Ja?

— Tak, przy mnie, do Julki, przed wyrokiem. Już wówczas bałam się o nią. I dlatego przyprowadziłam ją panu na rozmowę.

— Pamiętam. Cóż jej wtedy powiedziałem?

— Że kto wychodzi z uczciwego gniazda, musi się sam szanować. Bo w rodzinie wszystko jest wspólne, ziemia i długi, cnota i występek.

— Nikt nie może cisnąć w ciebie kamieniem.

— A jednak ciskają — i słusznie. Całe szczęście, że mój stary wcześniej umarł.

— Byłby cię obronił.

— Byłby ją zabił.

— A ty, kochasz ją zawsze?

— Toć to dziecko moje.

— Odwagi, kobieto, nie rozpaczaj. Póki człowiek żyw, póty zło może odrobić. Wracaj do domu. Ja idę do tłoczni, dojrzeć kadzi.

— Dziękuję panu, panie Franciszku.

Z dawna używana w la Vigie do prania, do robót przy winnicy, a niekiedy i przy kuchni, la Fauchois nawykła do pewnej poufałości w stosunku; stąd owo tytułowanie dziedzica panem Franciszkiem.

Po jej odejściu, pan Roquevillard nie kwapił się z powrotem. Miłosnem wejrzeniem ogarniał całą — ścielącą mu się u stóp posiadłość: ogołocone winnice, których złoto i czerwień odżyje znów w winie, w przeźroczu kielichów; łąki dwukośne; sady — a poza bezimiennym strumieniem, dzielącym gminy Cognin i Saint-Cassin — las dębowy i bukowy, w jesiennej krasie barw; jak w otwartej księdze, odczytywał w ziemi dzieje swojej rodziny. Taki to a taki pradziad kupił to pole, inny zasadził oną winnicę, on sam przekroczył granicę gminy aż po kres tego leśnego gąszczu, który domagał się trzebieży. Zwróciwszy oczy na fermę, patrzył na chłopską chatę pierwszych Roquevillardów, zamienioną z czasem na wozownię i porównywał ją z obecnym domem mieszkalnym, dużym i jasnym, zdobnym w jaskrawe festony dzikiego wina. W tem samem miejscu, był to ten sam ród, lecz wzmożony materjalnie i moralnie przez cnoty swoje, pracę i zapobiegliwość. Oddał mu cześć, powtarzając słowa starej la Fauchois:

— Zawsze jest to zasługa lub wina rodziny.

Jego rodzina dostarczyła nadto krajowi ludzi równie zdatnych do służby publicznej jak do rządzenia własnem mieniem. To też pokolenia wspierały się wzajemnie, dla wspólnego dobra. Czyż ci, co byli przed nim, nie ułatwili mu zadania? Ziemia, po której stąpał, ich pracą została zdobyta. Rozległy widnokręg niegdyś przykuwał i zachwycał ich oczy, tak, jak przykuwa i zachwyca jego własne. Z trudem oderwał wzrok od fermy, by spojrzeć

raz jeszcze, tak, jak oni patrzyli, na całokształt zarysów i barw krajobrazu, jednakowo im wszystkim bliski i drogi. Gdyż kultura przeistoczyć może zewnętrzną szatę ziemi, lecz człowiek nie jest mocen zmienić ni światła, ni przestrzeni; dodaje tylko gdzieniegdzie wzruszające szczegóły: dach, nad którym unoszący się dym przywodzi na myśl słodycz domowego ogniska, drogę lub płot jako wyraz urządzeń i ładu społecznego, strzelistą wieżę kościelną jako symbol modlitwy.

W wieczornej ciszy napawał się radosnem odczuciem spójni z całą przeszłością swego rodu, ze wszystkimi, którzy żyli i umierali na tym kawałku ziemi. Wprost niego, pasmo gór Lépine, z wyniosłym szczytem Sygnału, żarzyło się ognistą czerwienią. Spoglądał kolejno na równinę, ku widniejącej w dali drodze Echelles, której strzegą z dwu stron — niczem straż honorowa — ostatnie górskie zwały: na skalną ostrą grań gór Corbelet, Joigny i Granier, wreszcie na pobliskie wzgórza, o łagodnych, tarasowatych zboczach. W tym szczególniejszym krajobrazie, odnajdywał cechy pokrewieństwa z ludźmi swojej krwi: zuchwałe męstwo dziada, żołnierza Wielkiej Rewolucji, i niedbałą o dobro ziemskie zadumę ojca, który, popadłszy w mistyczny nastrój, nadszarpnął mimowoli świętą spuściznę przodków.

„Nikt inny — myślał — nie może patrzyć stąd tak, jak ja na zachodzące słońce. Dopiero kiedyś, gdy mnie już nie będzie, jedno z moich dzieci uchwyci znów wątek tych zestawień — jedno z moich dzieci, które podejmą z kolei ten sam trud i będą uczciwymi ludźmi".

Siła tradycji, własne jego życie dodawały mu wiary w przyszłość. Pogrążony w myślach, nie spostrzegł idącej

ku niemu od strony domu kobiety. Okryta ciemnym szalem, niemłoda już niewiasta szła wolniutko, ciężko opierając się na lasce. Różowa od wieczornych zórz, niegdyś piękna jej twarz najpierw zdumiewała, następnie pociągała niezwykłym wyrazem czystości i słodyczy. Było to wierne odbicie duszy prawej, obcej wszelkiemu brudowi, może nawet trochę mistycznej.

— Czy nie idą jeszcze? — zapytała pani Roquevillard męża.

— Owszem, Walentyno, już idą.

Oboje mówili o dzieciach. Wskazał jej w dole, na stromej drodze, liczną gromadkę. Na czele szło dwoje malców, które babka zaraz poznała:

— To Piotruś i Adrjanka. Idą na przełaj. Ale nie widzę małego Julka.

— Pewno trzyma za rękę ciocię Małgosię, której nie odstępuje ani na krok.

— Istotnie, patrz, tam, między Małgosią a jej narzeczonym. Gdzie to wlazł, szkaradny chłopak. A jego matka?

— Idzie za nim, spokojnie jak zwykle, z Hubertem.

— Z naszym starszym chłopcem. A czy widzisz krzyż na jego piersiach?

Pan Roquevillard spojrzał z uśmiechem na żonę.

— Na tę odległość? Też pomysł!

Z kolei roześmiała się i ona:

— O, jaka wielka czerwona wstęga na górach!

— I czytasz na niej: Hubert Roquevillard, lat dwadzieścia ośm, porucznik marynarki, odznaczony krzyżem walecznych, przedstawiony do awansu za kampanję chińską i za obronę Peitangu.

— A tak — przyświadczyła — zupełnie wyraźnie.

Znów spojrzała na drogę:

— A Maurycy? nie widzę go.

— Idzie, zdaje się, z tyłu, z jakąś drugą osobą.

Pani Roquevillard, zadowolona, położyła rękę na ramieniu męża:

— To pewno nasz zięć, Karol Marcellaz. Nie brak nikogo. Zawsze rachuję ich wszystkich, jak niegdyś, kiedy byli mali: Germaine, Hubert, Maurycy, Małgorzata.

— Tylko Felunia nigdy nie staje do apelu — zauważył półgłosem.

Cień smutku zmroczył mu twarz: ocknęła się zawsze żywa tęsknota za drugą córką, Felicją, która jako siostra miłosierdzia, hen za morzami, pielęgnowała chorych w szpitalu w Hanoi.

Pani Roquevillard tkliwiej wsparła się na mężu:

— Ależ nie, Franku, i jej także tu nie brak. Wszak ona duszą z nami: czuję to, jestem tego pewna. Po powrocie z Chin mówił Hubert, że szczęśliwa jest i zadowolona z losu. A przyjdzie czas, że połączymy się wszyscy.

Opanował wzruszenie i począł znów wyliczać:

— To nie Karol idzie z Maurycym. To jakaś kobieta. Minęli ścieżkę, idą naokoło.

— Może to pani Frasne. Czy widzisz jej męża?

— Tak, to ona. Ale niema rejenta.

— Przyjdzie później z Karolem. Ich kancelarje czynne do szóstej.

— Oboje Frasne'owie będą dziś u nas na obiedzie, wszak prawda?

Jęła tłómaczyć się, jak gdyby z popełnionej winy:

— Ach, tak. Maurycy, który często tam bywa, nalegał koniecznie, żeby ich zaprosić.

Milczeli chwilę, jednaką pochłonięci troską.

— Nie lubię tej kobiety — rzekła wreszcie.

Zdziwiony, nie samą uwagą, lecz tem, iż wypowiedzianą została przez istotę, będącą uosobieniem pobłaźliwości, zapytał mimowoli:

— Dlaczego?

Pani Roquevillard podniosła ku niebu jasne oczy:

— Nie wiem sama. Nie wiem, skąd tutaj przywędrowała, boję się dowiedzieć, dokąd zajść potrafi. Nie jest piękna, a jednak — na jej widok — matki drżą o synów, żony o mężów.

— Co ci się troi po głowie! Któż ci o tem mówił?

— Nikt. Przeczuwam to, co wiem. Kto modli się szczerze, ten jest zwykle dobrze poinformowany. Ma ona dziwne oczy, posępne a ogniste. Strach mi jej oczu.

— Ha, skoro tak, to muszę ci powiedzieć, że mówią już w mieście o niej i o naszym synu.

— Trzeba uprzedzić Maurycego. Trzeba uprzedzić go niezwłocznie!

— Ależ, kochanie, jak się do tego wziąć? Nie wiemy przecież nic pewnego. Ludzkie plotki są jeszcze niczem.

— To nie plotki. Czuję to, jestem tego pewna. Grozi naszemu chłopcu niebezpieczeństwo.

Pan Roquevillard odparł po chwili:

— Zwalczanie namiętności stanowi niekiedy o jej sile. Sama to zrozumiałaś, godząc się na zaproszenie Frasne'ów. Następnie młodzi buntują się przeciwko takiej kontroli ich życia. Zwłaszcza Maurycy, który jest taki dumny. Nie mając dwudziestu czterech lat, jest już do-

ktorem praw, z pełną i wyłączną wiarą we własne li tylko siły. Głosi śmieszne teorje o prawie do osobistego szczęścia, o konieczności indywidualnego rozwoju. Paryż oddaje nam naszych synów z zasobem wiedzy, ale i z buntem w duszy. Dopiero doświadczenie uczy ich i do opamiętania przywodzi.

— To i ciebie gnębiła ta troska? A nic mi nie mówiłeś?

— Poco cię zasmucać? Taka już jesteś słabiuchna.

— Tak, a powinnam być silna. Matki muszą być silne. Lecz ty silnym jesteś za nas oboje.

— Zbłądziliśmy, umieszczając go w notarjacie Frasne'a. Chciałem ułatwić mu praktyczną znajomość techniki spraw, spadków zwłaszcza i likwidacji, nim wystąpi po raz pierwszy przed kratkami. Frasne jest następcą Clairvala, który był rejentem naszym i przyjacielem. Chcąc uszanować tradycję, zbłądziłem. Lecz wszystko odmieni się niebawem.

— Niebawem?

— Tak. Wezmę Maurycego do siebie. W mojej kancelarji dokończy lat praktyki. Lub też będzie obznajmiał się z procedurą u Marcellaza. Uwiadomię go o tem zaraz po naszym powrocie do miasta.

— Dobrze — rzekła, oburącz ściskając go za rękę. — Będzie rzadziej ją widywał. Lecz to nie wystarcza. Ty uważasz go za rezonera — ja zaś sądzę, iż jest przedewszystkiem trochę romansowy. Chciałabym zająć jego wyobraźnię.

— W jaki sposób?

— Poprostu zaręczając go. Długie narzeczeństwo pochłania i krzepi duchowo młodzieńców. We Francji, mał-

żeństwa klecone są zbyt pospiesznie, a wszak małżeństwo to dola lub niedola dwojga ludzi, to rodzina, to przyszłość całego szeregu pokoleń.

— Prawda, kochanie.

— Małgosia ma na myśli Jankę Sassenay.

— Toć to jeszcze dziecko.

— Ale ładne i dobre dziecko, wychowane przez świętą matkę.

Ostatnie słowa zagłuszył radosny pisk cienkich głosików dziecięcych:

— Dobrywieczór, babciu. Dobrywieczór, dziadziu.

Była to przednia straż: Piotruś i Adrjanka. Mimo nawoływań pani Roquevillard: Wolniej, wolniej! — zdyszane, zasapane, dzieciaki pędem przebiegły przestrzeń dzielącą je od szczytu i upadły w ramiona dziadka.

— Wiesz — rzekła Adrjanka, która była gadatliwa i wszystkim bez wyjątku mówiła ty — Julek został z ciocią Małgosią, choć mamusia kazała mu iść z nami.

W pół zbocza, idąca młodzież krzyknęła z kolei:

— Dobrywieczór.

Tylko Maurycy i pani Frasne zbyt byli oddaleni, by wziąć udział w tej wymianie wzajemnych serdeczności. W miarę jak szczyt był coraz bliższy, zwalniali kroku, a że nie szli na przełaj tak jak inni, lecz drogą, tedy mimo kilkakrotnego nagabywania Małgorzaty, znacznie pozostali w tyle. Bliskość zbocza wytwarzała dziwne złudzenie optyczne, wskutek którego szczyt znikał, a sylwetki pana i pani Roquevillard rysowały się wyraziście wprost na tle nieba. Pani Frasne rzuciła na wzruszonego tem sam-na-sam towarzysza zagadkowe spojrzenie.

— Pański ojciec musiał być kiedyś ładniejszy od pana — rzekła. Poczem szepnęła cichutko, jak gdyby do siebie:

— Ten wie przynajmniej, czego chce.

Urażony młodzieniec odpowiedział milczeniem. Z nieco drwiącym uśmieszkiem, zapytała:

— Ile lat ma pański ojciec?

— Sześćdziesiąt.

— Sześćdziesiąt... Nie cierpi mnie. Gdyby tylko mógł, chętnie by się mnie stąd pozbył.

— Myli się pani. Zawsze jest dla pani uprzejmy.

— To nic nie ma do rzeczy. Czuję, że mnie nie cierpi — a jednak podoba mi się. Lubię ludzi z charakterem.

U samego szczytu, droga tworzy zakręt i odsłania nowy widok, pomiędzy prawym brzegiem a krzakami z lewej strony, których zieleń, złotem tkana, łączy uroczo jasne barwy wiosny z jesienną krasą. W przeźroczej dali, nagle zamajaczył krwawy jeszcze od zachodnich łun olbrzymi zwał tarasowatej góry Nivolet. Nikłe krzaki, porastające jego skalną grań, tonęły w głębokich fijoletach, a nieco w tyle, liljowe i różane pasmo gór Margeria przeświecało miękkiemi tony kobiecego ciała.

— Niech pani spojrzy na tę zmianę dekoracji — szepnął Maurycy, nie zauważywszy, że jego towarzyszka bardziej jest przejęta ich samotnością, aniżeli urokiem wieczoru.

A gdy przystanęła, zapytał:

— Co pani jest? Może pani zmęczona?

— Bynajmniej. Niech pan nie mąci sobie moją osobą zachwytów nad krajobrazem.

— Czyżby pani była zazdrosna?

— Tak, pan kochasz swój kraj, a ja...

— A pani?

— Nie powiem panu...

— To ja powiem ci pani, że cię kocham...

Wziął ją w objęcia. Była to szczupła brunetka, o wielkich, przepaścistych oczach, gibka i namiętna. Gdy przechyliła nieco w tył głowę, pod nawpół przymkniętemi, drgającemi powiekami, widział oczy jej, ciemne, złotym nalane blaskiem, w których odbijała się mdlejąca rozkosz jesieni i cichej pory wieczornej.

— Jakąż to kruszynę tulę oto do serca — myślał — a przecież ta kruszyna warta dla mnie więcej niż wszechświat.

— Kocham cię, Edyto — szepnął.

— Doprawdy? — zapytała z tym samym przekornym uśmieszkiem.

— Kiedy będziesz moją?

— Gdy będę mogła być tylko twoją.

— Wszak to niemożliwe.

— Dlaczego ?

— Jesteś cudzą żoną.

— To wyjedźmy gdzie razem.

— A z czego będziemy żyli?

— Z mojego posagu.

— Nie chcę. Zresztą nie rozporządzasz nim.

— Odbiorę go.

— Nie, nie.

— Będziesz pracował.

Zamilkł. Prawie zirytowana, smagnęła go ironją:

— Ha, wolisz słuchać papy dobrodzieja. Bądź jak on wielką figurą w małem miasteczku i wyhoduj sobie kupę dzieciaków!

Lecz widząc ból w jego oczach, przygarnęła mu się do piersi:

— Kocham cię i dokuczam ci. Ale nie mogę już tak dłużej, duszę się w tem twojem Chambéry. Chciałabym uciec stąd, kochać swobodnie, żyć. Brzydzę się kłamstwem. A ty, ty mnie nie kochasz.

— Jak możesz tak mówić, Edyto?

— Nie, nie kochasz mnie. Gdybyś kochał naprawdę, dawno byłabym już twoją.

Zasępieni temi zwierzeniami, zwolna ruszyli naprzód. Ogołocony z zielonego obramienia, widnokręg rozszerzył się i ukazał w dali, poza ostatnimi zwałami Nivoletu, jezioro Bourget — modre, osnute na krańcach zwiewną przędzą mgieł. Lecz oni nie widzieli już nic. Zdradziecki urok i omdlała słodycz przyrody, rozkoszą tchnący czas jesiennego wieczoru wypełniały po brzegi ich młode, szczęścia żądne dusze.

W pobliżu domu, spotkali panią Roquevillard, która szła sama naprzeciwko pani Frasne, jakkolwiek nie wolno jej było wychodzić po zachodzie słońca.

...Późnym wieczorem, wracając z winotłoczni do domu, w chwili, gdy nikt się go nie spodziewał, pan Roquevillard dojrzał w mroku syna swojego i młodą rejentową.

— Widział nas — rzekł Maurycy.

— To i lepiej — odparła mu.

A gdy mijał wozownię, niegdyś starą siedzibę pierwszych z rodu, by przekroczyć próg domu — dzielo

dziada i poniekąd jego własne — pan Roquevillard usiłował napróżno otrząsnąć się z nagłego niepokoju.

„I ja byłem młody" — myślał.

Lecz nawet błędy młodych lat nie przeszkodziły mu w pracy nad utrwaleniem przyszłości rodziny. Czyż jego młodszy syn, któremu przypadnie z kolei to samo zadanie, wykaże dość energji i zaparcia się osobistych pragnień, by dźwignąć zaszczytne brzemię odpowiedzialności za rozkwit i trwałość rodu? Mało zazwyczaj wrażliwy, czuł dokoła siebie, jak gdyby lot złowróżbnych ptaków, rozpacz opuszczonej la Fauchois i znikomość jesiennych kras. Niedawno, patrząc ze szczytu wzgórza na pola swoje i winnice, rozmyślał z dumą o wzroście Roquevillardów. A teraz oto, na skutek jednej rozmowy ze starą babą i jednego podpatrzonego pocałunku, ogarnia go przeczucie grożącego niebezpieczeństwa i nasuwa mu się na myśl uwaga, że pory roku mijają jedne po drugich, a rody upadają.

* *
*

## II

## ZATARG

Po wyjeździe starszego syna Huberta, który stał garnizonem w Brest, Roquevillardowie przenieśli się na zimowe leże do Chambéry. Zajmowali tam pierwsze piętro starego pałacu przy ulicy Boigne, od strony zamku. Październik miał się ku końcowi. Posiedzenia sądu i trybunału apelacyjnego były w pełnym toku.

Pewnego dnia, po śniadaniu, przy którem krzesło chorej pani dawno świeciło pustką, pan Roquevillard z progu przywołał do siebie córkę swoją, Małgorzatę, podczas gdy syn pogrążył się w czytaniu dzienników.

— Chodź ze mną. Chcę usłyszeć twoje zdanie.

— Co do czego, ojcze?

Spojrzał na Maurycego, który nie słuchał.

— Co do nowego urządzenia mojego gabinetu.

Gabinet była to wielka narożna komnata, o wysokiem sklepieniu, oświetlona czterema oknami. Dwoje z tych okien, to jak gdyby spojrzenie wstecz, na dzieje Sabaudji: widać z nich stary zamek książęcy, wielkie i ciężkie grodziszcze z XIV wieku, o zczerniałych ze starości głazach, gdzieniegdzie zaledwie zdobne w naiwną płaskorzeźbę.

Lecz zniszczona ta rudera styka się ze strzelistą Saint-Chapelle, wielkim kwieciem kamiennym, wyrastającym — niby z krzepkiej łodygi — z podłoża godnego twierdzy. Z lewej strony, dumnie sterczy ku górze wieża Archiwum, porośnięta bluszczem i dzikiem winem, świeżo otynkowana na biało, podobna z wyglądu do kity lub trzęsienia u czapy. Różne wiekiem i charakterem, wznoszone w najrozmaitszym tempie zależnie od środków pieniężnych i ambicji książąt, gmachy te brzydsze są, lecz bardziej wymowne od budowli z jednej epoki i jednolitego typu. W ich murach snują się długim korowodem mary ludzkiej doli i niedoli. Obie baszty górują ponad gęstwiną drzew, któremi obsadzone są dwa tarasy, jeden nad drugim. Pod klonami dolnego tarasu bieleją świeżo wystawione pomniki Józefa i Ksawerego Maistre'ów.

Na małej przestrzeni skupiają się wspomnienia całego szeregu stuleci. Pusto tam i głucho jak w grobie: jeno przeszłość wielkim przemawia głosem.

Gra światła zmienia najbardziej swojski i znajomy widok. Gdy pan Roquevillard wszedł z córką do gabinetu, słońce osuwało się wprawdzie bezsilnie wzdłuż ponurej fasady zamkowej, lecz barwiło za to różem kamienne koronki gotyckiej kaplicy, a ponad ogołoconemi na poły gałęźmi drzew podkreślało jaskrawą czerwień wina na Archiwum i złociło szczyt wieżycy.

— Dobry pokój do pracy — rzekła Małgorzata. — Bardzo jestem temu rada: tak ciężko — ojcze — pracujesz.

— Byłbym wolał, żeby matka zajęła go na salon. Nigdy nie chciała na to przystać. Ale czy nic nie widzisz tu nowego, córeczko?

Oczyma obeszła ściany, półki założone książkami, portrety dziadów i pradziadów, dawnych jurystów, pędzla lichych malarzy, widok jeziora Bourget Hugarda, najlepszego pejzażysty sabaudzkiego, wreszcie pięknie oprawny plan posiadłości la Vigie.

— Nic, zgoła nic — oświadczyła po chwili.

— Bo patrzysz w górę, a nie koło siebie.

Spostrzegła wówczas, że ciężki i szeroki stół dębowy, ze stosami spiętrzonych aktów, cofnięty został w głąb, a na jego miejscu stał przy oknie, w pełnem świetle, mniejszy zgrabny stolik.

— Dlaczego tak daleko cofnąłeś się, ojcze?

— Żeby umieścić tu twojego brata.

— To Maurycy opuszcza kancelarję Frasne'a?

— A tak. Ulokuje się w pobliżu okna. Widzisz stąd, jak jesień strąca liście z klonów? Ja wolę wiosnę. U stóp wieży kwitnie wówczas czerwono jakiś krzew ze wschodu i bielą się drzewa śliwkowe.

Lecz Małgorzata nie słuchała, tylko patrzyła ze smutkiem na ojca.

— Maurycy, tak. Ale ty ojcze?

— Widzisz, córuchno, młodemu trzeba światła i piękna. Czy nie mogłabyś przyozdobić czem tego stołu? Naprzykład bukietem.

— To nie pora na cięte kwiaty, ojcze. Mam tylko chryzantemy.

— Niech będą i chryzantemy. Jedna lub dwie, nie więcej, w wysmukłym wazonie. Nasi młodzi prawnicy wracają do nas z Paryża z upodobaniem do różnych ładnych rzeczy. A ja się na tem nic a nic nie znam. Lecz

ty, która jesteś naszym wdziękiem, pomożesz mi przytrzymać go w domu.

Uśmiechnął się nieco przymuszonym uśmiechem, oczekując pochwały, a zbliżywszy się do córki, położył dłoń na jej kształtnej główce, bez obawy potargania bujnych, ciemno-kasztanowatych włosów:

— Opuścisz niedługo dom, Małgosiu. Czy jesteś temu rada?

Zamiast odpowiedzi, przytuliła się do ojca i zaczęła płakać. Podobna była do pana Roquevillard, choć różna wyrazem twarzy. Wysoka i silnie zbudowana, z orlim nosem i prosto zarysowaną brodą, robiła tak jak on wrażenie istoty szczerej i prawej. Tylko duże piwne oczy, szeroko rozwarte i bardzo przejrzyste — oczy matki — miały jasny, przedziwnie łagodny blask, podczas gdy oczy ojca, małe, głęboko osadzone, patrzyły tak przenikliwie, iż trudno było nieraz wytrzymać ich spojrzenie.

Zaniepokoiły go łzy dziewczęcia:

— Czego płaczesz? Czy to małżeństwo nie jest ci po myśli? Rajmund Bercy jest miłym chłopcem, z dobrej mieszczańskiej rodziny; skończył medycynę, by — jako lekarz — osiąść na stałe w naszem mieście. Czy masz mu co do zarzucenia? Nie trzeba, córuchno, wychodzić za mąż bez przekonania.

Opanowała swoje wzruszenie, by szepnąć cichutko:

— Nie mam mu nic do zarzucenia... chociaż...

— Mów, malutka. Co tam takiego?

Spojrzała na ojca oczyma pełnemi uwielbienia.

— Chociaż nie jest taki jak ty.

— Ot, pleciesz.

Uspokojona, jęła się tłómaczyć:

— Nie wiem sama dlaczego płaczę. Powinnam być uradowana. Lecz czyż tu nie było mi dobrze?... Przychodzi mi teraz na myśl całe moje dzieciństwo, wszystkie uciechy i wszystkie igraszki, i smutno mi bardzo, że będę musiała stąd odejść.

— Nie spoglądaj wstecz, córuchno. Zostaw to matce i mnie. Ty myśl tylko o swojej przyszłości, jako niewiasty, i idź w tę przyszłość odważnie, bez wnętrznej rozterki.

Uśmiechnęła się przez łzy:

— Moja przyszłość, to moja rodzina.

— Tak, ta, którą założysz.

— Często upominałeś mnie ojcze zeszłej zimy, podczas naszych wspólnych przechadzek, bym wiernie strzegła tradycji.

— Lecz tradycji, panno mądralińska, nie można chować pod kluczem, według metody naszego sąsiada, wicehrabiego de la Mortellerie, który, siedząc kamieniem w domu, odtwarza herby i drzewo genealogiczne i jest zgorszony, że jego dzierżawcy ośmielają się nosić buty. Nie zamkniesz jej również w starym domu, ani nawet w dziedzicznej posiadłości, jakkolwiek utrzymanie rodowej schedy ma bezsprzecznie duże znaczenie. Trwałą i płodną staje się wówczas dopiero, gdy jest nierozłącznie związana z życiem naszem i uczuciami.

Znów spojrzała na ojca z uwielbieniem i westchnęła.

— Zanadto widać kocham dom.

— Nie, o nie — rzekł stanowczo ojciec. Małżeństwo jest zawsze do pewnego stopnia zagadką i rozumiem, że taka zmiana w twojem życiu może cię nawet i trochę przestraszać. Lecz skoro ani twój rozum, ani twoje serce nie

stawiają żadnych poważnych zarzutów, bądź mężna i dobrej myśli do końca. To, że byłaś z nami szczęśliwa, jest moją największą nagrodą. Ale możesz i powinnaś czuć się szczęśliwą i bez nas... Idź, dziecko, po kwiaty i po Maurycego.

— Zaraz, ojcze.

Wróciła po chwili z olbrzymią wiązanką kwiatów. W mgnieniu oka, stół pod oknem przeistoczył się. Kwiaty nęciły oko barwą i wonią.

— Miałam jeszcze parę róż, ostatnich. Patrz, jakie ładne w tym wazonie, który mieni się w słońcu niczem opal.

Pan Roquevillard przytwierdził z uznaniem:

— Bardzo ładne.

Lecz patrzył na córkę. Roześmiała się i uciekła:

— Teraz biegnę po Maurycego.

Młody człowiek nadszedł niebawem.

— Ma mi ojciec coś do powiedzenia? — zapytał, wchodząc z laską i kapeluszem w ręku, jak gdyby pilno mu było wyjść.

Tegoż wzrostu co ojciec, lecz szczuplejszy i delikatniejszej budowy, nie miał w sobie nic z ojcowskiej wyniosłości w twarzy i postawie. Tę wrodzoną dumną powagę pan Roquevillard starał się teraz stuszować tonem koleżeńskiej zażyłości.

— Patrz, jak Małgosia przystroiła ci stół.

— Mnie?

— A tak, tobie. O, ten, z różami, z widokiem na zamek i na słońce. Czy nie chciałbyś dokończyć swojej praktyki ze mną?

Słońce muskało barwne płatki róż, a poza oknami wieża Archiwum pławiła się w blasku. Światło stawało się niejako wspólnikiem pana Roquevillarda, który zabiegał o względy syna ze wzruszającą niezręcznością. Lecz synowie później dopiero oceniają cierpliwość ojców i to li tylko na skutek własnych przeżyć.

— Tedy ojciec — rzekł Maurycy — nie chce, bym wracał do Frasne'a.

— Nie, bo to zbyteczne. Poznałeś już gruntownie prawo spadkowe. Tutaj zaś obznajmisz się z kolei z przebiegiem spraw i będziesz uczęszczał na posiedzenia sądu.

Jeśli sobie tego życzysz, będziesz mógł również spędzić kilka miesięcy w kancelarji twojego szwagra Karola, który wtajemniczy cię w zagadnienia procedury. Wszak to jeden z najwybitniejszych naszych prawników. Wreszcie debiutować będziesz jako obrońca. Mam nawet dla ciebie ciekawą sprawę, o prawomocność aktu sprzedaży.

Nigdy jeszcze nie przemawiał tak oględnie i z równie serdeczną poufałością. Lecz młodzieniec nie wypowiadał się. Rozmyślał.

— Sądziłem — rzekł po chwili — iż było rzeczą umówioną, że spędzę sześć miesięcy w kancelarji Frasne'a.

— No tak, ale owe pół roku ma się właśnie ku końcowi: od czerwca po ostatnie dni października. Niewiele brak.

— Lecz wziąłem urlop w początkach sierpnia, wróciliśmy zaś niedawno. Akurat w tych dniach miałem rozpatrywać ważne likwidacje.

— Odnajdziemy te likwidacje w sądzie — odparł jowialnie pan Roquevillard. Najczęściej wracają one do sądu. Na bieżącą sesję mam cały szereg niezwykłych

spraw. Pomożesz mi. Idź do Frasne'a po swoją tekę i rozgość się tutaj.

— Frasne wyjechał. Wypadałoby poczekać na jego powrót.

Wykręcał się jak mógł, lecz ojciec nie brał tego pod uwagę.

— Wróci jutro. A zresztą uprzedziłem go jeszcze przed jego wyjazdem.

Maurycy, który czekał tylko na sposobność, wybuchnął:

— Jakto, bez mojej wiedzy? Czyż jestem dotąd smarkaczem, żeby kto rozporządzał mną jak rzeczą? Ale nie dam się tak ujarzmić. Moją wolę trzeba także uwzględniać!

Wobec tego buntu, który przewidział był i którego istotna przyczyna nie była mu obcą, pan Roquevillard zachował spokój, mimo niepożądanego obrotu rozmowy. Wiedział z doświadczenia, iż najtrudniej jest opanować rasowe konie i silne charaktery.

— Smarkacz czy nie smarkacz — jesteś moim synem i muszę przygotować cię do życia.

Lecz młodzieniec uderzył na przeszkodę, którą zgodnie dotąd omijali.

— Po co to ukrywać? Wiem doskonale, dlaczego ojciec zabiera mnie z kancelarji Frasne'a.

Zimna krew i przytomność umysłu pana Roquevillarda o mało że nie odniosła zwycięstwa:

— Czyżby ci miało być tak źle w moim gabinecie i czy możesz tak lekce sobie ważyć moje kierownictwo? Czyż twoja niezależność ucierpi w jakikolwiek sposób przez to, że korzystać będziesz z mojej wiedzy zawodowej.

z mojej czterdziestoletniej praktyki adwokackiej? Nie rozumiem cię.

A czując słabnący opór syna, dopełnić chciał miary serdecznością:

— Twoja matka jest chora. Małgosia opuści niedługo dom. Będzie mi z tobą raźniej.

Łudził się przez chwilę, że zdoła uniknąć starcia. Po krótkiem wahaniu — gdyż w głębi duszy szczerze podziwiał ojca — Maurycy, przekonany, iż walczy z obłudą, znów podjął ofenzywę.

— Tak, uprzedzono ojca do mnie z powodu pani Frasne. Co ojcu powiedziano? Chcę i muszę to wiedzieć. Istotnie, życie na prowincji jest nie do zniesienia! Każdy czyn śledzą, krępują, każdego pilnują, a najszlachetniejszych uczuć nie znają i odzierają ze wszystkiego całe zastępy zazdrosnych faryzeuszów i jadowitych dewotek. Ale nie przypuszczam, abyś ty — ojcze — słuchać miał nikczemnych oszczerstw, rzucanych na najuczciwszą z kobiet.

Pan Roquevillard odkrył karty.

— Pozwoliłem ci wygadać się, Maurycy. Teraz słuchaj, co ci powiem. Nie zajmuję się plotkami i nie pytam nawet, czy prawdą jest, że podczas licznych bardzo nieobecności twojego szefa, więcej przesiadujesz w salonie, aniżeli w kancelarji. Argumenty jakich użyłem, są najzupełniej przekonywujące. Skoro jednak interpelujesz mnie w ten sposób, nie cofnę się przed rozprawą. W rzeczy samej, ta pani jest również jedną z przyczyn przeniesienia cię pod mój osobisty kierunek. I nie plotki skłaniają mnie do tego: wystarczy to, co widziałem na własne oczy.

— Cóż takiego?

— Nie pytaj lepiej.

— Muszę wiedzieć.

— Niech i tak będzie. Otóż, skoro twoja matka, na twoją prośbę, przyjmuje gości, pod swój dach, powinieneś dach ten uszanować. Teraz wiesz do czego piję.

Lecz zaślepiony gniewem, pragnąc za wszelką cenę usprawiedliwić trawiącą go namiętność, Maurycy raz jeszcze przebrał miary:

— Moje życie osobiste powinno być również uszanowane. I wara odeń każdemu. Dawałem ojcu pełną satysfakcję we wszystkiem, z czego obowiązany byłem zdawać rachunek.

— Maurycy!

— Zdałem z odznaczeniem egzamina. Po sześciu latach pobytu w Paryżu, wróciłem bez grosza długu. W czem zawiniłem? Nie mam nawet na sumieniu żadnego płaskiego romansu, z rodzaju tych, jakiemi zabawią się młodzież uniwersytecka z Quartier latin!

— Nie stawiam ci żadnego zarzutu. Ależ moje biedne dziecko...

— Nie jestem dzieckiem!

— Jest się zawsze dzieckiem dla ojca. Czy nie rozumiesz, iż dlatego właśnie, że praca, godność własna, tradycje rodzinne, które uczą ładu i karności — strzegły młodych twoich lat, ta kobieta, starsza od ciebie, i której imię nie przezemnie pierwszego zostało wymówione, jest tem dla ciebie groźniejsza? Czy wiesz przynajmniej, kto ona?

— Niech ojciec o niej nie mówi! — zawołał Maurycy.

— Przeciwnie, będę o niej mówił — odparł pan Roquevillard tonem z nagła rozkazującym. Czyż nie jestem głową rodziny? I jakiem prawem chcesz narzucić mi mil-

czenie? Czy lękasz się, bym nie użył przypadkiem argumentów uwłaczających godności? To źle mnie znasz.

— Pani Frasne jest uczciwą kobietą — powtórzył młodzieniec.

— O tak, z rodzaju tych uczciwych kobiet, które igrają z ogniem dla rozrywki, które w towarzystwie wówczas dopiero są rade, gdy przyciągną do siebie wszystkich mężczyzn, nie wyłączając starców. Z tych uczciwych kobiet doby dzisiejszej, które wszystko czytały, prócz Ewangelji, wszystko pojęły, prócz obowiązku, wszystko usprawiedliwiły, prócz cnoty, i które roszczą sobie prawa do wszelkich swobód, lecz gardzą nigdy im nieodmawianą swobodą czynienia dobrze drugim. Dlaczego są uczciwe? Nikt tego nie wie. Nie chroni ich ani wiara, ani skromność, a co się tyczy honoru, to jest religja dobra tylko dla mężczyzn. Są to istoty zbuntowane: za młodu wystarczają im słowa; gdy młodość pierzcha, pożąda się rzeczywistości. Ta pani, jako młoda żona starego męża, powinna przynajmniej pamiętać o tem, że mąż karmi ją i odziewa, gdyż nie wziął za nią ani grosza posagu,

— To fałsz: miała sto tysięcy franków posagu.

— Kto ci to powiedział?

— Ona sama.

— Możliwe. A jednak stary Clairval, który był zapoznał nas ze swoim następcą, mówił zgoła co innego. I ja mu wierzę. Mając do wyboru z jednej strony nędzę, lub conajmniej braki materjalne, a z drugiej strony istotnie niezbyt ciekawego męża — że woli męża, to tylko świadczy o jej rozsądku.

Pod wrażeniem tych pogardliwych słów, uwłaczających jego bożyszczu, Maurycy rzucił się ku ojcu.

— Dosyć, ojcze, na miłość boską dosyć! Nie oskarżaj ją o podłość, nie wmawiaj w nią tchórzostwa: upewniam cię, że jesteś w błędzie. Nie chcę już słuchać tego więcej. Idę stąd.

— Zabraniam ci wracać do Frasne'a!

— Raczej tu nie wrócę! — zawołał od progu i zniknął.

— Maurycy! — krzyknął za nim pan Roquevillard zmienionym głosem, bardziej błagalnym niż rozkazującym.

Wybiegł z gabinetu: przedpokój był pusty, ktoś zbiegał szybko ze schodów. Sam jeden w wielkiej widnej komnacie, popatrzył na stół, na wdzięczące się w słońcu róże, na wszystkie te sercem dyktowane przygotowania, którym przyświadczały stare portrety ze ścian, a z poza okien obraz chlubnej przeszłości — i uczuł się nagle opuszczonym, jak wódz po przegranej bitwie.

„Czy syn — myślał — powinien tak burzyć się przeciwko ojcu? Przemawiałem z początku łagodnie: skoczył mi odrazu do oczu... Jakżeż potężny jest wpływ tej kobiety i co czynić, by go przełamać?... On wróci jeszcze... to niemożliwe, by nie wrócił... Pójdę zresztą po niego!... Przebrałem może miarę... Uraziłem go bez potrzeby. Kocha ją, biedny chłopak, i wierzy we wszystko, co mu opowiada. Oplątała go swoim syrenim głosem, minkami i ognistemi oczyma — i drwi teraz z niego. Tak, zawiniłem, wyzywając ją do walki. Zbuntowane przeciwko społeczeństwu, bezczelne w swojej szczerości, tego rodzaju niewiasty są dziś bardziej niebezpieczne, niż były kiedykolwiek... Napewno pobiegł do niej. Będzie go judziła przeciwko mnie, ojcu. Przeciwko twemu ojcu, Maurycy, za to, że nie chce dać ci zboczyć na manowce...“

Jako człowiek czynu, postanowił jednak szukać przedewszystkiem drogi wyjścia. Zeszedł do pokoju żony, której zdania zwykł był zasięgać we wszystkich ciężkich chwilach życia. Lecz w pokoju panował mrok, pani Roquevillard drzemała. Chora od lat na bezkrwistość i wzrastający z wiekiem ogólny upadek sił, cierpiała na newralgie w twarzy, które całkowicie ją obezwładniały. Ileż to razy otwierał tak jak dziś drzwi sypialni, licząc na jasny i trzeźwy sąd żony, i wychodzić musiał cichutko, własnym pozostawiony zasobom! Nie czuł już w sobie dawnej siły, odkąd brakło mu jej poparcia. Wszak szło teraz o syna: matka mogła tu więcej niż ojciec; może byłaby nawet zapobiegła niebezpieczeństwu.

„Jestem sam“ — myślał ze smutkiem u wezgłowia chorej.

I bezgłośnie, na palcach, wyszedł z pokoju. W salonie zastał piszącą Małgosię i poweselał na widok jej kochanej twarzyczki.

„Ona mi pomoże — szepnął w duchu. — Niema nad nią lepszej i bardziej oddanej siostry“.

Zbliżył się zwolna, a gdy podniosła ku niemu głowę z uśmiechem, usiłował ukryć przed jej słodkim wyrokiem niepokój swój i troskę.

— Co robisz, maleńka? Ręczę, że piszesz do jakiego wielkiego magazynu o wyprawę.

— Mylisz się, tatusiu.

— Zawiadamiasz koleżanki z pensji o swoich zaręczynach?

— Też nie.

— To może przypominasz narzeczonemu o dzisiejszym obiedzie?

— On i tak pamięta.

Podała mu leżący przed nią zeszyt. Poznał dyarjusz rodzinny, starym obyczajem w domu Roquevillardów prowadzony, jedną z tych ksiąg bezcennych, w których, obok spraw czysto majątkowych, przodkowie nasi notowali wszystkie ważniejsze zdarzenia prywatnego życia, jak małżeństwa, zgony, narodziny, urzędy, dostojeństwa, umowy — gdzie przeszłość obleczona była w uroczystą formę testamentu, skąd płynęła wiara w przyszłość dla każdego, kto czerpał siły z cnót ojców i pragnął wykazać się godnym ich potomkiem.

— Uzupełniam go — oświadczyła. — Nie był jeszcze zanotowany powrót Maurycego i odznaczenie Huberta.

Pan Roquevillard przerzucił, nie bez pewnej dumy, księgę, świadczącą o wytrwałej energji jego rodu.

— Kto będzie ją prowadził po tobie, Małgosiu?

— Ja, ojcze, w dalszym ciągu.

— Nie, córuchno, kobieta powinna oddać się niepodzielnie swojemu nowemu ognisku domowemu.

Spłonęła rumieńcem, jak żak szkolny, na psocie przyłapany.

— To w takim razie będę chyba bardzo złą żoną, bo stare ognisko będzie mi zawsze drogiem. Sercem odczuwam wszystko, co go dotyczy.

Rozczulony, szepnął:

— Drogie dziecko!

— A Maurycy, czy zadowolony z naszego pomieszczenia, z róż, z bliskości okna? Na jego miejscu, byłabym uszczęśliwiona, że mogę, ojczulku, przy tobie pracować.

Bezwiednie dotrzymywała kroku jego trosce, ułatwiała mu zwierzenia.

— O nim właśnie przychodzę z tobą pomówić. Starliśmy się przed chwilą. Może byłem za szorstki.

— Ty, ojcze?!

— Jednem słowem uraziłem go. Wyszedł w gniewie, a gniew złym jest doradcą. Idź za nim, Małgosiu: napewno przyprowadzisz go niebawem.

Stała, gotowa już do wyjścia.

— Gdzie on jest?

— Nie wiem. Może w kancelarji Frasne'a. Zresztą, miasto nie duże, zawsze go gdzieś spotkasz. Daj Boże, byś go odnalazła!

— Idę.

— Rozumiesz — dodał półgłosem pan Roquevillard — że ja, ojciec, iść tam nie mogę.

— O nie, ojcze. Na to nie zasługuje. Dziwny on jest od jakiegoś czasu; jak gdyby mniej nas kochał.

Ojciec i córka popatrzyli na siebie, zrozumieli się, lecz nie zgłębiali więcej tego tematu.

Włożyła co rychlej żakiet i kapelusz i ruszyła w pogoń za Maurycym. Wyszedłszy na ulicę, zostawiła za sobą zamek i wzdłuż ulicy Boigne oraz jednego z tych licznych przejść, które tworzą w Chambéry jak gdyby sieć wewnętrznej komunikacji, dotarła do placu Ratuszowego. Zwany dawniej placem Lans, był niegdyś centrum handlowem miasta. Kilka koszlawych domostw, włoska willa z werandą i loggią, z rzędu budynków dekoracyjnych tylko na fotografji lub pocztówce, lecz w rzeczywistości brudnych, spróchniałych i opuszczonych — nie stanowią zgoła zajmującego zespołu. Na fasadzie świeżo otynkowanej

rudery, widnieje czarna marmurowa płyta z następującym napisem:

*W tym domu*
*urodził się*
*Józef de Maistre 1-go kwietnia 1753 r.*
*i*
*Ksawery de Maistre 8-go listopada 1763 r.*

Poniżej, złocona tabliczka wskazywała kancelarję notarjalną. Małgorzata Roquevillard poszukała oczyma pamiątkowego napisu i weszła na schody. Z bijącem sercem, gdyż krok ten był jej przykry, zapukała do drzwi kancelarji Frasne'a, otworzyła je i zagadnęła z progu pierwszego dojrzanego dependenta.

— Przepraszam pana, czy zastałam brata mojego, Maurycego Roquevillard?

— Niema go, proszę pani — odparł uprzejmie młody człowiek, wstając z krzesła. Wcale nie był popołudniu.

— Proszę zobaczyć u pani Frasne — odezwał się z poza pulpitu inny dependent, głosem cierpkim, w którym czuć było długo skrywaną urazę.

Zarumieniona po uszy dziewczyna, podziękowała jednak i poszła dzwonić do drzwi prywatnego mieszkania państwa Frasne'ów. Powiedziano jej, że pani wyszła. Zrazu doznała uczucia ulgi, lecz wkrótce bezradnie opuściła ręce: gdzie go szukać? dokąd się zwrócić? Poszła na ulicę Favre, do pani Marcellaz, swojej starszej siostry, powracającej właśnie z przechadzki, z trojgiem drobiazgu. Mały Juluś rzucił się ku ciotce z radosnym piskiem i obejmował ją rączkami, podczas gdy młoda kobieta obojętnie objaśniała:

— Nie, niema go u nas. Wcale do mnie nie przychodzi.

Dużo więcej zajmowało ją jakieś drobne niedomaganie rozkapryszonej Adrjanki.

Po tem podwójnem niepowodzeniu, Małgorzata jęła przebiegać miasto właściwie już bez określonego celu, szybkim krokiem, jak gdyby gnana lękiem. Pod portykiem, minęła narzeczonego, który przystanął był, żeby ją zatrzymać, i dopiero po chwili zawróciła wstecz.

— Dzień dobry, Rajmundzie. Czy nie widziałeś przypadkiem Maurycego ?

— Nie Małgosiu. Szukasz go?

— Tak.

— Może chcesz, żeby ci w tem dopomóc?

— Nie, dziękuję. Do zobaczenia wieczorem.

Popatrzył za nią.

„Nie jest zbyt uprzejma, taka zawsze sztywna i chłodna“ — myślał z pewną urazą, lecz mimo to ścigał ją wzrokiem póki nie zniknęła w oddali.

Nieopodal katedry zaczepiła Małgorzatę, idąca pod opieką służącej, wielka jej zwolenniczka i wielbicielka. Jania Sassenay, szesnasto czy też siedmnastoletnie dziewczątko, szczerze jeszcze dziecinne, o grubych płowych warkoczach i jasnej, ruchliwej twarzyczce.

— Gdzież to pani tak biegnie, panno Małgorzato?

— Dzień dobry ci, Janiu.

— Udaje pani własnego swojego brata, który mija mnie na ulicy i nie kłania się.

I spuściwszy głowę, zaczęła obciągać krótką sukienkę.

— Najwidoczniej — przytwierdziła Małgorzata. — Ale gdzież to widziałaś Maurycego?

— Na moście Reclus.

— Teraz?

— O nie. Przed lekcją muzyki, ze dwie godziny temu.

— A dokąd szedł?

— Nie wiem. Niech mu pani powie, że jest niegrzeczny.

— Naturalnie, że powiem. Niegrzeczny dla moich przyjaciółek! To istotnie nie do darowania.

— A jednak mu przebaczam — oświadczyła ze śmiechem mała Sassenay.

Pozostawszy samą, panna Roquevillard ujrzała uchylone wrota kościelne i weszła do środka. O tej porze dnia, w obszernej nawie klęczało zaledwie kilka ciemnych postaci. Cisza panowała zupełna. Lecz trudno jej było modlić się: to wyobrażała sobie jaką uroczą żoną mogłaby być za trzy lub cztery lata ta żywa i wesoła, a mimo to poważna dziewuszka; to stawała jej przed oczyma stroskana twarz ojca. O sobie nie myślała wcale. Aż drgnęła, w progu stwierdzając, że w rozmyślaniu tem nie było miejsca ani dla niej samej, ani dla jej narzeczonego.

Pokrzepiona na duchu, zajrzała raz jeszcze — również bezskutecznie — do kancelarji Frasne'a, lecz nie dzwoniła już więcej do prywatnego mieszkania. Postanowiła wracać do domu. Na ulicy Boigne, w zapadającym zmierzchu, masywne kontury Archiwum i wieże zamkowe rysowały się wprost niej na krwawem tle nieba. W łunach zachodu, ci niemi świadkowie przeszłości dawną głosili chwałę, jak gdyby dźwignąć się chcieli wzwyż, nim pochłonie je mrok. Był to jeden z tych promiennych wieczorów darowanych jesieni, o świetnym, odczuciem znikomości wzru-

szającym blasku. Jeden z tych momentów wielkości, które są zapowiedzią upadku.

Uderzył ją dumny spokój tego widoku, skąpanego w czerwieni, lecz zamiast przystanąć dla lepszej oceny, minęła coprędzej starą sklepioną bramę ojcowskiego domu.

— Czy wrócił pan Maurycy? — zapytała od progu.

— Jeszcze nie, proszę panienki — odparła pokojówka. Pan czeka na panienkę.

Pan Roquevillard, który słyszał dzwonek, otwierał już drzwi od swojego gabinetu.

— No i co Małgosiu?

— Nie mogłam znaleźć go, ojcze.

Tych kilka słów, wymienionych między ojcem a córką, mieściło w sobie cały ogrom niepokoju wobec grożącego nieszczęścia — nieszczęścia dużo poważniejszego w skutkach od zwykłych błędów młodości, zważywszy na zuchwałą śmiałość, jaką oboje wyczuwali w pani Frasne.

* *
*

III

## KALWARYA NA LÉMENC

Po wyjściu z domu rodzicielskiego, Maurycy Roquevillard skierował się wprost poza miasto, ku Kalwarji na Lémenc, gdzie wyznaczoną miał schadzkę z panią Frasne.

Sam wybór miejsca był już niejako wyzwaniem, rzuconem opinji; zewsząd widne, góruje ono nad Chambéry, niczem strażnica. Była to niegdyś naga skała, o tak wielkiem znaczeniu strategicznem, iż dawni książęta używali jej jako punktu sygnałowego dla porozumiewania się za pomocą ognisk z posterunkami na Lépine i na Roche du Guet, wysuniętych szczytach, strzegących wówczas granicy francuskiej. Dziś wiedzie tam z przedmieścia Reclus — ponad linją kolejową — stroma droga, zamknięta z jednej strony wysokim murem klasztornym, z drugiej szeregiem, nędznych jednopiętrowych domów. Nieco dalej, już w polu, widnieje wzgórze, a na jego szczycie, zamiast dawnych umocnień bojowych, kaplica, ostro zarysowana na jasnem powietrznem tle dalekich gór Revard i Nivolet. Całkowicie odtąd odsłonięta, w skale wykuta, ścieżka pnie się wzwyż, śladem zdekompletowanej drogi krzyżowej, o pustych, napoły rozwalonych

niszach. Jest to miejsce zupełnie opuszczone i jakkolwiek widać je zdaleka, to natomiast nie spotyka się tam nigdy nikogo.

Kaplica na Kalwarji, struktury bizantyjskiej, składa się z kopuły i z perystylu, wspartego na czterech kolumnach. W 1839 r. pochowano tam jednego z arcybiskupów Chambéry. Grób wykuty został w skale, lecz wnętrze mauzoleum stoi pustką.

Zaraz z dołu, od pierwszej stacji, dostrzegł Maurycy siedzącą na stopniach między kolumnami postać niewieścią. Czekała nań. Napróżno, tuż obok niego, złociły się zwiewne, niczem kwiat mimozy, grona akacyj, napróżno cudne jak sen góry tonęły w przeźroczych fijoletach: nie widział nic, tylko ją jedną u stóp Kalwarji. Nieruchoma jak posąg, z łokciami na kolanach, kryjąc brodę w obu rozchylonych dłoniach, od słońca różowych i przeświecających, spoglądała ku niemu płomiennemi oczyma. Biegł szybko, do utraty tchu. Gdy stanął przy niej, porwała się jednym rzutem, jak porywa się senny napozór drapieżnik, o nagle ujawnionej sile mięśni.

— Bałam się, że nie przyjdziesz — rzekła — i życie we mnie zamierało.

— Nie mogłem wcześniej, Edyto.

Tak był wzburzony, że nie robiła mu żadnych wymówek. Ujęła go za rękę i powiodła go za kaplicę, w cień, na bujniejszą murawę.

— Siądziemy, dobrze? Nie jest zimno, a milej tu i bardziej zacisznie.

Siedli obok siebie, oparci plecami o Kalwarję, która odgradzała ich od Chambéry i świata całego. Przed nimi, widać było w pełnem świetle tylko dalekie stoki

Nivoletu. Przytuliła się do niego, z tkliwą pieszczotą.

— Jedyna moja! — szepnął cicho.

Czyż miłość ich nie była równocześnie bólem i rozkoszą? Mówili sobie po imieniu, a jednak nie byli jeszcze kochankami. Odsunęła się nieco od niego i badawczo spojrzała mu w oczy.

— Miałeś jakąś przykrość? Czy z mojej przyczyny?

Streścił pokrótce przeprawę jaką miał z ojcem — niezbity dowód wykrycia ich wzajemnego stosunku oraz zapowiedź dalszych powikłań — i dodał:

— Co będzie z nami?

Powtórzyła jak echo:

— Tak, co będzie z nami? Nasza tajemnica przestała być naszą własnością, a ja nie potrafię już jej ustrzec.

— Nasza tajemnica nie jest już naszą — potwierdził z goryczą — a ty nigdy nie byłaś moją!

Wsparta głową o pierś Maurycego, głosem pieściwym, jak kołysanka rzewnym i do serca wnikającym, jęła uciszać go i ujarzmiać.

— Powtórz raz jeszcze, że nie jestem twoją. Kiedyż to odmówiłam ci daru swojej osoby, niewdzięczny? Chcesz wyjechać stąd? Choćby zaraz. Tyś taki młody, a ja mam blisko trzydzieści lat. Trzydzieści lat — gdy moja miłość trwa zaledwie kilka miesięcy: ujrzałam cię, stałeś w słońcu. i wyszłam z mroku, by złączyć się z tobą. Opowiem ci kiedy dzieje mojego dzieciństwa, moich młodych lat i mego zamążpójścia — i wiem, że zapłaczesz nademną.

— Edyto!

— Ah, łatwo pogardzać cudzą słabością tym, dla których małżeństwo jest bramą świetlaną, a nie wrotami więziennemi. Obdarowane przez los, czyż bardziej od

nas na to zasługują? Lecz one nigdy nie stawiają sobie tego pytania. Szczęście było im poprostu od losu przeznaczone. Nie czynią nic, by szczęście to zachować, a gdyby je utraciły, wówczas wszyscy byliby temu winni, tylko nie one same.

— Edyto, kocham cię, a tobie źle na świecie!

Nawpół klęcząc, ruchem pełnym uwielbienia, ogarnęła obu dłońmi jego szczupłą młodzieńczą twarz.

— Daruj mi jeden rok twojego życia za całe moje życie. Chcesz? Chodź, wyjedziemy stąd, zapomnimy o wszystkiem... Nie mogę już dłużej kłamać... Nie chcę należeć już więcej do innego... Nie mogę, skoro jestem twoją!

Jednym skokiem porwała się na nogi i pobiegła na kraniec skały, prostopadle zwisającej nieopodal od nich nad drogą do Aix.

— Edyto! — krzyknął przerażony.

Wróciła wstecz ku niemu, spokojna już i uśmiechnięta.

— Lubię patrzeć w przepaść, lecz zawrót głowy czuję tylko tu, przy tobie — rzekła, siadając obok niego.

I znów jęła sondować przyszłość:

— Nasza miłość jest publiczną tajemnicą. Mój mąż dowie się o niej niebawem. Już teraz coś podejrzywa. Kocha mnie po swojemu, w sposób, który jest mi wstrętny. Jestem pewna, że nas śledzi. Zemści się. Zemstę swoją uknuje powoli, jak wszystko co czyni.

— Słuchaj, Edyto: musisz podać się o rozwód.

— Myślałam i o tem. A jeśli mój mąż nie zechce tego? I nie zechce napewno. A zresztą rozwód, to conajmniej rok czasu, albo dwa, albo nawet i więcej. Zmuszona będę zamieszkać gdzieś u krewnych, daleko stąd.

I znów czekać. Jeszcze ze dwa lata: postarzeję się tymczasem zupełnie. Zdala od ciebie. Czy ty to rozumiesz... zdala od ciebie?... Wiem już wszystko... to niemożliwe...

Umilkli. W okalającej ich ciszy, słuchali jak z głębi własnych istot podnosi się coraz potężniej głuchy zew krwi. Szelest wzdłuż muru, tuż obok nich, zmącił nastrój.

— Ktoś idzie — szepnął.

— Siedźmy — odpowiedziała tonem rozkazu.

I nie zmienili pozycji. Ich dola rozgrywała się w nich samych, niezależnie od wszystkiego. Lecz przyczyną szelestu była tylko koza, szczypiąca rzadką trawę. Za kozą szła dziewuszka, z kijem w garści: popatrzyła na nich głupkowato i poszła dalej. Aż żal im się zrobiło, że ich nieostrożność nie pociągnęła za sobą jakich poważnych skutków.

Czas mijał, a Maurycy żadnej nie mógł powziąć decyzji. Czy zeszedłszy w dolinę nadal dźwigać mieli cięższe, niż dotychczas kajdany, czy też — niezdolni do nowych kompromisów — potargać i precz odrzucić wszelkie więzy? Przytulona całem ciałem, usiłowała czytać w jego oczach:

— Oczy moje, oczy najmilsze, dlaczego uciekacie przedemną?

— Niewiem — westchnął, przymykając je, jak wówczas, gdy Edyta chyliła się nad przepaścią.

Lekko musnęła go ustami po powiekach i szeptała słowa, których słodycz kryła w sobie zuchwałe postanowienie:

— W te dni świetlane, dni jesienne, czuję, jak serce moje pęka z bólu. Każdy zmierzch ściele mi się kirem

na straconym dniu szczęścia. Wyjeżdżam dziś wieczorem. Czy wiesz o tem?

Drgnął na to niespodziewane zakończenie i wysunął się z jej objęć:

— Nie mów tego, Edyto.

— Mniemałeś dotąd, że to tylko czcze pogróżki. Otóż myliłeś się, jedyny — wyjadę dziś.

Kusiła go już tak nieraz i zawsze uchylał jej projekt jako niewykonalny, proponując w zamian, że wyjedzie pierwszy, i że wezwie ją do siebie, gdy tylko wyrobi sobie w Paryżu jakie stanowisko. Zaniepokojony i zdumiony tym nowym szturmem, gwałtowniejszym i bardziej niż zwykle bezpośrednim, usiłował jeszcze ją powstrzymać.

— Cicho bądź. Ja zostaję i kocham cię.

Po raz trzeci, powtórzyła z naciskiem:

— Wyjadę dziś wieczorem. O północy przechodzi express włoski. O północy będę wolna.

Rozpacznie załamał ręce.

— Cicho bądź.

— Będę mogła swobodnie mówić o mojem kochaniu. Płakać do syta, jeśli ciebie nie będzie. Wielbić cię ze wszystkich sił, jeśli ze mną pojedziesz.

— Przez litość, nie kuś mnie więcej!

— Duszę się w twojem Chambéry. Wasze historyczne domy czuć pleśnią. Duszę się od tłumionych uczuć. Tu, wszystko nas dzieli. Chcę napawać się moim bólem, jeśli ty tu zostaniesz; chcę oddychać pełnią życia, jeśli ze mną będziesz. Czy pojedziesz? Czy pojedziesz dziś wieczorem?

Do reszty oszołomiony jej pocałunkami, obiecał.

Przez chwilę, milcząc, upajała się swoim tryumfem, poczem szepnęła:

— Cała moja przeszłość zostaje poza mną.

Pociągnęła go za sobą ku przodowi Kalwarji, w słońce. Pocóż ukrywać się dalej? Pod błękitną kopułą nieba, ujrzeli w promiennym blasku radosny, a różnorodny kształt ziemi. Wprost nich, na krańcach widnokręgu, między ponurą masą skał Granier i Roche du Guet, zwiewne, koronkowe sylwetki Alp delfinackich, pierwszym śniegiem przyprószone, różowe od słonecznego blasku. Bardziej na prawo, przedzielone doliną Echelles, lesiste stoki gór Corbelet i Lépine, przedziwnie złote i rdzawe w zalewie jesiennych barw. U ich stóp, wieniec łagodnie falujących wzgórz — les Charmettes, Montagnole, Saint-Cassin, Vimines — o miękkim, miłym dla oka konturze. Świetlane smugi kładły się po wgłębieniach, migotały jarzącym pyłem poprzez mroczny chłód cieniów. Śpiczaste wieże kościelne i zielono-złote topole ostro odrzynały się na tem tle. Dołem, na równinie, drzemało senne Chambéry. A w pobliżu, tuż przy wejściu na Kalwarję — niczem krzyk radości — jaskrawa plama strojnej w czerwień i złoto winnicy.

— Pokaż mi, gdzie Włochy — poprosiła.

Niedbałym ruchem wskazał na lewo. Lecz zamiast tam spojrzeć, obejrzała się na niego. I osłupiała. Twarz Maurycego ściągnięta była bólem. To ją otrzeźwiło. Ona mogła podziwiać — jak obcy przechodzień — weselne piękno tego krajobrazu. Ale on odczuwał go inaczej. Ostatnim wysiłkiem, rodzinna jego ziemia, roztaczała oto przed nim swój czar, by go zatrzymać. Tam, w oddali dostrzegł la Vigie i zaraz przypłynęły ku niemu świetla-

nym rojem słodkie wspomnienia lat dziecięcych. Bliżej zaś, zasłuchany w prastarą baśń zamkowych głazów — dom — to, co każdy z nas zwie w dzieciństwie domem, jak gdyby tylko jeden był na świecie.

Zazdrośnie niemal śledziła w oczach Maurycego tę wewnętrzną walkę, ona, która nic nie miała do poświęcenia. I z westchnieniem położyła rękę na jego ramieniu.

— Słuchaj — rzekła — wyjadę lepiej sama.

Lecz on żachnął się wobec tej cudzej myśli, tak trafnie wnikającej w najtajniejsze, najbardziej ze wszystkich instynktowne odruchy jego jaźni.

— Nie! nie chcę! Czy mnie już nie kochasz?

— Czy ja cię kocham!...

Uśmiechnęła się do niego uśmiechem przedziwnej tkliwości. Mgła rozrzewnienia zasnuła jej oczy. Par excellence współczesna, jako typ niewieści, łaknąca przedewszystkiem szczerości i osobistych przeżyć, nagle zbuntowana po dziewięciu latach milczącej cierpliwości, zdecydowana była skorzystać za wszelką cenę z chwilowej nieobecności męża, by umknąć z pod małżeńskiego klucza. Jej romantyczny wyjazd przygotowany był drobiazgowo zarówno w szczegółach natury praktycznej, jak i w wyborze godziny. Zatarg Maurycego z ojcem zdawał go nieledwie na jej łaskę i niełaskę. Lecz w czem da ona kochankowi większy dowód miłości: czy wiążąc go z sobą na niepewną i burzliwą dolę, czy też usuwając się sama, daleko od niego? Nim go pokochała, życie wydawało jej się znośnem. To on tchnął w nią bezwiednie ducha buntu. Jak żyć teraz bez niego? Nalegała jednak, choć zamierało w niej serce. Nigdy już nie miała więcej ulec podobnemu odruchowi zaparcia się samej siebie: na spalo-

nych żarem drogach ludzkiej namiętności trafia się niekiedy taki wilgotny, zielony łęg, z którego skwar potrochu wszelką wypija rosę.

— Potrochu, powoli, zapomnisz o mnie. Nie przecz. Słuchaj tego, co mówię. Jesteś taki młody... Całe życie jeszcze przed tobą. Daj mi wyjechać samej.

Lecz jego wzburzyła ta upokarzająca wyrozumiałość. Kto mógł go zatrzymać? Czyż on sam, na podstawie własnych dociekań — dociekań dwudziestoczteroletniego mężczyzny — nie głosił prawa każdej jednostki do osobistego szczęścia?

— Nie chcę życia bez ciebie.

— To zostanę — rzekła — jeśli wolisz. Nauczę się lepiej kłamać, zobaczysz. Miłość usprawiedliwia przecież wszelką podłość.

Była to spóźniona propozycja. Wiedziała o tem dobrze i czekała na odmowę. Krótkie: nie! — z ust Maurycego, rzuciło mu ją w objęcia.

— Kocham cię aż do śmierci — szeptał.

— Tylko? to ja więcej.

— Niemożliwe.

— Aż po zbrodnię.

Niedbale dodała:

— Zabiorę dziś z sobą mój posag.

Przypomniały mu się wątpliwości ojca:

— Twój posag?

— A tak. Wpisany jest w umowę przedślubną. Wszak ci ją pokazywałam?

— Nie masz prawa zabierać tych pieniędzy. Wyda ci je dopiero sąd.

— Miałabym zostawiać mężowi to, co jest moją własnością? A z czego byśmy żyli?

— Zgromadzę dziś jeszcze trochę grosza. Potem postaram się o jakie zajęcie w Paryżu. Jeden z moich kolegów, którego ojciec stoi na czele jakiegoś wielkiego przedsiębiorstwa, obiecał mi wyrobić przy nim posadę doradcy prawnego. Na wszelki wypadek, przypomniałem mu niedawno jego obietnicę.

Nie przeczyła mu w niczem:

— Oczywiście, będziesz pracował. Lecz do Paryża pojedziemy dopiero później. Dzisiaj pojedziemy do Włoch.

— Dlaczego?

— Czy nie jest to obowiązkowa pielgrzymka wszystkich zakochanych?

Wstydliwie spuściła głowę. Z wrodzoną sobie giętkością, przybrała odrazu postać młodej narzeczonej, zdolnej wyrażać kolejno posmętek rozczarowań i wdzięk dziecięcy — sięgającej równocześnie chciwą dłonią po cierpki, a jednak ponętny i kuszący owoc życia.

Mrok siadał już na równinie. Ostrzej rysowały się przed nimi szczegóły krajobrazu, złoto barwiło się czerwienią. Piękno tych jesiennych wieczorów ciężyło jej, jak niesyta żądza:

— Jutro — westchnęła. — Ach! jutro!

Drgnął, jak ze snu zbudzony, i odwróciwszy się bez wahania plecami do gór, jął patrzyć na nią — na nią tylko, wspartą o kolumnę pod perystylem kaplicy. Czyż nie miała starczyć mu odtąd za wszystko?

Wspólny powrót w dolinę, aż do mostu Reclus, pod grozą spotkania kogo ze znajomych, był dla nich niejako odwetem przeciwko miastu i opinji.

— Niedługo piąta — rzekła przy rozstaniu. — Jeszcze siedm godzin.

Nadzieja syciła blask jej oczu, podczas gdy on myślał ze wstrętem o tych ciężkich godzinach, w ciągu których oszukiwać miał swoich najbliższych. Odgadła to i użaliła się nad dolą kochanka, by zniweczyć zawczasu wpływy, których moc trwała jeszcze nad Maurycym:

— Biedne dziecko, czy potrafisz kłamać przez cały wieczór?

Żachnął się i powtórzył — nie bez goryczy — jej własne słowa:

— Niema nic podłego wobec miłości.

— Zobaczysz — rzekła — jaka to ohyda. Zrozumiesz wówczas mój wstyd i moje znużenie. Ja kłamię odkąd ciebie kocham. Odwagi. Do wieczora.

Przed powrotem do domu, poczynił pewne kroki w celu pożyczenia niezbędnych mu pieniędzy. Od ciotecznego dziada, Stefana Roquevillard, starego oryginała, który uchodził za skąpca, i od pobożnej, a miłosiernej ciotki Teresy, otrzymał razem blisko tysiąc franków; dalej pięćset franków od siostry, pani Marcellaz, i tyleż od przyszłego szwagra, Rajmunda Bercy. Pożyczkę upozorować musiał koniecznością zwrotu długów zaciągniętych podczas studjów uniwersyteckich. W duszy został mu gorzki posmak upokorzenia, który złożył wprawdzie jako ofiarę na ołtarzu swojej miłości, lecz jakoś bezskutecznie: gorycz nie ustępowała. Mimoto, nie zastanowił się nad tem, że wszyscy obcy, których obligował kolejno, odmówili jego prośbie, podczas, gdy rodzina — chętnie lub burcząc — przyszła mu jednak zaraz z pomocą w jego zmyślonym kłopocie.

O szóstej wrócił do kancelarji Frasne'a, akurat w chwili, gdy dependenci zamykali drzwi.

— Mam jeszcze do napisania kilka listów — rzekł. — Sam wszystko pozamykam.

Napisał w rzeczy samej do kilku najlepiej ustosunkowanych znajomych z prośbą o natychmiastowe, dobrze płatne zajęcie w Paryżu. Wielokrotny laureat, liczył na poparcie dawnych swoich profesorów z wydziału prawnego. Nie zetknął się jeszcze nigdy z trudnościami walki o byt — i ufny we własne siły, wierzył, iż pokonać zdoła wszelkie przeszkody. A adres? Po namyśle, podał Medjolan, poste-restante.

Te przygotowania narazie stępiły nieco ból przyszłych pożegnań. Lecz ból wrócił, ostry i przejmujący, u bramy rodzicielskiego domu. Po raz ostatni... Niezwłocznie przez pokojówkę meldowany, zamknął się odrazu w swoim pokoju. Zastała go tam Małgorzata, jak siedział z głową wspartą na dłoniach, tak pogrążony w ciężkiej zadumie, że nie słyszał wcale jej pukania. Drgnął, gdy ujęła go z pieszczotą za obie ręce.

— Co ci dolega, Maurycy?

— Nic.

— Jestem twoją siostrzyczką, a ty nie chcesz mi powiedzieć, jaka troska cię gnębi. Kto wie? Może przydałabym się na co.

Żeby usprawiedliwić przygnębienie, któremu nie mógł zaprzeczyć, wspomniał o rzekomych kłopotach pieniężnych. Dziewczę przerwało mu:

— Poczekaj chwilkę.

Znikła, a gdy wróciła niebawem, promieniejąca tryumfem, w ręku jej szeleścił nowiutki tysiącfrankowy banknot:

— Czy dosyć? Ojciec dał mi trzy takie na wyprawę. Szczęśliwie został mi jeszcze ten.

— Zwarjowałaś, Małgosiu. Nie chcę go.

— Weź, weź koniecznie. Taka jestem rada! Kilka koszul mniej nie zuboży mnie.

Śmiała się, a jemu łzy drżały pod powiekami. Przemógł się wielkim wysiłkiem woli i przygarnął ją tylko do serca — do tego serca, które snać nie należało bezpodzielnie do pani Frasne.

— Kochaj mnie zawsze — szepnął — cokolwiek się stanie.

Podniosła ku niemu pytające oczy. Lecz powstrzymana własną wspaniałomyślnością, nie śmiała żądać w zamian od niego jakichkolwiek zwierzeń. Tylko w przejściu do stołowego pokoju poprosiła rzewnie:

— Bądź uprzejmy dla ojca, a pokocham cię jeszcze mocniej.

Obiad przeszedł spokojnie, dzięki obecności Rajmunda Bercy, która ułatwiła zetknięcie się pana Roquevillarda z synem. Pod pozorem migreny, Maurycy wcześniej, niż zwykle opuścił wieczorem salon. Na palcach zajrzał do pokoju chorej matki. Z rosterką w duszy, przywarł ustami do jej ręki. Poznała go po dotknięciu i łagodnie pogłaskała po twarzy. Uciekł, by nie wybuchnąć płaczem. Miłość nakazywała mu takie oto okrucieństwo.

Spakował walizkę, nie obciążając jej zbytnio, skoro sam miał nieść ją na dworzec; włożył w portfel swoje własne pieniądze, to co pożyczyli mu krewni i co dostał od Małgorzaty — ogółem przeszło pięć tysięcy franków, co przy jego życiowem niedoświadczeniu wydawało mu się pokaźną sumą — zabrał należącą do niego biżuterję

i gotów już, jął czekać, jak skazany na śmierć, chwili, która złączyć go miała z ukochaną. W powziętej decyzji utrzymywał go rozum — nieomylny jego rozum — ukazujący mu piękno wolnego bytowania na własny rachunek, zamiast nieuchronnej, a przymusowej wegetacji na szarym końcu nieprzerwanego łańcucha Roquevillardów.

Upewniany zachowaniem się Maurycego i pół-zwierzeniem córki, pan Roquevillard zasnął jako tako spokojnie, postanowiwszy jednak uprzednio usunąć syna z Chambéry. Zwróci się do starego przyjaciela, któremu świadczył wielokroć w potrzebie, a który, po długiej włóczędze naokoło świata, doszczętnie zrujnowany, osiadł w Tunisie jako adwokat, dorobił się tam majątku i w listach swoich coraz częściej wspominał mu teraz o chęci wypoczynku lub conajmniej dobrania sobie zaufanego pomocnika. W dwudziestym czwartym roku życia, taka podróż, tyle nowych wrażeń, czyż to nie najlepszy sposób, by zapomnieć — a zapominając, wyzwolić się z pod fatalnego czaru?

W ciszy nocnej, zdało mu się, że słyszy skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi. Lecz, gdy nic nie mąciło więcej sennej głuszy, pomyślał, że to tylko złudzenie i usiłował zasnąć z powrotem. Po dość długiej walce, zapalił zapałkę, spojrzał na zegarek wskazujący akurat wpół do pierwszej, wstał i wyszedł z pokoju. Na końcu korytarza, wąski pasek światła znaczył szparę pod drzwiami Maurycego. Podszedł tuż, nastawił ucha, a nie słysząc żadnego szmeru, zapukał. Nikt się nie odezwał. Po krótkiem wahaniu, nacisnął klamkę i wszedł:

— Zapomniał zgasić lampę — uspakajał sam siebie, gdy już brał go w szpony nagły lęk.

Odrazu rzuciło mu się w oczy nietknięte łóżko, wysunięta, pusta szuflada. Wrócił do swego pokoju, odział się czemprędzej i mimo sześćdziesiątki, kłusem — jak młody człowiek — pobiegł na dworzec. Express włoski już pewno odszedł, lecz pozostawał jeszcze jeden pociąg idący do Genewy. Znajomy urzędnik poinformował go. Maurycy wyjechał razem z nią. Wzięli bilety do Turynu.

Sam na ulicy, jęknął, jak jęczy dąb przy pierwszem uderzeniu siekiery. Lecz, jak dąb wytrzymały, nie ugiął się pod ciosem.

Ród, rodzina, nawet byt jednostki nie jest, nie może być zasadniczo podcięty przez błąd młodości. Prędzej czy później odnajdzie syna i wróci go ognisku domowemu, lub też los sam przywiedzie z powrotem marnotrawne dziecię — i tak, jak w odwiecznej legendzie, zamiast robić mu wymówki, on, ojciec, zabić każe na jego przyjęcie tłuste cielę. Ognisko rodzinne: tam goją się wszystkie rany, tam niezawodna, bezpieczna przystań! Mąż rzucić może żonę, żona męża, niewdzięczne dzieci ojca i matkę; ojciec i matka nie opuszczą nigdy dziecka, choćby odstąpili je wszyscy.

Miasto było jak gdyby wymarłe w miesięcznej poświacie. Kroki pana Roquevillarda głośno rozlegały się w tej pustce. U wylotu ulicy Boigne zamajaczył przed nim zamek i wieżyce zamkowe, groźniejsze i wyższe w księżycowym blasku. Pobliskie drzewo rzucało mroczny cień na wysrebrzoną biel fasady. Za kilka godzin, milczące miasto ożyje, by powitać zelżywym śmiechem ten rodzinny dramat.

Gdy otworzył drzwi, podeszła ku niemu biała postać. Była to Małgorzata.

— Ojcze, co się stało?

W braku żony, mógł podzielić się z córką brzemieniem troski. Szacował ją na tyle, by nic przed nią nie zataić.

— Wyjechali — odparł krótko.

— Ah! — westchnęła, zrozumiawszy teraz niezapomniany, bolesny wyraz twarzy brata.

I znów ojciec i córka przygarnęli się do siebie we wspólnym bólu. Poczem czule odprowadził ją do drzwi jej pokoju i pożegnał tem zleceniem:

— Nie budźmy matki, maleńka. Aż nadto wcześnie zdąży dowiedzieć się o wszystkiem.

* *
*

## IV

## ZEMSTA PANA FRASNE'A

Z niewielką walizką w ręku, z nosem wtulonym w kołnierz palta, pan Frasne wysiadł z rannego kurjera na dworcu w Chambéry i szybkim krokiem ruszył po dwudniowej nieobecności do domu. Już we drzwiach, z twarzy pokojówki, otwierającej mu, poznał, iż coś dzieje się lub działo pod jego dachem. Był to blisko pięćdziesięcioletni mężczyzna, dość dobrze zakonserwowany, na pierwszy rzut oka poprawny, chłodny i dystyngowany, lecz którego mięsiste wargi, a zwłaszcza wyłupiaste, nawpół szkłami przysłonięte oczy, czyniły niebawem dziwnie niemiłe wrażenie.

— Wszystko dobrze? — zapytał, wbrew przykremu przeczuciu. A pani?

Odpowiedź służącej zadźwięczała nieuchwytną nutą szyderstwa:

— Pani wyjechała wczoraj wieczorem z kuframi do Włoch.

— Do Włoch?

— Tak, proszę pana.

— O której godzinie?

— O północy.

— Bez żadnych wyjaśnień?

— Wyjeżdżając, pani powiedziała mi, że pan jest uwiadomiony.

— W istocie — odparł z zimną krwią pan Frasne. Przyniesiesz mi śniadanie do mojego gabinetu.

I zupełnie napozór spokojny, wszedł do swojego gabinetu, sąsiadującego z kancelarją. Pocóż badać dłużej tę złośliwą i widocznie błędnie poinformowaną dziewczynę? Niespodziewana wiadomość — nagła jak grom — nie sprawiała mu jeszcze żadnego bólu. Był tylko zdziwiony. Rana, nawet śmiertelna, nie różni się zrazu w niczem od zwykłego uderzenia. Ból przychodzi dopiero później. Wchodząc do pokoju, dostrzegł na biurku zapieczętowany list, umieszczony tam z ostentacją, prawie, że agresywnie. Wziął go w rękę i zadumał się. Koperta zawierała niewątpliwie wyjaśnienie tego wyjazdu — porzucenia, przekornej próby, czy też poprostu nietaktu? Po dziewięciu latach małżeństwa, tak dalece niepewny był żony, że wszelkie przypuszczenia wydawały mu się jednakowo prawdopodobne. Czy szukać należało towarzysza ucieczki, czy też kłaść ją na karb kaprysu histeryczki, która powróci wkrótce pod dach mężowski? Osoba Maurycego Roquevillarda nie przyszła mu nawet na myśl. Pani Frasne lubiła hołdy: każdy ze znajomych jednakowo zabiegał o jej względy. Mąż mógł więc nie brać na serjo banalnej życzliwości, jaką okazywała jego dependentowi, jakkolwiek anonimowe listy dawniej już ostrzegały go, że miasto interesuje się stosunkiem tych dwojga. Dzielił zwykłą u starszych pogardę dla młodych, którzy, biorąc czas za sprzymierzeńca, chętnie poprzestają na nadziei. W miarę bowiem, jak uchodzi

młodość, przypisujemy zawsze domniemanemu uwodzicielowi własny wiek, lub też do własnego zbliżony. Uczucia miały dla rejenta wartość dopiero w połączeniu z faktami, wiedział zaś, jak często moralne koalicje prowincji uniemożliwiają spełnienie się duchowego wiarołomstwa. Następnie jakżeż dopuścić tak niemądrą hypotezę, jak dobrowolne wyrzeczenie się dostatku i wygodnego bytu? Nie rozumiał tego, lecz stał wobec faktu, on, który uznawał w życiu tylko fakty. Podrażniony tajemnicą, której przenikliwość jego nie mogła zgłębić, rozdarł kopertę i zaczął czytać:

„PANIE!

Nie kochałam cię nigdy i ty wiedziałeś o tem. Czem jest serce kobiety dla tego, kto posiadł je aktem prawnym? Mogłam znosić to jarzmo przez lat dziewięć, bo nie kochałam nikogo. Dziś jest inaczej: wyzwalam się lojalnie, zamiast dzielić siebie między męża a kochanka. Nie trzyma mnie tu nic. W pierwszych latach naszego małżeństwa, nie chciałeś pan dzieci: byłoby może dość małej, wyciągniętej ku mnie rączki, by przykuć mnie na zawsze, lecz dom nasz jest pusty i nikomu nie jestem w nim potrzebna. Oceniłeś mnie na sto tysięcy franków w naszym kontrakcie ślubnym. Nie dziw się, że zabieram z sobą cenę mojej osoby. Zapłaciłam zań sowicie zmarnowaną młodością. Opuszczając twój dom, przebaczam ci. Żegnaj.

Edyta Dannemarie".

Dla pana Frasne — bądź to z przyzwyczajenia zawodowego, bądź też z racji szczególniej pozytywistycznej umysłowości — wszystkie sprawy życia, nie wyłączając uczuć, wyrażały się w aktach i obligacjach. Nasz chara-

kter rządzi nami nawet w chwilach agonji; w katastrofie, łamiącej jego życie, odczuwał na razie tylko stratę żony, nie pieniędzy, jakkolwiek lubił grosz; lecz by wskrzesić przeszłość i obudzić ból, sięgnął instynktownie do szuflady po kontrakt, wspomniany w liście. Stemplowany papier jaśniej stawił mu przed oczy wielką namiętność jego średnich lat. Ujrzał znów, w kościelnych wrotach, smukłą, gibką dziewczynę, której ruchy i oczy zdradzały wewnętrzne podniecenie. Było to w Tronche, pod Grenoble, w rodzinnej jego ziemi, dokąd zjeżdżał co lato z Paryża, gdzie był starszym dependentem; mimo bliskiej czterdziestki, nie mógł jakoś zdecydować się na całkowity wyjazd ze stolicy i osiedlenie w któremś z miast Delfinatu. Zebrane informacje wykazały, że Edyta Dannemarie niedaleko zamieszkiwała z matką ubogi domek, do którego obie kobiety schroniły się prawie bez środków po śmierci ojca rodziny, doszczętnie zrujnowanego grą. Na głuchej wsi, z takiemi oczyma, panna musiała być niewątpliwie łatwym łupem. Zdobywał ją dwa lata z rzędu. Ona zaś — egzaltowana — czekała na księcia i niecierpliwiła się czekaniem. To też trzymała go zdala, nie zniechęcając wszakże zbytnio. Wrodzonym sprytem, przez nikogo nie pouczana, posiadła sztukę kuszenia odmową i próbowała jej kosztem człowieka, którego zbyt łatwe zdobycze miłosne i wieloletni nawyk płciowy czyniły drażliwym i mniej na taką kokieterję odpornym. Uznał się wreszcie za pokonanego: żądza silniejsza była od wyrachowania. Po śmierci rodziców, wzbogacony znacznym spadkiem, zdecydował się w końcu prosić oficjalnie o rękę, która odpychała go, wskazując mu równocześnie miejsce na ślubną obrączkę.

Jakim cudem, poprzez lakoniczne klauzule kontraktu, dostrzec mógł śladów tej miłości? Jeden z paragrafów przyznawał przyszłej małżonce, z chwilą zawarcia małżeństwa, darowiznę w kwocie stu tysięcy franków; nie — jak jest we zwyczaju i prawie konieczne w podobnym wypadku — dar uwarunkowany przeżyciem donatarjusza, lecz darowiznę natychmiastową, bezpośrednie przelanie prawa własności. Ta anormalna wspaniałomyślność był to najlepszy dowód jego słabości, opłakane świadectwo jego porażki, sprawdzian siły jego uczuć.

Zadumę pana Frasne przerwała pokojówka, która przyniosła mu śniadanie. Usługując panu, obserwowała go z pod oka, zbita z tropu widokiem urzędowych papierów. Studjował najwidoczniej jakieś akta, wówczas, gdy ona czyhała na ból jego, lub gniew, by rozgłosić je po mieście. Oddalił ją skinieniem ręki. Śniadanie zjadł bez apetytu, z nakazu woli: czyż nie będzie mu wkrótce potrzebna pełnia sił do powzięcia stanowczej decyzji?

Pijąc małymi łykami gorącą czekoladę, przeżywał ubiegłe lata. Przeżywał je ze swojego punktu widzenia, niezdolny — jak większość mężczyzn i wszystkie niemal kobiety — do wczucia się w punkt widzenia strony przeciwnej. Najpierw, po długiem wahaniu i licznych zwłokach — nie z jego przyczyny — ślub w la Tronche i wyjazd do Paryża. Paryż ujawnił mu w żonie nieznaną istotę, śmiało i ochoczo przerzucającą się z osamotnienia i głuchej ciszy w najbardziej szaloną wrzawę. Nie szczędziła ona jego dojrzałych lat, lecz i on również nie uszanował jej młodości. Wówczas to, w nadziei wypoczynku na prowincji, nabył w Chambéry kancelarję po rejencie Clairval. Pani Frasne przyjęła tę radykalną zmianę egzystencji z obo-

jętnością osoby, przez los zawiedzionej. Osamotnienie nie ciężyło jej na pozór tak samo, jak i nie cieszyły ją rozrywki. Upłynęło tak dwa lata, o tyle spokojnie, o ile można było być spokojnym u boku kobiety, która nawet w zupełnej głuszy, nie przestawała budzić pewnego lęku. I oto, gdy łudził się, że osiadła już na dobre w dostatku, w doborowych stosunkach towarzyskich, w deptaku codziennych spraw — ucieka nagle z pod jego dachu z kochankiem.

Powalony katastrofą, do której nie był przygotowany, rejent machinalnie zawrócił wstecz drogą wspomnień, sprecyzowanych urzędowym aktem. Po raz wtóry stanął nad brzegiem otchłani i tym razem zgłębił ją lepiej. Pogardzony zrazu Maurycy Roquevillard, stał się teraz ośrodkiem jego zazdrosnej wściekłości. Edyta nie uciekła sama. Wyjechała z nim, prawdopodobnie, niewątpliwie. W tejże chwili, hen daleko, w bezpiecznem ukryciu, tuli ją do serca... Pan Frasne wytarł oczy chustką, potem — w nagłym bólu — jął drzeć ją zębami. Łkał i płakał jak dziecko. „Kocha mnie po swojemu" — mawiała o nim. Ten rodzaj miłości, jakkolwiek nienajszlachetniejszy, jest wszakże najbardziej płodny w mękę: snuje wizje rozkosznych, a okrutnych obrazów, orze serce jak pług ziemię i rozżarza nienawiść.

Znów wziął do ręki list i kontrakt, już nie po to, by zgłębiać swoją niedolę, lecz w poszukiwaniu zemsty. Zejdą się wkrótce dependenci. Trzeba więc przeprowadzić przedtem śledztwo, zebrać materjał. Zabrane, czy też raczej ukradzione pieniądze — gdyż darowizna między małżonkami traci moc obowiązującą w razie rozwodu — wyjęte zostały z kasy ogniotrwałej. Niedawno zainkasował był

cenę sprzedaży w kwocie stu dwudziestu tysięcy franków, płatną za kilka dni, w terminie legalizacji aktu. Sam mógł się z tem przed nią wygadać. Klucz można dorobić lub ukraść, lecz jakim sposobem zdołała ona wykryć tajną kombinację cyfr, bez której klucz jako taki traci wszelką wartość?

Wstał i obejrzał kasę. Zamek był nietknięty. Sięgnął do kieszeni po klucze i wówczas spostrzegł brak odnośnego kluczyka. Odczepiony został niewątpliwie w dniu jego wyjazdu. Drugi klucz, zapasowy, oddawany był zawsze na czas nieobecności szefa starszemu dependentowi. Musiał więc czekać z otwarciem i sprawdzeniem wnętrza na przybycie dependenta, który służyć mu będzie następnie za świadka.

Wróciwszy na dawne miejsce przed biurko, odszukał kodeks karny i zaczął przerzucać paragrafy tyczące się przestępstw przeciwko własności. W artykule 380 przeczytał, że kradzież popełniona przez męża na szkodę żony, lub też przez żonę na szkodę męża, może być tylko skierowana na drogę odszkodowań cywilnych. Lecz zakończenie tegoż artykułu, który wytrącał mu broń z ręki w stosunku do wiarołomnej żony, uzbrajał go przeciwko jej wspólnikowi:

„Wszelkie inne osoby, winne ukrycia lub zużytkowania na własną korzyść całości, czy też części skradzionych przedmiotów, karane będą za złodziejstwo". Idąc tym śladem, znalazł jeszcze coś więcej. Artykuł 408, dotyczący nadużycia zaufania, uważał za okoliczność obciążającą fakt popełnienia tego nadużycia przez urzędnika państwowego lub ministerjalnego, przez służącego, przez płatnego oficjalistę — ucznia, dependenta, subjekta, robo-

tnika, terminatora lub czeladnika na szkodę pryncypała i karał za to więzieniem. Któż zabroni mu oskarżyć Maurycego Roquevillarda i wyłącznie tylko jego oskarżyć? Czyż to nie prawdopodobne? Młody Roquevillard obznajmiony był z ruchem kancelarji, z terminami wypłat, z datą kontraktów, z nieobecnością rejenta. Mógł posiąść tajemnicę zamku, przywłaszczyć sobie chwilowo klucz starszego dependenta. W braku osobistego majątku, musiał wystarać się o środki na wyjazd z kochanką. Sam fakt ucieczki zagranicę, czyż nie stanowił skądinąd ważnej poszlaki? List pani Frasne dementował wprawdzie podobne zarzuty. Lecz dość było usunąć oświadczenie pani Frasne — obojętne w stosunku do niej samej, a niegodne ze względu na jej kochanka, by zwrócić wszystko przeciwko niemu. Tracił nawet wówczas wszelką możność obrony: chcąc bronić się, musiałby wystąpić przeciwko pani Frasne, lub conajmniej uznać fakt wspólnego pożycia na jej koszt. Jako człowiek honoru, nie mógł tego uczynić. Czekał go tedy niechybnie wyrok potępiający. Miłosna eskapada skończy się więzieniem. Zasiądzie na ławie oskarżonych. Shańbiony, napiętnowany, złamany, odpokutuje za nią i za siebie. Rodzina zaś, by zmniejszyć jego winę, zwróci może skradzioną sumę. Tym sposobem katastrofa zmaleje o całą materjalną stratę. Bo gdy minął pierwszy żal, materjalna strata nie wydała się już panu Frasnemu takim mało znaczącym drobiazgiem.

Zgłębianie kombinacji tak płodnej w przeróżne dedukcje i doprowadzanie jej aż do ostatecznych wyników, znacznie ulżyło mu na duszy. Zapominał o własnym bólu, gotując mękę rywalowi. Roztrząsał bez litości najdalej sięgające konsekwencje swojej zemsty, aż do poniżenia tych

dumnych Roquevillardów, którzy wszakże przyjęli byli swego czasu po przyjacielsku następcę starego Clairvala. Sam nieszczęśliwy, rad był cisnąć niedolę swoją całemu światu jak przekleństwo. Po raz ostatni przeczytał list żony — jedyną przeszkodę w jego zamiarach — i zupełnie już zdecydowany, stanowczym ruchem rzucił go w ogień. Trawiony płomieniem, papier zwinął się, zczerniał i rozsypał wreszcie w popiół.

Wybiła dziewiąta.

Punktualnie, jeden za drugim, wchodzili dependenci i zasiadali do pracy. Rejent otworzył natychmiast drzwi między gabinetem a kancelarją i nie kłaniając się nikomu, przywołał zmienionym głosem starszego z pośród nich.

— Philippeaux, brak mi klucza od kasy.

— Oto jest, proszę pana — odparł dependent. — Oddał mi go pan na czas swojej nieobecności. Wcale go nawet nie używałem.

— Racja. Proszę tu do mnie.

Obaj mężczyźni weszli do gabinetu.

Pan Frasne otworzył kasę i odrazu zauważył w niej pewien nieład.

— Szukał pan czegoś? może jakiego testamentu?

Philippeaux zaprzeczył najsolenniej:

— Nie, proszę pana; przysięgam, że nie.

— W takim razie, nie rozumiem. Proszę: ta koperta jest rozdarta. Zawierała cenę kupna Belvade: sto dwadzieścia tysięcy franków. Liczyliśmy je razem.

— Istotnie — przyświadczył przerażony dependent.

Bardzo spokojny, rejent zaprzestał dalszego badania i zamknął starannie kasę.

— Ktoś tu był.

— To niemożliwe.

— A jednak powtarzam, że ktoś tu był. Sprawdzimy zawartość kasy w obecności komisarza policji. Kto zamykał wczoraj kancelarję?

— Maurycy Roquevillard.

— Czy został tu sam?

— Tak. Miał pisać jakieś listy.

— Jak długo był?

— Nie wiem. Spotkałem go w pół godziny później pod portykiem. Oddał mi wówczas klucze.

— Klucze? Czy był tam razem i klucz od kasy?

— Tak.

— Cóż za nieostrożność!

Po chwili milczenia, pan Frasne zapytał:

— Czy nie przyszedł jeszcze?

— Kto taki?

— Maurycy Roquevillard.

— Roquevillard nie przyjdzie więcej — odparł dependent głosem pełnym jadu.

Pan Frasne przyjrzał mu się badawczo. Z tych krótkich oględzin wysnuł dwa wnioski: raz, że wieść o jego nieszczęściu rozeszła się już po mieście; powtóre, że Philippeaux, którego dawniej już posądzał o tajoną zazdrość, będzie wiernym sprzymierzeńcem. Niemniej udał nieświadomość.

— Ma pan słuszność. Wszak miał wrócić do ojca.

— Nie, panie. Wyjechał kurjerem, wczoraj, o północy.

— A dokąd-że to?

— Do Włoch.

— Ah, rozumiem teraz — przyznał wreszcie rejent.

I cedząc słowa, wydał wyrok:

— To on zatem dobrał się do mojej kasy. Lecz jakim sposobem odnalazł cyfrę?

— Mam lichą pamięć, więc cyfra — wprawdzie bez wskazówki — zapisana jest w moim notatniku. Roquevillard mógł ją dostrzec i odgadnąć jej znaczenie.

Uradowany w głębi duszy tym szczególniejszym zbiegiem okoliczności, pan Frasne po raz wtóry utkwił w swoim dependencie surowe wejrzenie:

— Jesteś podwójnie nieostrożny, panie Philippeaux. Zechciej pan wysłać jednego ze swoich kolegów po komisarza policji. Niechaj sam prowadzi śledztwo.

Kasa prawnie została zrewidowana w obecności kilku świadków. Pan Frasne starannie spisał inwentarjusz. Nie brak było niczego. Ogólna cyfra inkasa zgadzała się co do grosza.

— Pozostaje jeszcze do sprawdzenia ta duża koperta, którą odpieczętowano, rzekł z zimną krwią rejent, osobiście prowadzący śledztwo. Zawierała cenę kupna Belvade, stodwadzieścia tysięcy franków w banknotach. Liczyłem je przy obecnym tu moim starszym dependencie, który niechaj sam o tem zaświadczy.

— Istotnie, panie komisarzu.

— Cyfra jest tu wypisana, pełnemi słowami.

Owóż koperta zawierała tylko dwadzieścia tysiącfrankowych banknotów.

— Ukradziono mi sto tysięcy franków — oświadczył chłodno pan Frasne.

— Czem tłómaczy pan sobie fakt — zauważył komisarz — że złodziej nie wziął wszystkiego? Zazwyczaj, nie ograniczają oni dobrowolnie swoich zysków.

— Wyjaśnię to w sądzie, dokąd niezwłocznie sprawę moją skieruję.

— To pańska rzecz. Czy posądza pan kogoś?

— Tak jest.

— Służbę?

— O, nie. Służba byłaby uciekła. A zresztą żadno z nich nie byłoby potrafiło odszukać tajnej cyfry.

— Oczywiście. Pójdę więc teraz spisać protokół.

— Może zechce pan towarzyszyć mi do sądu? Wszak to bliziutko.

— I owszem.

Poszli zaraz. Rejent odbył z prokuratorem długą konferencję, która przeciągnęła się jeszcze znacznie po odejściu komisarza policji. Schodząc ze schodów, na samym dole, spotkał pana Roquevillarda. Było kwadrans po dwunastej, zwykła pora rozpoczęcia sesji sądowej. Obaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy i wymienili ukłony.

* * *

## V

## RODZINA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Przed rozpoczęciem sesji, adwokaci i obrońcy gawędzą zwykle parę minut w wielkim przedsionku gmachu sądowego: Jest to sito, przesiewające wszystkie plotki i nowiny miasta. Lecz pan Roquevillard, lubiany za dowcip, a omijany przez niektórych z racji ciętego języka, powiesił palto w szatni i zajął odrazu swoje miejsce na ławie obrony. Koledzy obserwowali go zdaleka ze złośliwą ciekawością i bawili się wybrykiem młodego Maurycego, traktując go skądinąd pobłażliwie, nieledwie jako odwet za zbytnią surowość obyczajów prowincji. Stary adwokat zdawał się być całkowicie pogrążony w przyniesionych aktach.

Podszedł ku niemu woźny i lekko dotknął jego ramienia:

— Pana mecenasa wzywają do trybunału.

Wstał natychmiast, gestem pełnym szacunku:

— Idę — rzekł krótko.

Zdarza się codziennie, że prezydjum korzysta z obecności jednego z adwokatów, by zasięgnąć jego zdania w niektórych sprawach karnych. Niemniej jednak pan

Roquevillard był niespokojny: spotkanie z panem Frasne nasuwało mu następującą uwagę:

— Czyżby oszalał do tego stopnia, by wnieść skargę o wiarołomstwo?

Prawnie, wiarołomstwo jest przestępstwem. Tylko mężowi wolno je ujawnić, lecz rzadko który mąż korzystać chce z tego przywileju. Ale twarz rejenta była tak nieprzenikniona.....

Prokurator Republiki, pan Vallerois, kierował wydziałem śledczym w Chambéry od lat kilkunastu. Miał możność ocenić przez ten czas zawodową nieskazitelność, charakter i wybitne zdolności starego adwokata. Wspominano wprawdzie o ewentualnej jego kandydaturze w przyszłych wyborach sądowniczych i o tem, że, w razie przyjęcia mandatu, opozycja przeciwrządowa znalazłaby w nim najenergiczniejszego i największym posłuchem cieszącego się przywódcę. Oskarżenie pana Frasne niweczyło całkowicie wszelkie zamiary w dziedzinie polityki. Ambitny jako urzędnik, prokurator stwierdzał to bez przykrości, w chwili, gdy pan Roquevillard wchodził do jego gabinetu.

Lecz myśl ta pierzchła, gdy miał do niego przemówić. Widział tylko przed sobą uczciwego człowieka w nieszczęściu. Podał mu rękę i zaczął:

— Muszę spełnić wobec pana przykre zadanie...

Urwał i zawahał się. Siły duchowe adwokata ujawniały się najwyraźniej w ciężkich chwilach życia. Wdzięczny był prokuratorowi za okazaną mu delikatność, lecz podążył prosto do celu.

— Rzecz tyczy mojego syna?

— Tak jest.

— Czy to podanie o rozwód, do którego wmieszane jest jego nazwisko? czy też skarga o wiarołomstwo?

— Niestety, nie.

— Niestety?

Słowo to mogło mieć jedno tylko znaczenie. Bez drżenia w głosie, lecz z widocznym trudem, pan Roquevillard zapytał:

— Czyżby stało się co złego? Może samobójstwo?

— Ależ nie, niech się pan uspokoi — zawołał pan Vallerois, po niewczasie zdając sobie sprawę z wywołanego wrażenia. — Wyjechał dziś w nocy z panią Frasne: wszyscy już o tem wiedzą. Lecz co gorsza, to, że pan Frasne, który wyszedł stąd przed chwilą, złożył w moje ręce przeciwko niemu skargę o nadużycie zaufania.

Mimo całej mocy nad sobą, stary adwokat, z łuną wstydu w twarzy, krzyknął:

— Nadużycie zaufania? To fałsz. Znam moje dziecko.

Prokurator odczytał mu oskarżenie podpisane przez rejenta i protokół komisarza policji. Pan Roquevillard uważnie wysłuchał wszystkiego do końca. Istotnie mogło to być — było załamanie się jego rodu, jego nazwiska. Spokojny na pozór, choć zgnięty w samo serce, rzekł po chwili:

— Pan Frasne mści się nikczemnie.

— I ja tak sądzę — odparł pan Vallerois, nie tając bynajmniej swojej sympatji. Lecz pieniądze znikły: jak wstrzymać teraz akcję sądową?

— Mój syn nie wyjechał sam. Gdy dwudziestoletni chłopak uwozi trzydziestoletnią kobietę, które z dwojga szykuje wyprawę i nią kieruje?

— To samo dałem przed chwilą do zrozumienia, dość nawet wyraźnie. Zalecałem ostrożność i domagałem się dwudziestu czterech godzin namysłu. Pan Frasne był niewzruszony. Sprawiedliwości musi stać się zadość. Zmuszony jestem oddać sprawę sędziemu śledczemu.

Sprężony w sobie wobec nieoczekiwanego ciosu, pan Roquevillard milczał, podczas gdy prokurator roztrząsał i obracał w wszystkie strony nierozwiązalne zagadnienie:

— Istnieją przeciwko niemu poszlaki ważne, konkretne, ze wszech miar zgodne: jego stanowisko w kancelarji rejenta, wczorajsza bytność, z kluczami w ręku, po odejściu innych pracowników, brak środków do wykonania zuchwałego przedsięwzięcia, wreszcie sama cyfra skradzionych pieniędzy, ściśle przezeń oznaczona, tak jak oznacza się kwotę pożyczki, która ma być zwrócona.

— Przemawiają za nim inne względy — odparł z dumą ojciec. W pierwszym rzędzie ród, z jakiego się wywodzi. Następnie, kto powiedział panu, że wyjechał bez środków? Gdy jego własny grosz będzie wyczerpany, wróci, ręczę za to.

Rozmowę przerwał woźny, wzywając adwokata na rozpoczęte już posiedzenie sądu.

— Idę zaraz — rzekł pan Roquevillard i odprawił go skinieniem ręki.

— Lecz na wypadek aresztowania, jakżeż będzie się bronił? — pytał pan Vallerois. — Niechżeż pan zechce zrozumieć, że sprawa jest dla niego niepomyślna. Dowody są przeciwko niemu. W najlepszym zaś razie, chcąc siebie oczyścić, musi ją oskarżyć. Czy zechce to uczynić? Tak czy owak, zawsze uchodzić będzie za jej wspólnika. Dlatego też, o ile wiadomem jest panu miejsce jego pobytu,

niechaj mu pan poradzi, by nie wracał zaraz do kraju. Ja tymczasem zwolna domagać się będę u władz włoskich o wydanie go.

Pan Roquevillard energicznie zaprzeczył głową:

— Nie, nie. Ucieczka, to przyznanie się do winy. Powinien wrócić. Znajdę dowody uniewinniające go...

A po chwili namysłu dodał:

— Skoro nasze nieszczęście nie jest panu obojętne, panie prokuratorze, czy nie mógłbym prosić pana o przysługę, o wielką przysługę, która może nas jeszcze ocalić?

— Mianowicie?

— Niech pan zaproponuje panu Frasne cofnięcie skargi w zamian za całkowitą wypłatę stu tysięcy franków.

— Zwróciłby je pan?

— Tak, zapłaciłbym.

— A jeśli syn pański jest niewinny?

— Jest na razie w potrzasku. Sam pan to powiedział przed chwilą. Honor nasz wart więcej. Pragnę uniknąć rozgłosu za wszelką cenę.

— Pan Frasne uchodzi za człowieka chciwego. Być może, iż użył on skargi poprostu jako środka do odzyskania utraconych pieniędzy. Dajmy mu zrazu połowę.

— O nie, nie chcę żadnych targów. Pełna kwota w zamian za cofnięcie się.

Dbały o własny spokój i o względy należne wysokiemu swojemu stanowisku, urzędnik jął lawirować pod osłoną zawodowych skrupułów:

— Istotnie, ma pan słuszność. Radbym bardzo przyjść z pomocą. Teraz zwłaszcza, wobec tak znacznej ofiary pańskiej. Lecz czyż wypada mi, jako prokuratorowi, uczynić tak niezwykły krok?

Głos pana Roquevillarda zadrgał wzruszeniem:

— Krok jest w rzeczy samej niezwykły. Lecz czas nagli. Staję zaraz jako obrońca w sądzie. Niebawem wieść o skardze nabierze rozgłosu. Dotąd pan jeden wie o niej, pan jeden może ją zawiesić, zapobiec jej. Błagam pana o to.

— To niemożliwe. Nie mogę przecież iść sam do oskarżyciela.

— Może pan ściągnąć go tutaj.

— Zgoda — rzekł pan Vallerois. — Środek jest kosztowny, lecz niewątpliwie będzie skuteczny. Propozycja wyjdzie odemnie, w mojem imieniu, tak, aby w razie odmowy, nie był pan wcale zaangażowany ofertą, która mogłaby uchodzić za uznanie kradzieży.

— Dziękuję panu.

I rozeszli się. Adwokat wszedł na salę posiedzeń, gdzie oczekiwano go niecierpliwie, i rozpoczął obronę ze zwykłą sobie jasnością i trafnością zdania. Słuchając jędrnych, rzeczowych argumentów, nikt nie domyślał się, jaka miotała nim burza. Lecz, gdy usiadł wreszcie, niestrudzony dotąd stary bojownik, uczuł nagle ogromny upadek sił, przemożny, jak nieznane mu brzemię starości.

Po obronie strony przeciwnej i krótkiej replice, mógł opuścić salę. Spojrzał na zegarek: było wpół do czwartej. W ciągu tych trzech godzin rozstrzygnął się los jego syna. Szybko wbiegł na górę, do wydziału śledczego, gdzie czekał na niego pan Vallerois i wyczuł odrazu niefortunny obrót sprawy.

— Pan Frasne był u mnie po raz wtóry — zagaił prokurator. — Miał pan słuszność: to jest zemsta.

— Odmawia więc?

— Kategorycznie. Woli odwet od pieniędzy. Napróżno siliłem się przekonać go, mówiłem o skandalu, który obryzga błotem jego żonę, wspominałem nawet o braku należytych dowodów. Odpowiedział mi, że jeśli nie uruchomię niezwłocznie akcji sądowej, to on sam stanie jako powód cywilny przed sędzią śledczym. Ma prawo po temu, a postanowienie jego jest niewzruszone.

— A gdybym ja spróbował zmiękczyć go? Wszak żyliśmy z sobą na przyjacielskiej stopie.

— Bytność pańska u niego byłaby bezowocną, przykrą, a nawet kompromitującą. Nie radzę panu tego czynić. Mówiłem mu o panu, o całej rodzinie pańskiej. Odpowiedział na to: „Jego syn wydarł mi z piersi serce. Niewinni niechaj zapłacą teraz za winowajców".

Po chwili namysłu, pan Roquevillard uznał słuszność rady prokuratora i żegnając go, podał mu rękę:

— Pozostaje mi tylko podziękować panu za okazaną życzliwość. Nigdy tego nie zapomnę.

— Żal mi pana — odparł wzruszony pan Vallerois.

Z teką pod pachą, wracał stary adwokat do domu. Szedł, jak zwykle, szybkim, młodzieńczym krokiem, z podniesioną głową, lecz bardzo blady. Pod portykami, miejskim deptakiem próżniaków, spotkał znajomych, którzy odwracali się od niego, podczas gdy przechodnie obserwowali go natrętnie i złośliwie. Zrozumiał, że dependenci z kancelarji Frasne'a kolportowali już po mieście hańbę Roquevillardów. Hańbę Roquevillardów — pierwsze załamanie się rodu od kilku stuleci! Jak dalece musiano czyhać na nie, skoro rozgłaszano je teraz z taką zawiścią! Ile jadu mieszczą w sobie dusze ludzkie, skoro tak pilno wszystkim oplwać cudze czyste imię! Słabość ducha je-

dnego z potomków niweczyła chlubną przeszłość energji i zaszczytów, liczne dowody męskiej siły i hartu. Czyż nie rozumieli ci, którzy się tem cieszyli, że takie załamanie jest wspólną katastrofą wszystkich członków wielkiej społecznej rodziny?...

Wyprostował się i zwolnił kroku. Nikt nie mógł wytrzymać jego spojrzenia. Chłodną wzgardę przeciwstawiając burzy, rozmyślał z goryczą: „Psy, szczekajcie z daleka. Lecz wara wam od nas. Pókim żyw, stać będę murem przed moją gromadką, osłonię ją mojem ciałem. I nikt nie ujrzy mojego cierpienia".

U bramy, zatrzymał go pan de la Mortellerie, sąsiad Roquevillardów ze wsi. Czyżby to miał być już początek kondolencji i wyrazów sympatji? A przecież, zaczepiając go, ten maniak okazywał mu mimo wszystko najwięcej współczucia. Zapatrzony w krwawe od zachodnich łun mury zamku, stary szlachcic prawił tajemniczo:

— W 1416 r., książe Amedeusz VIII wydał w wielkiej sali na cześć cesarza Zygmunta ucztę, którą aranżował Jan de Belleville, twórca kołacza sabaudzkiego. Mięsiwa były złocone, zdobne w ornamenty i chorągiewki z herbami gości, każdy zaś otrzymywał przeznaczone dlań potrawy w pojedyńczych, podwójnych lub potrójnych porcjach, zależnie od godności. Podoba mi się takie wyróżnienie: ludzie winni spożywać nie w stosunku do swojego apetytu, lecz w stosunku do swojego znaczenia w świecie.

— Poprzestałbym zawsze na jednej porcji, — odparł pan Roquevillard, wchodząc pod bramę.

Wspomnieniami przeszłości nie mógł on, niestety, — tak, jak pan de la Mortellerie — przesłonić dnia dzisiejszego. Minął sień, schody i dotarł wreszcie do swojego

gabinetu, omijając po drodze pokój chorej żony. Lecz pani Roquevillard słyszała, jak wchodził i kazała go przywołać, w nadziei, że dowie się czegoś o synu. Zastał ją samą, siedzącą na łóżku, pół-widną w zapadającym zmierzchu.

— Małgosia wyszła — szepnęła i zapytała nieśmiało: Czy nie wiesz nic o Maurycym?

— Nie, nie wiem nic. Zapewne długo nic nie będziemy o nim wiedzieli.

— Jakim to mówisz twardym głosem, Franciszku! — powiedziała chora. — Zrozum, że ta kobieta urzekła to biedne dziecko.

— Słabość jest tylko odmianą występku.

Zdumiona surowym tonem odpowiedzi, odkręciła światło elektryczne i ujrzała twarz męża tak nagle postarzałą i pobladłą, z taką głębią bólu w podkrążonych oczach, że odrazu przeczuwała niebezpieczeństwo.

— Franciszku — wyszeptała błagalnie — ukrywasz coś przedemną. Czyż nie jestem już, jak dawniej, tą, dla której nie miałeś żadnych tajemnic?

Zbliżył się ku niej:

— Ależ nie, kochanie, nic nie ukrywam. Czyż nie dość ucieczki naszego syna?

Z rękami załamanemi, błagała, łkając:

— Czytam w twoich oczach, że grozi nam straszny cios. Nie oszczędzaj mnie tak, jak ostatniej nocy. Mów: wytrzymam wszystko.

— Podniecasz się bez powodu. Nic niema nowego.

— Przysięgam ci, że starczy mi sił. Czy nie wierzysz mi?

— Walentyno, uspokój się.

— Poczekaj, a uwierzysz.

I złożywszy dłonie, stara, chorobą znękana kobieta, wołać jęła głośno o siłę do Boga. W bladej, wynędzniałej, na poły już martwej twarzy, oczy jasnym gorzały blaskiem.

— Walentyno — zawołał łagodnie.

Zwróciła się ku niemu, jak gdyby przeobrażona:

— Teraz mów, mów zaraz. Wszystkiego mogę wysłuchać. On nie żyje?

— Nie, o nie!

Ten sam okrzyk wydarł się z piersi obojga. Pod wpływem uniesienia, bijącego z oczu żony, powierzył jej nikczemne oskarżenie, rzucone na ich krew, na kość z ich kości. Odepchnęła je z oburzeniem.

— To kłamstwo. Syn nasz nie może być złodziejem.

— Tak. Lecz będzie nim dla wszystkich.

— Mniejsza o to, skoro nie jest nim w rzeczywistości. A tego jestem pewna.

Lecz ruchem ostrym, jak stal, pan Roquevillard zreasumował katastrofę:

— Shańbił nas, shańbił ród.

Była to zbrodnia przeciwko rodzinie, którą on — ojciec — sądził jako głowa rodu, podczas gdy matka-chrześcijanka, myślała tylko o sumieniu.

— Bóg — odparła uroczyście — nas nie opuści.

Nie przebrzmiały jeszcze te słowa nadziei, gdy wpadła do pokoju wzburzona, cała drżąca Małgorzata. Spojrzała na rodziców, we wspólnym zjednoczonych bólu, i, jak potok zrywa wszelkie tamy, tak poprzez przymus woli, gwałtem sobie narzucony; trysnęły gorzkie łzy dziewczyny.

Pani Roquevillard przygarnęła ją do serca:

— Chodź do mnie, dziecko.

— Kto cię ukrzywdził? — pytał ojciec.

W nagłem podnieceniu, opanowała płacz:

— Ubliżają nam.

— Kto?

— Wracam od pani Bercy. Rajmund był temu obecny. „Ładnego masz braciszka" — zaczęła. To było brzydko z jej strony. Ja spuściłam głowę. „Czy wiesz — rzekła po chwili — co opowiadają dependenci z kancelarji Frasne'a?" Nie odzywałem się ni słowem. „Mówią, że twój brat nie poprzestał tylko na żonie"... „Mamo!" — przerwał jej dość miękko Rajmund. Lecz mnie poderwało już z krzesła. „Niech pani dokończy, żądam tego". Śmiała dodać: „Zabrał to, co było w kasie". Ja na to: „Zabraniam pani ubliżać mojemu bratu!" — narzeczonemu zaś powiedziałam: „A panu, który nie potrafisz obronić mnie we własnym swoim domu, zwracam słowo". Chciał mnie zatrzymywać, lecz nie słuchałam już nikogo i oto jestem.

— Drogie dziecko! — szepnęła matka, całując ją.

— Ah! — zawołał z bólem pan Roquevillard, schylony nad przytulonemi do siebie głowami żony i córki — czyż zawsze ludzie potępiać będą na ślepo, bez dowodów?!

Lecz Małgorzata zapominała już o swoim osobistym smutku na rzecz wspólnej niedoli. Podniosła się i z oczyma utkwionemi w oczach ojca, zapytała:

— Ty ojcze, któremu ufam, powiedz mi: to nieprawda?

— To fałsz — upewniła chora.

— Mam nadzieję, że tak jest — rzekł ojciec. Lecz wszystkie pozory są przeciwko niemu i może być skazany jako złodziej.

— Skazany!?

— Tak, skazany — powtórzył adwokat — a wraz z nim my wszyscy, którzy nosimy to samo nazwisko, wywodzimy się z tej samej przeszłości i idziemy ku tej samej przyszłości.

Władnym ruchem zdawał się osłaniać obie zapłakane kobiety i grozić dezerterowi:

— Jedna chwila słabości niweczy oto wysiłek tylu solidarnych pokoleń! Niechaj tam, daleko, w tej sromotnej ucieczce, on zmierzy całą doniosłość swojego przeniewierstwa: zerwane narzeczeństwo siostry, zahamowana karjera brata, podcięte zdrowie matki, nasze mienie nadszarpnięte, imię nasze oplwane, honor nasz splamiony — oto jego dzieło! I to zowie się miłością! Mniejsza z tem, że nie skradł pieniędzy. Nam ukradł wszystko. Co nam dziś zostaje?!

— Ty, ojcze — zawołała Małgorzata. — Ty go ocalisz.

— Bóg w niebie — rzekła słodko pani Roquevillard, dziwnie spokojna i pogodna wobec nieszczęścia. — Nie tracić nadziei; zasługi rodu nigdy nie idą na marne. One to odkupują błędy winowajców...

* *

*

# CZĘŚĆ DRUGA

I

## FABRYKANT RUIN

Ze wszystkich jezior Lombardji najmniej znane jest jezioro Orta. Wobec sławy Lago Maggiore, niknie ono jak łódź na rozkołysanym szlaku wielkiego statku.

Z pociągu, idącego tuż przy brzegu, podróżny pobieżnie rzuca nań okiem, bez szczególniejszej uwagi. Dostrzega ostry zarys okalających jezioro lesistych gór i ciemniejsze wnęki dolin, wśród których nawpół widne białe chaty wioskowe prześwitują jak stada owiec wśród traw. Unosi z sobą zwiewną wizję wzgórza porośniętego drzewami, które wrzyna się daleko w lśniące przeźrocze wód, miasta rozrzuconego wzdłuż pobrzeża, wyspy szczelnie zabudowanej — niczem podpatrzony w spiesznym pędzie czarowny uśmiech tego krajobrazu, w którym streszcza się i zawiera cały urok przyrody lombardzkiej: mięszanina szorstkości i wdzięku. Piasczysty brzeg jeziora zatacza miękką, krągłą linję, lecz kontury horyzontu są ostre, mocno podkreślone, zgoła nie roztapiające się w mglistej dali, jak w Szwajcarji lub Sabaudji pod chłodniejszem niebem. Wieczorem są ciemne na jasnem tle. Niemal że symetryczne falowanie wzgórz odtwarza te same kształ-

ty, coraz to masywniejsze w miarę posuwania się ku północy, tak, że mierząc je okiem, łatwo dojść dzięki jakiemu zręcznemu stopniowaniu, równina nowarska kończy się potężnym zwałem Alp.

Orta Novarese nie ma jeszcze dotąd urządzeń stacji klimatycznej. W tem powód jej błogiej ciszy. Jedyny tu hotel na zboczu Świętego Wzgórza — góruje nad Ortą wzniesienie, gdzie dwadzieścia kaplic rozrzuconych pomiędzy drzewami ilustruje życie i cuda św. Franciszka z Assyżu — hotel Belweder, gości od wiosny aż po zimę nieliczną rzeszę pensjonarzy. Lecz wzdłuż brzegu, wśród zieleni, bieleje cały szereg willi, w których arystokracja miejscowa letnich zażywa wczasów. Wszystkie bramy stoją zawsze otworem. Zamiast wyziewów hotelowych, zatruwających powietrze w Pallanza lub Baveno, ze starannie utrzymanych ogrodów bije tu rozkoszną smugą fala kwietnych woni...

Uciekając przed gwarem wielkich miast, w których spędzili porę zimową, pani Frasne i Maurycy Roquevillard zamieszkali w maju w hotelu Belweder. Siedzieli tam jeszcze w końcu października, bądź to z dosytu ciągłej włóczęgi z miejsca na miejsce, bądź też z racji umiarkowanych cen pensjonatu. Wyjątkowa jesień podstępnie przeciągała kres lata, tak, że gdyby nie krótsze dni, odrobina chłodu w powietrzu i lękliwa pozłota drzew, słońce tchnąć mogło nieograniczoną wiarę w moc swoją i niespożytość.

Tego dnia rano, w saloniku obok ich sypialnego pokoju, młody Roquevillard zajęty był przekładem małej włoskiej książeczki, Vita dei S. S. Jiulio e Giuliano, dziejów dwóch apostołów, którzy przybyli w IV w. poprzez

morze Egejskie dla nawrócenia Orty. Urywek z Lamartine'a, w tekście francuskim, przykuł go do siebie dłużej, niż najbardziej zawiłe zdanie. Zadumany, odwrócił głowę ku oknu. Wzrok jego przesuwał się obojętnie po grupie drzew na końcu półwyspu, po cichej tafli wód, po wyspie, miejscowości uroczej, przyrównywanej przez poetycznego autora biografji do kamelji na srebrnym półmisku — i pobiegł hen ku szczytom, zamykającym widnokręg, jak gdyby chciał minąć je i wyjrzeć poza nie. Tymczasem cicho wsunęła się do pokoju biała postać i zaczęła czytać ponad jego ramieniem w otwartej książce. Wśród obcych wyrazów, ostro odcinało się kursywą drukowane zdanie francuskie: *„Przeznaczeniem dziecka* — pisał Lamartine — *jest jego dom rodzinny: jego dusza składa się przeważnie z odebranych tam wrażeń. Spojrzenie oczu matki jest częścią naszej duszy, która wnika w nas przez nasze oczy"*.

Pani Frasne zwolna zamknęła książkę. Jak zbudzony ze snu, drgnął jej kochanek. Oboje wymienili spojrzenie, pełne zadumy o rzeczach, o których strach kochankom mówić, o których zaledwie ośmielają się myśleć.

— Którego dziś mamy? — zapytała obojętnie.

Uspokojony, odrzekł:

— Dwudziestego piątego października.

I zaraz zgnęła go znów:

— Czy pamiętasz, że akurat rok temu zeszliśmy się w Kalwarji na Lémenc? Tam postanowiliśmy uciekać razem. Tylko rok temu, a już miłość moja ci nie wystarcza.

— Edyto!

— Tak, już ci nie wystarcza.

Ze smutnym uśmiechem, dodała:

— Wszak pracujesz.

— Edyto, muszę przecież myśleć o przyszłości.

— Nie, nie trzeba jeszcze o niej myśleć. Czyż brak nam czegokolwiek?

Uraziło go to pytanie:

— Moje fundusze są wyczerpane. Nie wolno mi zapominać o tem, że obecne nasze środki są twoją własnością.

— Wszystko chyba jest nam wspólne. Czyż nie jestem twoją żoną?

Gniewnie zmarszczył brwi:

— Pragnę, by posag twój pozostał nietknięty. Prosiłem jednego z moich przyjaciół, który jest dziennikarzem w Paryżu, o wyszukanie mi zajęcia w prasie. Mógłbym podjąć się przeglądu pism zagranicznych. W szkołach uczyłem się angielskiego, później niemieckiego, potrzebnego mi do rozprawy doktorskiej. A teraz mówię nadto po włosku. Do takiego współpracownictwa dodać jeszcze miejsce doradcy prawnego — i byłoby już z czego żyć.

Słuchała tego z zagadkowym uśmiechem i właściwym sobie ruchem uwielbienia głaskała go dłonią po twarzy.

— Jutro mówić będziemy o przyszłości. Jutro — nie dzisiaj.

— Poco ta jednodniowa zwłoka? Oznaczmy raczej zaraz datę naszego wyjazdu.

— Naszego wyjazdu?

— No tak, do Paryża.

Nie umiała ukryć swojego niezadowolenia:

— Zawsze tylko Paryż i Paryż. Mówisz o nim bezustannie. Trapi cię jak zmora.

— Bo tam łatwiej mi będzie o kawałek chleba, — odparł ze smutkiem.

Gibka i pieszczotliwa, osunęła się w jego objęcia, ustami przywarła do kraśnych warg pod ciemnym wąsem i szepnęła mu zbliska:

— Prosiłam cię o rok twojego życia. Rok bez przeszłości ani przyszłości, rok oszalałego miłowania, rok zapomnienia o wszystkiem, co nie jest mną. Czy pamiętasz?

— Czyż nie dałem ci go? I więcej niż obiecałem.

— Brak mi jednego dnia: jutro nasza rocznica.

Wzruszony, powtórzył:

— Jutro, Edyto.

Cała drżąca od wspomnień, prosiła:

— Nie psuj nam tego ostatniego dnia. Skoro jest ostatni, niechaj będzie najpiękniejszy ze wszystkich, z całego minionego roku. Nie mówmy już o przyszłości aż do jutra. Dobrze? obiecujesz?

— Obiecuję.

— No, to pójdę się ubrać. Zaraz będę gotowa. Wyjdziemy gdzie. Pojedziemy na obiad na wyspę.

Znikła. On zaś usiłował wziąć się tymczasem ponownie do tłómaczenia: lecz znów padło mu w oczy zdanie francuskie: *Przeznaczeniem dziecka jest jego dom rodzinny*... I utknął po raz wtóry.

Edyta miała słuszność. Teraźniejszość już mu nie wystarczała, nie wystarczała mu nigdy. Przed chwilą zgodnie odsunęli oboje przyszłość, lecz przeszłość stała za nimi jak widmo i jeśli nie ośmielali się tykać jej ustami, to często wracali ku niej myślą. Milczenie było dla niego męką. Tam daleko, poza temi górami, co porabiają teraz ci, o których żadnej nie miał wieści?

W progu stanęła Edyta, błagając oczyma o aprobatę:

— Czy ładna jestem dzisiaj?

Miała na sobie letnią suknię z białej alpaki, zręcznie uwydatniającą jej gibką postać i kapelusz z białemi skrzydłami, które uzupełniały smukły, strzelisty rysunek jej sylwetki. Ubiegły rok odmłodził ją. Jej płomienne oczy nie mogły już wprawdzie większego siać blasku, lecz policzki krąglejsze były i mniej blade. Jej szczupły kształt nabrał pozorów wagi. A cała jej osoba tchnęła nieokreślonym wyrazem nasyconej miłości.

Patrzył na nią z podziwem, lecz nie rzekł nic.

Zeszli ku przystani stromą brukowaną ulicą, tak pustą, że trawa rośnie tam między kamieniami. Na wybrzeżu, gdzie stoją łodzie, minęli młodą pannę w czerwonym berecie, którą spotykali już nieraz podczas spacerów i która musiała mieszkać gdzieś w pobliżu. Cudzoziemka przyglądała im się zawsze bez zażenowania, zwłaszcza Maurycemu.

— Ładniutka jest — skonstatował młody człowiek, gdy przeszła.

Cień smutku powlókł twarz Edyty, przywracając jej chwilowo istotny wiek:

— Nie patrz na nią. Jestem zazdrosna.

Zaczął żartować z tego nadmiaru surowości:

— Jesteś zazdrosna? A ja co mam powiedzieć?

— O kim znów, wielki Boże?

— A o tym czarnym i wąsatym Włochu, który zapomina przy stole o damie swojego serca, żeby rzucać na ciebie ogniste spojrzenia.

Wybuchnęła śmiechem:

— Lorenzo!

— Wiesz, jak mu na imię?

— Sam mi je powiedział. Przewracając oczami po białka, wystąpił raz z deklaracją miłosną, która wielce mnie ubawiła.

Usiłował roześmiać się z kolei. Lecz, gdy zasiedli w łódce i gdy po kilku uderzeniach wiosłem odpłynęli nieco od brzegu, oboje doznali tego samego, dziwnie przykrego uczucia. Oto najdrobniejszy przypadek mącił im tę teraźniejszość, którą ochraniali z taką pieczołowitością, od której odsuwali bacznie wszelkie wspomnienia i konsekwencje, by wyssać z niej wszystką moc. Jakiemi murami osłonić trzeba miłość, by ustrzec ją przed światem, choćby tylko przez jeden rok? Na tę miłość, której wszystko poświęcili, zewsząd napierało życie, a nawet odruchy ich własnych serc, tak, jak modre fale jeziora zewsząd napierały na widniejącą przed niemi wyspę.

Ona pierwsza uświadomiła sobie ich wnętrzną rozterkę. Wstała ze swego miejsca i przesiadła się obok niego. Lecz zamiast wniknąć w jej nagły lęk, opowiedział jej legendę o świętym Juljanie, nic zgoła ich nie obchodzącą:

— Ta wyspa była niegdyś jednem wielkiem wężowiskiem. Gdy św. Juljan chciał przedostać się tam z Orty, rybacy odmówili mu swoich łodzi. Wówczas rozpostarł na fali swój płaszcz, a kija użył zamiast wiosła.

Urażona, mruknęła:

— Strasznie jesteś uczony!

— Czytałem dziś właśnie o tym cudzie.

— Nienawidzę twojej książki!

Odgadł dlaczego jej nienawidziła. W tym ostatnim dniu ich pierwszego roku miłości, dniu, który miał za-

wrzeć w sobie całą radość kochania — wszystko urażało ich, wszystko było im przykre i nieciło ból.

Wylądowali u podnóża schodów, wiodących ku górze, na wyniosły brzeg, i przywiązali łódź do żelaznego pierścienia, umyślnie w tym celu wmurowanego w skałę. Weszli do starej romańskiej bazyliki, zdobnej w bizantyjskie freski, świeżo odkryte z pod zwierzchniej grubej warstwy tynku, z kazalnicą wykutą w czarnym marmurze, z sarkofagiem i freskami Ferrariego i Luina. Ponieważ byli tu już poprzednio kilka razy, zwiedzili ją bez żadnego zainteresowania; kochankom trzeba coraz to nowych widoków, coraz to świeższych wrażeń: z obawy przed przesytem innego rodzaju, lękają się rzeczy znanych i widzianych. Woleli też zapuścić się w wąską, obcą im uliczkę. Cały szczyt górskiej wysepki zajmują gmachy seminarjum, podobne zdaleka do fortecy. Krętą uliczkę zamknęły niebawem ciężkie kute wrota. Znaleźli się we dwoje tylko w całkowitem odosobnieniu, na wyspie, między wysokiemi murami. Nie było dla nich na świecie w tej chwili nikogo więcej, prócz nich samych. Czyż nie jest to najgorętszem pragnieniem wszystkich kochanków? Rok temu byliby uszczęśliwieni taką samotnością. Dziś, zobopólnym odruchem, zawrócili coprędzej ku wybrzeżu.

W pełnem słońcu, jakiś starzec łowił na wędkę ryby. Pod nadbrzeżną wierzbą, dwoje bosych dzieciaków bawiło się w piasku. Za wodą, wśród przerzedzonej już zieleni ogrodów, widniały szeregiem letnie wille i Orta—mlecznobiała — w odbiciu nieruchomych przeźroczy jeziora. Ulgę przyniósł im ten obraz spokojnego życia, w ciszy południowego wypoczynku.

Zjedli śniadanie na stopniach schodów bazyliki. Część popołudnia błąkali się po jeziorze w pogoni za nieznanym zakątkiem, który odświeżyłby ich wrażenia. Wróciwszy wreszcie do Orty, rozmyślali co robić z resztą dnia.

— Czy wracamy do hotelu? — zapytał Maurycy.

Zaprotestowała energicznie:

— Ależ broń Boże! Słońce jeszcze wysoko nad górami. Mamy moc czasu. Pójdziemy szosą, wolniutko.

Zaraz poza miastem, w którem trotuary są nieznane, szosa biegnie równolegle do jeziora, zwolna dźwigając się ku górze, i okrąża dominujący nad półwyspem Mons Sacro. Biała wa jej smuga ciągnie się wzdłuż sztachet ogrodowych i murów willi, o bramach zdobnych w palmy i drzewa pomarańczowe. Przed jednym z tych domków, ubogim, a nawet odrapanym, widnym u końca krótkiej alei przez otwarte wrota — wionął ku nim słodki zapach róż.

— Czekaj — rzekła Edyta. — Tak mocno pachną, a są ostatnie.

— Wejdźmy. Poproszę o parę sztuk dla ciebie.

Weszli razem i ujrzeli wewnątrz ogrodu zgoła dziwaczny zespół: strzaskane kolumny, nawpół rozwalone wieżyczki ze stiuku, niedokończone portyki, — pełnię ruiny miniaturowego miasta sztuki, lecz ruiny planowej, zorganizowanej w motywy dekoracyjne. Wśród tych symetrycznie ugrupowanych kamieni, które odtwarzały ze sztucznym wdziękiem niszczący wpływ czasu — okolony krzakami róż, wznosił się na piedestale amorek z białego marmuru, uśmiechnięty, z napiętym łukiem w drobnych dłoniach.

Panią Frasne zaciekawił tylko amorek wśród róż:

— Jest prześliczny i słońce go całuje.

— Dziwaczny ogród, zauważył Maurycy: właściciel jest chyba amatorem cmentarnych pomników. Włosi nie lękają się nadmiernego skupienia.

Z głębi ogrodu nadszedł ku nim stary człowiek, w białej bluzie, z dłutem rzeźbiarskiem w ręku i pozdrowił ich gestem nieco zbyt uroczystym, równocześnie uniżonym i dumnym. Rozmawiał z Maurycym po włosku, podczas gdy Edyta — do tego upoważniona — zrywała kwiaty, wiążąc je odrazu w jeden pęk.

— Oto mój bukiet. Lecz każdy z panów dostanie po róży.

Ograbiony właściciel rozpłynął się w podziękach i wyrazach wdzięczności, których nie rozumiała. Maurycy przedstawił go:

— Pan Antonio Siccardi, fabrykant sztucznych ruin. Piękny to zawód.

Edyta spojrzała na kochanka pytającym wzrokiem:

— Wytłómaczę ci później — dodał.

Ubawiona tym szczególnym zawodem, gdy znaleźli się znów na drodze po wymianie wzajemnych pożegnalnych ukłonów, powtórzyła żartobliwie:

— Fabrykant sztucznych ruin!

— No tak, do ozdoby parków. Na tle zieleni, obok ławki, malowniczo wygląda strzaskana kolumna, napoły rozwalony portyk, lub inne jakie wymyślne rumowisko. Znałem w Quartier latin jegomościa, który fabrykował pajęczyny do omszałych ze starości butelek, kupowanych tegoż samego dnia, na paradne obiady.

— I czy dużo na tem zarabia?

— Dużo.

— To niemożliwe.

— Opowiadał mi właśnie przed chwilą, że wszyscy dorobkiewicze — a jest ich moc — nouveaux riches finansjery lub przemysłu, przepadają za jego sztuką. Budują nowe domy, sami wywodzą się z nizin społecznych, lecz do piękna nieodzowne im są ruiny.

— Zgoda. Ale Amor? Poco ten Amor wśród tych ohydnych szczątków? Jemu dość róż.

— Pytałem też o to.

— I cóż ci powiedział?

— „Lubuje się w ruinach" — upewnił mnie z zagadkowym uśmiechem, uśmiechem Giocondy, pospolitym u kupców.

— Istotnie to dziwaczne. Grupy z marmuru w miejskich strojach zamieniają tutejsze cmentarze w sklepy z konfekcją, a ogrody włoskie zdobione są dla uprzyjemnienia w symbole śmierci...

Powoli weszli na Święte Wzgórze, jakieś sto metrów ponad poziom miasta. U szczytu zastał ich zmierzch, dodający tajemniczego uroku gęstwinie sosen, kasztanów i pinji, wśród których, tam i ówdzie, tulą się na falistym terenie sanktuarja św. Franciszka z Assyżu. Te miniaturowe kapliczki, wzniesione między XVI a XVIII w., są wszystkie odmiennej struktury, okrągłe lub kwadratowe, z perystylem lub bez perystylu, gotyckie lub romańskie, przeważnie bizantyjskie. Każda z nich zawiera zamiast

ołtarza scenę z życia świętego, odtworzoną przez figury z terrakoty, wielkości naturalnej. Jestto martwe Oberammergau. Naiwna sztuka wyziera zewsząd. Stygmaty świętego są mu naprzykład nałożone za pomocą nici łączących ręce ze sklepieniem, na którem złote promienie każą się domyślać obecności Boga.

Od pierwszego dnia pobytu w Orta, Edyta i Maurycy przychodzili tu codziennie. Z hotelu Belweder mieli zaledwie kilka minut drogi. Z pośród wszystkich kaplic, szczególniej upodobali sobie piętnastą z rzędu, której rysunek tradycja przypisuje Michałowi Aniołowi. Okrągła, z kopułą i gzemsem wspartym na nikłych kolumienkach granitowych, przypominała im Kalwarję na Lémenc, gdzie postanowiony został wspólny ich wyjazd. Wzdłuż galeryjki, wzniesionej kilka stopni nad ziemią, lekkie arkady obramiały kolejno wszystką perspektywę lasu: bądź to inne kaplice wśród zieleni, bądź to kamienną cembrowinę studni, bądź też, pomiędzy drzewami, szmat nieba, modrą powierzchnię jeziora, lub wyspę św. Juljana, z wysuniętą ku przodowi dzwonnicą, podobną do wielkiego pancernika rozbitego w pośrodku miniaturowych fal.

Odrazu zwrócili się ku ulubionej kaplicy i weszli na stopnie. Konary pobliskich pinji odrzynały się czarnym konturem na czerwonawem tle nieba, a widne tam i ówdzie wśród drzew białe sanktuarja robiły wrażenie zacisznych, przyjacielskich domów.

W jednem ręku trzymała Edyta róże. Drugą położyła na ramieniu kochanka.

— Był wówczas taki sam piękny wieczór jak dzisiaj — westchnęła.

— Kiedy?

— Rok temu. Nie żałujesz niczego?

Odwrócił głowę:

— Nie.

— Nigdy nie będziesz niczego żałował?

Przyparty tak do muru, odpowiedział niemal że szorstko:

— Nie, nigdy.

Mocniej przechyliła się ku niemu, by sięgnąć jego ust i znieruchomiała. Oczy Maurycego posępnie utkwione były w dal, gdzieś hen, aż poza góry. Tam było to, co dzieliło ich przez cały dzień — ten ostatni dzień minionego roku miłości. Wbrew wszelkim nakazom przezornej taktyki, spytała wreszcie:

— Maurycy, gdzie jest Chambéry?

— Tam.

Odpowiedziała tak prędko, tak niechybnym ruchem ręki, że aż łzy trysnęły z jej oczu. Często więc spoglądał w tę stronę; nie zapomniał w miłości o niczem! Nie pytając o przyczynę łez, usiłował pocieszyć ją pieszczotą:

— Edyto, wszak kocham cię.

— Bardziej niż wszystko?

— Bardziej niż wszystko.

— Do śmierci?

— Tak.

— Nie dłużej?

— To niemożliwe.

— Ale ja nie chcę umierać — krzyknęła w uniesieniu — ja chcę żyć! Czy będziesz kochał mnie taksamo i jutro?

— Dlaczego szczególniej jutro?

— Bo się go lękam. Czyż nie widzisz, że nie możemy już żyć tak dłużej?

— Ah! nareszcie przyznajesz to. Nie, nie możemy już dłużej. Nie można istnieć bez przeszłości, bez przyszłości, bez świata i ludzi. Odpychałaś stale wszelkie wyjaśnienia.

— Cicho bądź, Maurycy. Cicho bądź.

Ręką zatykała mu usta i prosiła:

— Jutro, obiecuję ci, jutro. Będę posłuszna. Sam zadecydujesz o naszym losie. Ale nie dzisiaj. Ten ostatni wieczór do mnie należy.

I usta jej przylgnęły na miejscu dłoni.

Zapadał szybko zmierzch. Między drzewami gasły na niebie krwawe łuny zachodu, jezioro nabierało szarej, jednostajnej barwy, zaledwie rozjaśnionej gdzieniegdzie ostatnim odblaskiem złota i czerwieni.

Maurycy pierwszy zeszedł ze stopni kaplicy. Szedł odruchowo w kierunku, który wskazał był ręką. Gdy odwrócił się, ujrzał Edytę nieruchomą, między dwiema kolumnami. Tak niegdyś czekała na niego w Kalwarji na Lémenc. Jej biała postać jasno rysowała się na tle mniej białej ściany.

— Jakaż ona piękna! — pomyślał, raz jeszcze podbity jej wdziękiem.

Wąchała trzymane w ręku kwiaty i patrzyła na niebo. Przypomniał mu się fabrykant ruin i dziwny jego ogród.

„Amor i róże".

Krzyknął:

— Edyto, chodź już! Robi się chłodno, a ty jesteś bez okrycia.

A podczas, gdy ona dążyła ku niemu, spojrzał w stronę dalekiego Chambéry i pomyślał:

„Ruiny są tam".

Wszak dziwny artysta z Orty upewniał, z tajemniczym uśmieszkiem na ustach, że „miłość lubuje się w ruinach".

* *
*

II

## ROCZNICA

Nazajutrz, w dzień rocznicy, Maurycy postanowił skłonić swoją towarzyszkę do wyjazdu. Zabrał ją po śniadaniu na spacer, w aleję okalającą Święte Wzgórze, skąd liczne balkoniki o kamiennej balustradzie dają rozległy widok na jezioro.

Aleja zalana była słońcem; lecz w końcu października, każdy raczej poszukuje słońca niż unika go.

Smutna, czy też roztargniona, pani Frasne milczała uparcie. Maurycy pierwszy przerwał milczenie, które teraz dzieliło ich, zamiast jednoczyć.

— Dzień dzisiejszy musiał nadejść, Edyto. Byliśmy tu szczęśliwi. Lecz trzeba teraz wyjechać. Czekają na mnie w Paryżu. Będzie to początkiem nowego życia.

Czekał chwilę na odpowiedź, na słówko zachęty, poczem ciągnął dalej nieśmiało:

— Stworzymy sobie dom, własne wspólne ognisko. Zajmę się legalizacją naszego stosunku, przeprowadzę twój rozwód. Dotąd nie pozwoliłaś mi nawet mówić o tem. Zerwaliśmy wszystkie więzy, nie patrząc wstecz, poza siebie.

Nie usłyszał wzamian nic. Podświadomie lękając się wyjazdu z Włoch, Edyta zbyła go luźną uwagą o pogodzie:

— Jak cudnie o tej porze! Wczoraj wieczorem było zimno.

— Zimno? — zapytał cierpliwie. Powietrze łagodne, jak wśród lata.

— A jednak to już jesień. Patrz.

U stóp ich ciągnęły się urwiste i poszarpane brzegi jeziora. Przed niemi czerniał ostry zarys gór. Tu i owdzie, na tle krajobrazu, biały klasztor, wieś lub wieża kościelna, zresztą drzewa — drzewa i krzewy, cała powódź bladego złota, wśród której, ciemną zielenią, znaczyły się rozłożyste pinie.

Wsparci o balustradę, patrzyli. Tak, jak przed rokiem, w Sabaudji, gasnące piękno przyrody podniecało Edytę niemal że do bólu. Z rozdętemi nozdrzami, cała drżąca, w nerwowem naprężeniu, chłonęła w siebie śmiertelny czar jesieni. On zaś nie mógł oderwać oczu od tej twarzy, której nigdy może nie widział w spokoju, lecz zawsze ożywioną jakiemś gwałtownem uczuciem, jak gdyby spalanej od wewnątrz ogniem, ziejącym z jej spojrzenia. Delikatny kontur profilu, świeżość rumieńca, woń czarnych włosów — i piękno przyrody niknie, czy też raczej streszcza się na maleńkiej przestrzeni. Nagle zauważył w niej wpływ ubiegłego roku. Odzyskana młodość, swoboda, rozkosz, niczem nieskrępowana włóczęga wśród arcydzieł sztuki, przyśpieszyły pełnię jej rozkwitu. Szarpana przed rokiem nieokreśloną żądzą życia, wysubtelniała i dojrzała równocześnie. Nigdy jeszcze nie oceniał

tak trzeźwo jak w tej chwili wszechwładzy jej uroku. I upajał się nim — w bólu — myśląc, iż może ją utracić.

Odczuła na sobie uporczywy wzrok Maurycego, uśmiechnęła się i szerokim, okólnym ruchem wskazała na widnokręg:

— Piękniej teraz niż wiosną.

Bezwiednie odpowiedział jej ostatnią swoją myślą:

— Ty także jesteś piękniejsza.

Zdziwił ją ten nieoczekiwany komplement:

— Doprawdy?

— Tak. Spójrz na drzewa. Są lżejsze, jak gdyby wyzwolone od zbytniego brzemienia. Między konarami widać dalej, większą przestrzeń nieba. Tak samo widać głębiej w twoich oczach.

— Aż do serca?

— Aż do serca.

Uśmiechnęła się, myśląc, jak dalece każdy młody człowiek nieświadom jest serca kobiety. Pewniejsza, niż kiedykolwiek swojej wszechwładzy, osądziła, iż nadszedł oto właściwy moment do sprowokowania wyjaśnień, tak długo przez nią odraczanych. Celem jej było wyjawienie całkowitej prawdy i bezpowrotne przykucie do siebie kochanka przez wspólnictwo niemożliwe już do dezawuowania po upływie roku. Uznanie tego wspólnictwa byłoby z jego strony największym dowodem miłości. Taki dowód ona dałaby mu w potrzebie bez wahania, lecz z mężczyznami niewiadomo nigdy czego się trzymać: mają dziwnie twarde pojęcie o honorze.

Prawo zabrania i wywiezienia kwoty, równającej się darowiźnie pana Frasne'a, nie podpadało, jej zdaniem,

pod żadną wątpliwość. Cóż byłaby warta darowizna, którą donator mógłby dowolnie zatrzymać. Odrzucała nawet wszelkie skrupuły, powstałe na skutek użytego przez nią sposobu działania. Mniejsza o sposób! Kobiety nawpół tylko rozumieją niedogodne im sprawy pieniężne. Powiedziano jej, że te pieniądze są jej własnością. To wyjaśnienie zadowolniło ją w zupełności. Zresztą, nienawidząc męża, mogła była nawet ograbić go całkowicie, bez żadnych zgoła skrupułów. W danym zaś wypadku, wierzyła najmocniej, iż nie była to grabież, tembardziej, że nie wzięła ani grosza ponad kwotę ściśle w donacji określoną. Dała w zamian młodość swoją i urodę. Zapłaciła smutkiem i łzami. A czy kto mocen jest wrócić jej teraz dziewięć lat przymusu, obrzydzenia, niewoli?

W ostatniej chwili, zawahała się jednak. Minuta, dwie — i zaczęła mówić cichym, przymilnym głosem:

— Tedy szczęście upiększa? Pierwszy to w mojem życiu rok szczęścia. Ah! gdybyś znał moją przeszłość!

— Często prosiłem cię o nią, Edyto. Opowiedz mi ją, daj mi ją. Ty również nie możesz już mieć przedemną tajemnic.

Popłynęła opowieść, nieco upiększona, jak wszystkie autobiografje: Dzieciństwo radosne i wypieszczone w dostatku zamożnego mieszczańskiego domu, bankructwo ojca, namiętnego gracza, który, po utracie majątku, rozpił się i zmarł niebawem; a później ubogie mieszkanko na wsi wespół z matką, chorą i zrozpaczoną i wewnętrzny bunt przeciwko tej monotonnej egzystencji, żar pożądań, palący się w sercu młodej dziewczyny, wspaniałomyślnej i nieoględnej jak ojciec, wyczekującej niecierpliwie mi-

łości, która miała ją wyzwolić, a zmuszonej udzielać dla chleba lekcji muzyki dzieciom z okolicznych domów.

— To była nędza — przerwał jej szeptem Maurycy.

Wdzięcznym uśmiechem podziękowała mu za ten objaw domniemanego współczucia. Uniesiona falą wspomnień, nie zauważyła, z jaką skupioną uwagą czyhał na każde jej słowo.

— Prawie — odrzekła.

— I już wówczas byłaś ładna?

— Nie sądzę. Taka byłam chuda! Istna łoza winna. Lecz znała się snać dobrze, bo dodała tonem żartu:

— Doskonała na podpałkę.

Wówczas to zaczęły się umizgi pana Frasne. Jego wyłupiaste oczy i upór, wyzierający z pod sztucznej słodyczy, napawały ją nieopisanym wstrętem. Ale bieda dokonała dzieła. Pierwszy ze wszystkich konkurentów zdecydował się prosić o jej rękę. Miał znaczny majątek osobisty, doskonałą posadę w Paryżu; mógł każdej chwili kupić sobie kancelarję notarjalną w Grenoble, lub innem prowincjonalnem mieście. Było to małżeństwo z konwenansu w całej jego ohydzie. Brzydziła się nędzy, matka, pamiętna lepszych czasów, ponad wszystko pragnęła dostatku. Starzy ludzie chcą już tylko żyć, miłość jest im obojętną. Wszyscy krewni odpowiedni wywarli nacisk.

— Sprzedałam się — zakończyła.

Nie przerwał jej ani razu. Z bijącem sercem dążył za nią tak, jak gdyby staczał się w przepaść. A gdy umilkła, brutalnie rzucił jej w oczy pytanie, które dławiło go od dłuższej już chwili:

— A twój posag?

— Poczekaj, zaraz zrozumiesz.

Tu i owdzie ktoś grzał się na słońcu. Daleko, pod drzewami, biegały dzieci. Byli niemal że sami, nie na tyle jednak, by w tym kryzysie, jaki przechodzili, tak zręcznie odroczonym przez nią, aż po ten dzień, wyzyskać mogła największy swój atut, najpotężniejszy argument — argument pocałunków. Zrozumiała, nie mogła nie zrozumieć tego, co działo się w duszy jej kochanka: zbyt często o tem myślała. To właśnie dręczyło ich oboje od tak dawna, to, co za cenę tylu wysiłków, za cenę kłamstwa lub wykrętnego milczenia o przeszłości — wszak nie dba o przeszłość ten, kto kocha — odsunąć zdołała aż dotąd od wspólnych snów o szczęściu. A jednak, mimo wszystko, to w jej mniemaniu, miało zespolić ich z sobą na zawsze.

Podczas, gdy odważnie skupiała umysł do szczerej, walnej i rozstrzygającej rozprawy, Maurycy powtórzył ochrypłym nagle głosem:

— Twój posag? gdzie był twój posag?

I odzyskując rozkazujący ton, po ojcu odziedziczony, naglił:

— Mów, zaraz. Ależ mów nareszcie!

Zdumiona, zbita z tropu, spoglądała na niego niemal że z obawą. Ten smukły, dwudziestopięcioletni chłopiec, taki łagodny, taki ubóstwiany, tak uległy dotąd wszystkim jej życzeniom i zachciankom, przeobrażał się oto w despotycznego pana. Zaślepiona miłością, przeoczyła widocznie niektóre zakątki jego duszy. W obronie ich szczęścia, instynktownie odchyliła maleńki tylko rąbek prawdy.

— Mój posag, Maurycy? Mój posag jest moim.

— Skąd go masz? Wszak nie od rodziców? A! już wiem! To on — prawda? — to on ci go przyznał w kontrakcie ślubnym? Odpowiadaj.

Próbowała stawić mu czoła.

— Tak, to jego dar. No i cóż z tego? Dał, więc jest moje.

Bardziej jeszcze od niej przerażony, powściągnął się ze względu na przechodniów, lecz rozpoczął badanie.

— Nie, nieszczęsna, nie jest twoje. Znam te kontrakty. To była darowizna na przeżycie. Napewno. Przypomnij sobie i strzeż się.

Chłonęła całą swoją istotą groźne słowa, padające jak grad kamieni z ukochanych ust, z wąskich, pąsowych ust. Już nie szło jej o to, by w kochanku pozyskać sobie wspólnika, by otrzymać od niego ten największy dowód miłości, jeno by ocalić z rozgromu samą miłość. Oddziaływać zaś mogła na niego jedynie pieszczotą głosu, której dotąd ulegał, i tem, co mówiła.

— Maurycy, nie traktuj mnie w ten sposób! Mylisz się. Posag mój należy do mnie. Odrazu był moją własnością. Wymógł to jeden z przyjaciół mojego ojca. Chcesz dowodu? Póki żyła moja matka, płaciłam jej z tego roczną rentę. Mogłam rozporządzać tem dowolnie. Widzisz, że jesteś w błędzie. O, nie traktuj mnie w ten sposób!

Lecz były dependent z kancelarji Frasne'a zbierał gorączkowo wszystkie swoje wiadomości prawnicze, usiłował rozumować:

– Niemniej jestto darowizna. Darowizna z jego ręki. A wszelka darowizna traci moc obowiązującą w razie rozwodu.

— Ale nie moja, przysięgam ci — upewniała go na chybił trafił.

— Zastanów się nad tem, co mówisz, Edyto. Są to rzeczy tak ważne, że moje życie od nich zależy.

— Twoje życie?

— Tak. Lub mój honor, co na jedno wychodzi. Czy tym posagiem tyś sama zarządzała, sama pobierałaś odsetki?

— Tak, ja.

Czujna i sprytna, odgadła, co trzeba odpowiedzieć i weszła bez wahania na drogę kłamstwa. Darowizna stu tysięcy franków, przyznana jej przez pana Frasne, była istotnie jej własnością, lecz w zarządzie i pod kontrolą męża. Z chwilą rozwodu, akt donacyjny tracił, rzecz prosta, wszelką prawomocność. W każdym bądź razie, pani Frasne nie rozporządzała pieniędzmi dowolnie, nie mogła pobrać ich na swój tylko podpis. Lecz cóż obchodzić ją mogły takie drobiazgi?

Nieubłagany, jak sędzia śledczy, pytał dalej:

— Gdzie złożony był ten posag?

— W Banku Powszechnym, w papierach, które kazałam sprzedać. Już ci to kiedyś mówiłam. Daj mi spokój.

— Złożony na twoje imię?

— Na moje imię.

— Czy stamtąd podjęłaś go przed naszym wyjazdem?

— Stamtąd.

— Wydali ci go na twój tylko podpis?

— Tak.

— Tedy akt ślubny opierał się na zasadzie rozdziału własności?

— Oczywiście.

Kilkakrotnie już pytał ją o to, odkąd przyznała się, wkrótce po wyjeździe z Chambéry, do zrealizowania osobistych swoich funduszy, przekazanych jej rzekomo drogą spadków rodzinnych. Bajkę o domu kredytowym, wymyśloną wówczas dla uśpienia drażliwości Maurycego, podtrzymywała energicznie tegoż samego dnia, gdy miała porzucić ją na zawsze.

Jasne i szybkie, zgodne z dawniejszemi wyjaśnieniami, odpowiedzi jej nie budziły w rezultacie żadnych zasadniczych wątpliwości. Nie było w tem nic nieprawdopodobnego, że przyjaciel rodziny Dannemarie, podjął się, przed podpisaniem kontraktu, wymódz na rozkochanym panu Frasne darowiznę natychmiastową, całkowitą i nieodwołalną, mającą zabezpieczyć przyszłość panny i zapewnić jej w małżeństwie stanowisko bardziej samodzielne i nakazujące szacunek. Dlaczego miałby niewierzyć jej słowom? Czyż nie zburzyły już dostatecznie jego szczęścia? Czyż nie dość już tego, że ulegając wpływowi czaru, z pod którego wyzwalał się w gniewie i bólu, trwał w niecnym kompromisie próżniactwa aż po kres tego roku miłości? Lecz wówczas, gdy łudził się, że niebawem uzupełni ze swojej pracy nadszarpnięte fundusze Edyty, nieświadom był zatrutego ich źródła. Teraz duma jego złamana, godność męska w prochu, u nóg rywala. Te pieniądze, jeśli nawet są istotną własnością jego towarzyszki,

niemniej pochodzą z rąk człowieka, któremu rozbił ognisko domowe. Najlżejszy kontakt z temi pieniędzmi, to dla niego hańba nie do zniesienia...

Czując, że stoi nad przepaścią, zliczył z pamięci ogólną cyfrę swoich długów:

— Twoje fundusze ulokowane są w Banku Międzynarodowym w Medjolanie. Czy wiesz, co wzięliśmy stamtąd?

— Wszak ty tem rządzisz.

— Około ośmiu tysięcy franków!

— To niewiele — zaprotestowała łagodnie.

W rzeczy samej, owe ośm tysięcy franków, wespół z tem, co Maurycy zabrał był z sobą, stanowiły nader skromną kwotę, zważywszy na wydatki całorocznej wędrówki z miejsca na miejsce. Lecz w Orta, gdzie rezydowali od sześciu miesięcy, życie jest tanie, a rozrywki nieliczne i mało kosztowne. Po krótkim okresie rozrzutności, Edyta chętnie poprzestawała na małem, bez kaprysów wymagań: dość jej było kochać.

Skąd i w jaki sposób wydobyć te ośm tysięcy franków? Póki ich nie zwróci, póty uważać się będzie za istotę upadłą, bez czci, i życie będzie mu ciężarem. Sam głęboko upokorzony, nie oszczędził swej towarzyszce słów wzgardy:

— To dobrze. Jestem twoim dłużnikiem: spłacę wszystko. Potem, zobaczymy.

— Znękana, pobita, u kresu sił — jęknęła:

— I to jest rozmowa między kochankami, w dzień pierwszej rocznicy!

Ukryła twarz w dłoniach. Bardziej od niej nieszczęśliwy, usiłował odchylić zaciśnięte palce.

— Słuchaj, Edyto, nie oskarżam cię. Żyliśmy razem jak mąż z żoną. Myślałem tylko o naszej miłości. Moja wina. Jestem jeszcze młody...

Nie broniła mu rąk, nie lękała się pokazać czerwonych, od łez nabrzękłych powiek:

— Czyż nie przyjęłabym od ciebie wszystkiego z wdzięcznością?

— Od ciebie, ale nie od niego. Zemścił się. Jeśli zburzyłem mu ognisko domowe, on zburzył moje szczęście.

— Czyż ja o nim myślę, ja, żona?

Lecz on ciągnął dalej posępnie, z bolesnym naciskiem:

— Żyliśmy tak szczęśliwie, w takiej beztrosce. Teraz już koniec wszystkiemu.

Tyle rozpaczy było w jego głosie, że, nie bacząc na nic, padła mu w objęcia:

— Cicho bądź!

Chciała odciągnąć go od tego balkonu, z którego stoczyła się w przepaść ich wiara w życie.

— Chodź w las, Maurycy. Chodź między drzewa, za naszą kapliczkę. Będziemy tam sami i mniej nieszczęśliwi.

Usłuchał.

— Masz rację, chodźmy stąd.

Przeświecając przez konary pinji, słońce słało się jasnemi smugami po ziemi, zeschłym przysypanej liściem. Na cienistej drodze były to, jak gdyby złote kałuże światła. Okrążyli kaplicę. Edyta wyszukała zaciszne ustronie na mchu, a gdy usiedli, jęła pokrywać pocałunkami twarz kochanka. Chwilę poddawał się jej pieszczotom, poczem naglę odepchnął ją:

— Idź sobie, zostaw mnie. Pocałunki twoje odbierają mi wszystką wolę. Nie czuję wtedy nic. Nic — jeno własne bijące serce.

— Kocham cię.

— Tak, kocham cię.

Wyprostowany, jak gdyby pół tylko przytomny, wskazywał jej między zielenią na modrą toń jeziora. Cała drżąca, Edyta zrozumiała już pokusę.

— Lecz kocham cię mocniej, niż przedtem. Ty będziesz rozkazywał, ja będę ci posłuszna.

— Chcesz iść ze mną?

— Dokąd?

— Tam.

Cofnęła się instynktownie:

— Cicho bądź.

Lecz tak, jak poprzedniego roku, w Kalwarji na Lémenc, ona skłoniła go do wyjazdu, teraz on gorączkowo usiłował ją przekonać:

— Chodź. Skonał już nasz rok miłości. Chodź. Skonała już nasza miłość. Nikt nie będzie nas szukał. Woda nie zimna. Zsuniemy się w głębinę z łodzi. Nie mam już czci. Chodź, chodź zaraz.

Objęła go oburącz z okrzykiem przerażenia.

— Nie, nie, nie. Kocham cię. Kto kocha, ten niechce umierać! Kłamie, kradnie, zabija, ale nie chce umierać. Kochankowie, którzy pragną śmierci, nie kochają swojej miłości!

Niepomny już niczego, wyrwał się z jej objęć:

— Zostaw mnie. Nie tykaj mnie więcej.,

I uciekł. Prawie tak zwinna, jak i on, puściła się za nim w pogoń. Bawiące się dzieci zaprzestały gry, by śledzić tę gonitwę. Gdy odbiegł kawał drogi, Maurycy skierował się ku wieży Buccione. Odnaleźli ją w ciągu spacerów razem z Edytą. Ostatni szczątek dawnej warowni, jest to wysoka, kwadratowa baszta, okolona resztkami murów, wszelkim pnączem porośniętych. Niegdyś czujna strażnica, wznosi się u kresu jeziora Orta, na wzgórzu, wśród gęstwiny kasztanów, i stróżuje nad krajobrazem, zataczającym szeroki łuk z południa na północ, od Novary, jasnego miasta hen na równinie, aż po Mons Rose, którego wyniosły szczyt patrzy w dal, poza inne góry, a pola lodowe skrzą się i błyszczą w słońcu. Miejsce jest samotne, a widok stąd rozleglejszy, niż gdziekolwiek indziej. Nieraz, gdy znużenie Edyty czyniło go panem kilku godzin wolnego czasu, przychodził tu spoglądać w stronę ojczystej ziemi i westchnąć nad swoją dolą wygnańca.

Długo sondował tu i rozdrapywał własne rany. Z namiętnej miłości, która wypełnić miała po brzegi jego młode lata, dlaczego ostał mu w tej chwili jeno posmak goryczy?

Czyż mogło być coś ponad miłość, coś tak potężnego, że, jeśli nie zdołało zabić miłości, było jednak dość silne, by zepchnąć ją na drugi plan i zatruć wszystko, co z niej poczęte? Miłość nie jest tedy całem życiem. Nie może nawet być odosobniona, odcięta od reszty życia. Pozostawiona sama sobie, staje się mocą szkodliwą, destrukcyjną. Z tamtej strony gór, zamykających widno-

kręg, spowodowała niewątpliwie jakąś katastrofę. Tego Maurycy był już teraz pewien.

Czyż mógł — w dobrej wierze — oskarżać same tylko okoliczności? Nie. Ukazana bez obsłonek, przeszłość potępiała go. Czuł się odpowiedzialnym za lekkomyślność, za brak woli: odpowiedzialnym za wyjazd, na który wiedział, że nie ma dostatecznych środków; odpowiedzialnym za przyjęcie bez dowodów wyjaśnień Edyty, których niedobory aż nadto były przejrzyste; odpowiedzialnym za to, że ulegając pieszczotom kochanki, zgodził się żyć dniem bieżącym, niczem nie związanym, ani z przeszłością, ani z przyszłością; odpowiedzialnym wreszcie za powolność jej żądaniu, za ten rok zapomnienia, rok szczęścia, rok próżniactwa i znikczemnienia.

I ujrzał niezbicie, że tylko rodzina uratować go może z tej toni. Bez niej był zgubiony, bo nie miał z czego zwrócić pieniędzy, które zwrócić musiał za wszelką cenę. Rodzina go ocali, okupi cześć jego i życie. Jakżeż mogłaby go nie ratować? Czyż jego hańba nie była jej sromotą? A skoro rodzina solidarnie dzieli z nim wstyd, to on również ma względem niej obowiązki, których poniechał. Faworyzowany przez los w urodzeniu, zaciągnął wówczas zobowiązania, których nie dotrzymał, zawarł pakt, któremu uchybił. Rodziny, od której należy się nam pomoc w niedoli, w niebezpieczeństwie, nie wolno w zamian pomijać dla majaków egoistycznego szczęścia, o nieuchronnie fatalnych, tejże rodzinie przeciwstawiających się wynikach.

Duma odpychała go od ojca. Lecz matka będzie jego powiernicą. Ona go wykupi, do niej pisać będzie

o pieniądze. To najpilniejsze. Musiał przedewszystkiem odzyskać cześć we własnych oczach.

Uspokojony powziętą decyzją, wrócił coprędzej do hotelu i napisał do pani Roquevillard. Zaledwie zdążył skończyć i wrzucić list do skrzynki, gdy nadeszła Edyta. Ujrzał ją na końcu alei i niemal zdziwił się, że widzi ją znów tak prędko: ubiegłe godziny murem stanęły pomiędzy niemi. Od roku, do niej wyłącznie należała każda jego myśl, każde drgnienie serca. Czyżby tak rychło miała być wydziedziczona z tego królestwa?

Na jego widok, stanęła, osłupiała, i padła mu w objęcia:

— To ty... to ty...

— Najmilsza moja, jedyna... — szeptał wzruszony.

— To ty... nareszcie... to ty...

Tłómacząc swoje znużenie, ruchem pełnym grozy wskazała na jezioro:

— Idę stamtąd. Biegłam wzdłuż brzegu... Usiądźmy, dobrze? Nie czuję nóg. Tak się bałam...

Nie mogła oderwać od niego oczu. On również poddawał się wszechmocy jej czaru. Jesienny krajobraz poił ich śmiertelną swoją krasą. Zwycięska miłość tryumfowała wśród ruin.

Chciwie sycili się szczęściem, o którem wiedzieli oboje, że skazane jest na zagładę.

Odtąd nie mówili już więcej o przeszłości. On wyczekiwał odpowiedzi na swój list. Ona nie śmiała o nic go pytać, lecz podwoiła starań, by mu się podobać. Wdzięk jej uległ zmianie. Pod wpływem lęku o kochan-

ka, utraciła dawny nieco wyzywający rozmach, dawną skrzącą żywość. Cicha i poddana jego woli, łagodna i tkliwa, mówiła z nim o tem, co jemu mogło być miłe, czytała ulubione jego książki, grała to, czego on słuchał najchętniej. On także odnosił się do niej czule i z dobrocią. Lecz to nawiązanie tkliwego paktu nie dało im ani chwili wewnętrznego ukojenia. Nie było tam ani pogody, ani przekonania, ani wzajemnej wiary.

Szczególnie przykrym był dla nich dzień Zaduszek. W tym dniu wspomnień i rozpamiętywania, Maurycy chciał wyjść sam, lecz Edyta uprosiła go, by wziął ją ze sobą. Zgodził się, dość zresztą niechętnie, i poszedł czekać na nią na Mons Sacro.

— Dokąd pójdziemy? — zapytała, gdy ruszyli razem.

— Tam, gdzie wszyscy dziś idą, na cmentarz.

Miejscowy cmentarz poprzedza nieuprawna przestrzeń, niegdyś cmentarzysko, z biegiem czasu z obwodu cmentarnego wyłączone, usiane bezimiennemi, w ziemię całkowicie wdeptanemi mogiłami. Nic nie zdradza tu poświęcanego miejsca: ani krzyż, ani napis, ani nawet nikła fałda ziemi. Przy Zaduszkach, nieznane dłonie rzuciły tu i owdzie wiązanki chryzantem, zamieniając tę pustą łąkę w posmętny kwietny ogród.

Edyta i Maurycy zatrzymali się na tem pustkowiu, kasztanami okolonem. Liście zdawały się trzymać gałęzi tylko dzięki nieruchomej ciszy powietrza. Jeden silny podmuch wiatru ogołociłby wszystkie drzewa. Z nadchodzącym zmierzchem, podniósł się od jeziora chłodny powiew. I blade liście opadać jęły w istocie. Chwilę wiatr kręcił niemi w kółko, wreszcie zepchnął je w rów

obok głównej alei. Drżąc, złoty liść spoczął na kapeluszu Edyty.

Ten symbol śmierci obok tej młodej twarzy o płomiennych oczach i ciepłym kolorycie skóry, obok tej smukłej postaci, która nawet w bezruchu promieniała pełnią życia — wzruszył do głębi wzburzoną już nastrojem dnia duszę Maurycego.

A gdy milczał, ona wskazała mu chryzantemy.

— Jakie piękne kwiaty — rzekła.

I pomyśleli oboje, że pod niemi spoczywa śmierć. Nieświadomym pchnięci odruchem, spojrzeli na osłaniające ich drzewa — i przytuleni do siebie, ucałowali się wśród mogił.

* *
*

## III

## RUINY

W dwa dni po tym spacerze, wezwano Maurycego do kancelarji hotelowej.

— Jest tu do pana list pieniężny. Listonosz żąda pańskiego podpisu.

Poznał żółtawą barwę ojcowskich kopert i szybko oderwał pieczęcie, podczas gdy zarządzająca, przejęta szacunkiem dla wypisanej z wierzchu cyfry, obserwowała go z widoczną admiracją. List, w czarnej obwódce, zawierał wewnątrz stufrankowy banknot i czek na ośm tysięcy, z podpisem Małgorzaty, na Bank Międzynarodowy w Medjolanie.

„Nareszcie — pomyślał — jestem znów panem siebie".

Po upokorzeniu, duma brała odwet. Uspokojony, teraz dopiero zauważył czerń obwódki i drgnęło w nim serce. Stało się nieszczęście podczas jego nieobecności. Za młodu, a niekiedy i później, nie wierzymy w możność utraty kogokolwiek ze swoich najbliższych; żegnamy ich bez lęku, pewni, że zastaniemy wszystkich po powrocie. Pierwsza żałoba zabija tę pełną wiarę w przyszłość. Zdala od rodziny, bez wieści o nikim, pod osłoną młodzieńczej

niefrasobliwości i egoizmu miłowania — mógł nie doznać tego niepokoju, który brutalnie bierze za gardło, gdy wraca wspomnienie. Często, coraz częściej przychodził mu na myśl dom rodzinny, to puste miejsce, jakie tam zostawił. Obecność Edyty nie zawsze zdołała odegnać te mary. Nigdy jednak nie przeczuwał nieszczęścia. Wszelako od kilku dni, od pamiętnego załamania się jego wiary we wszechprawo miłości, wyraźniej stawała mu przed oczyma bledziutka twarz matki, czuł na policzku ostatnią pieszczotę jej zimnej dłoni, której kontakt odnajdywał po upływie roku.

Zgoła nie był przygotowany do takiego ciosu. Dlaczego odpisała mu zamiast matki Małgorzata? Po kim mogła być w żałobie, jeśli...? Nie miał odwagi odpowiedzieć sobie na to pytanie: odpowiedź narzucała się sama. Wziął kapelusz i wyszedł, z listem w ręku. Czyż mógł odczytać go w tej kancelarji hotelowej? Ani na tarasie, ani w alei, ani nawet w lesie; zaraz nadejdzie Edyta, będzie się dopytywać — a tego bólu on nie chce dzielić z nikim, ten ból jest tylko jego własnością.

Przeczytał kilka pierwszych wierszy i jął uciekać drogą, jak ścigane zwierzę. Biegł tak długo, póki nie zniknęły mu z oczu ostatnie domy. Szukał odludzia, by wypłakać się tam dowoli. I bezwiednie skierował kroki ku baszcie w Buccione.

Przystanął dopiero na szczycie wzgórza, u stóp baszty. Zziajany, runął na trawę, rosnącą wśród gruzów. Uciekał tak, jak gdyby ujść chciał przed losem. Wraz z tchem, wracał lęk i chwytał go za gardło. W zaciśniętych kurczowo palcach, trzymał wciąż zmięte ćwiartki pa-

pieru i nie śmiał przeczytać ich w całości. Dopiero wielkim wysiłkiem woli, z przerwami, zmusił się do czytania. List zwiastował mu więcej nieszczęść, niż można było nawet przypuścić.

„Chambéry, 2 listopada.

„Kochany Maurycy!

„List Twój mi doręczono. Ja go otworzyłam. Czekałam nań oddawna. Spodziewałam się albo listu, albo ciebie. Przepowiedziała mi to mama. Nie mogłeś zapomnieć o nas zupełnie.

„Czytając, doszłam do przekonania, że nic nie wiesz o nas od Twojego wyjazdu i to wyjaśnia mi Twoje uporczywe milczenie. Ty zrozumiałeś już chyba, że straciliśmy mamę. Piszę to w bólu, którego nie chcę ukoić, bo on czyni mi mamę bliższą. Płacz razem ze mną, mój biedny bracie, płacz za ten cały czas, przeżyty w beztrosce. Ale nie rozpaczaj. Tego mama nie chce.

„Odeszła od nas 4-go kwietnia, blisko siedm miesięcy temu. Powoli, nieznacznie gasła całą zimę. Nie cierpiała; przynajmniej nie skarżyła się na nic. Modliła się ciągle. Pewnego wieczoru, gdy nic nie zapowiadało tak rychłego końca, umarła prawie nagle, z modlitwą na ustach. Byliśmy przy niej z ojcem. Spojrzała na nas, spróbowała uśmiechnąć się, wyszeptała imię, które odgadliśmy oboje: Twoje imię. Głowa jej osunęła się w tył. Było po wszystkiem.

„Kilka dni przedtem mówiła mi o Tobie, tak, jak gdyby oznajmiała mi ostatnią swoją wolę. Zrozu-

miałam to dopiero później: mówiła, jak zwykle, z taką prostotą! Powiedziała: „Maurycy wróci. Bardziej jest nieszczęśliwy niż występny. Nie wie jeszcze o niczem, ale się dowie. Musi być odważnym. Przyrzeknij mi, że przyjmiesz go, gdy wróci, że pojednasz go z ojcem i z rodziną, że będziesz go broniła i że nie opuścisz go nigdy, cokolwiek się stanie". Obiecałam, choć zbędnem było wszelkie przyrzeczenie. To też list Twój otworzyłam bez wahania: zastępuję mamę niewątpliwie źle, lecz z całego serca.

„Trzeba, żebyś wiedział o tem, że mama była pewna Twojej niewinności. Ja również. Ojciec także, ręczę za to. Lecz ojciec mówił nam, że słabość charakteru jest odmianą winy, i że ten, kogo rodzina podtrzymywała od dzieciństwa aż po wiek męski, niema prawa spowodować następnie przez swoje czyny upadku całego rodu. Teraz nie mówi już więcej o Tobie, nigdy. Ale wiem, że myśli często i że bardzo nad Tobą boleje. Pamiętaj o nim tak samo, jak i o mamie, która spoczywa po trudzie życia. Zmienił się, bardzo się zmienił. On, który zachował był tyle młodości w ruchach, w głosie, w spojrzeniu — postarzał się w przeciągu kilku dni. Pracuje bez wytchnienia. Pracując, zapomina o złem... Przyrzekłam nie robić ci wymówek. Trzeba jednak, byś dowiedział się, co poczynamy wszyscy, skoro od roku nie miałeś żadnych wieści o nikim... Ma u ludzi tak wielkie uznanie, że nie utracił ani jednego klienta.

„Hubert, który miał pozostać dwa lata we Francji, uzyskał pozwolenie na wyjazd do kolonji. Odpłynął w maju do Sudanu. Dowodzi tam nader wy-

suniętym posterunkiem, w głębi lądu, w Sikasso. Jestto niebezpieczna placówka. O taką prosił.

„Felunia jest nadal przy szpitalu w Hanoi. Bardzo niepokoi się o Ciebie. Ostatnio opisywała nam śmierć dwóch misjonarzy belgijskich, zamordowanych na granicy Chin. Zamiast boleć nad nimi, cieszyła się męczeństwem i żałowała, że nie może oddać życia za tego, którego zwie „dzieckiem marnotrawnem", a którego Ty poznajesz niewątpliwie. Odziedziczyła ona żarliwą pobożność po mamie. Niechaj Bóg nam ją zachowa, tam, daleko, za morzami!

„Marcellazowie opuścili nas. Wbrew prośbom żony, Karol sprzedał kancelarję i przeniósł się do Lyonu. Wyjazd ich bardzo był dla nas przykry. Lecz ojciec twierdzi, że Karol dobrze zrobił. Miał sposobność zbliżyć się do rodziny, która mieszka — jak wiesz — w Villefranche; i z tej sposobności skorzystał. Wakacje spędzili z nami, w La Vigie. Piotruś i Adrjanka poprawili się nadzwyczajnie; ale mały Julek, mój faworyt, taki był bledziutki, że matka zostawiła go nam na całą zimę. Powietrze naszych gór lepiej mu widać służy od mgieł Lyonu. Malec ożywia trochę nasz smutny, pusty dom.

„Oto i koniec raportu. Niegdyś mama była centralą wieści o nieobecnych i rozsyłała je kolejno wszystkim. Widzisz, że staram się ją zastąpić. Ciężej mi przystąpić teraz do tego, co muszę ci jeszcze donieść. A jednak powiem wszystko bez ogródek. Sądzę, że tak być powinno. Ja i tak oddana Ci jestem całem sercem, ty zaś cenisz lepiej naszą niedolę, która jest równocześnie i Twoją.

„Nie wiesz, oczywiście, co się działo zaraz po Twoim wyjeździe: wiedząc, byłbyś wrócił napewno i oszczędził nam ciężkiego zmartwienia. Pan Frasne wniósł przeciwko Tobie — tak, przeciwko Tobie — skargę o nadużycie zaufania. Tak się to nazywa. Oskarżył Cię o kradzież stu tysięcy franków, rzekomo wyjętych przez Ciebie z kasy. Stanął jako powód cywilny, by zmusić trybunał do czynnej akcji i uzyskał t. zw. wyrok zaoczny. Używam tu wyrażeń technicznych. Radcowie nie chcieli Ciebie skazywać. Lecz dependenci Frasne'a, zwłaszcza Philippeaux, świadczyli przeciwko Tobie. Zeznali, żeś wiedział o zawartości kasy, żeś wyszedł z kancelarji ostatni, z kluczami w ręku, i że znaną Ci była tajemnica zamku od kasy. Dzięki okolicznościom łagodzącym, skazano Cię wówczas na rok więzienia. Podobno jestto minimalna kara. Wzięto pod uwagę wpływy, jakim uległeś. Lecz zostałeś skazany. Czy rozumiesz to? — skazany. Mamy nie było już wśród nas. Gdy ojciec mi to oznajmił, był tak blady, że zlękłam się o niego. Panował nad sobą, jak zwykle. Byłabym wolała, żeby był płakał. Lecz on jest z rodzaju tych, co nie płaczą. Cierpi w milczeniu, nic na zewnątrz nie okazując.

„Wyrok nalepiono nam na drzwiach. Opublikowały go dzienniki. Takie jest podobno prawo. Cały zastęp zasłużonych krajowi Roquevillardów nie zdołał uchronić nas przed tą sromotną reklamą.

„Trzeba nadto zwrócić panu Frasne owe nieszczęsne sto tysięcy franków. Ojciec zamierza sprzedać w tym celu la Vigie. Twierdzi, iż długa nieobec-

ność Twoja świadczy niestety, że musiałeś z nich użytkować, co, z punktu widzenia honoru, równa się kradzieży. Karol zaś utrzymuje, że zwrot tych pieniędzy byłby równoznacznym z uznaniem Twojej winy i najusilniej się temu sprzeciwia. Lecz nie on czuwa nad czcią naszego imienia, a ja trzymam stronę ojca. Sąd nałożył tymczasem sekwestr na posag mamy i przyaresztował Twoją część schedy. Co się tyczy mojego działu, to ponieważ jestem już pełnoletnia, ojciec oddał mi do dyspozycji sumę, którą Ci posyłam, a której od niego zażądałam. Wydawał się zdziwiony; nie wiem, czy zrozumiał, o co chodzi. Gdy wręczyłam mu Twój list, oddał go, mówiąc:

„— Nie chcę o niczem wiedzieć. Niechaj wróci pierw dowieść osobiście swojej niewinności".

„Dołączam sto franków na Twój powrót. Musisz wrócić. Zważ sam, ile złego nam wyrządziłeś. W imieniu mamy, której to było ostatniem życzeniem i ostatnim rozkazem, w imieniu ojca — tego zacnego, kochającego ojca — którego zraniłeś tak boleśnie, w imieniu Feluni i Huberta, którzy odkupują Twoje winy, w imieniu Marcellazów i mojem własnem, w imieniu tych wszystkich z naszego rodu, którzy świecili przykładem poprzez tyle pokoleń — błagam cię, wróć. Czekam na Ciebie. Pomogę Ci, ile tylko będzie w mojej mocy. Wierzę, że wraz z Twoim powrotem wszystko może się jeszcze odmienić. Bo nie jesteś winny. Nie możesz być winny. Z listu Twojego widzę, że to nie Ty. Wracaj, choćby nawet groziło Ci tu niebezpieczeństwo. Słusznem jest, byś odcierpiał z kolei; miej odwagę pokuty za popełnione winy.

„Skończyłam. Pragnę gorąco, by słowa moje nie szły na marne. Gdyby jednak ona droższą Ci była od nas, gdybyś — mimo ofiar naszych i bólu — nie miał wrócić teraz, jeszcze czekać będę na Ciebie czekać będę całe życie. Życie moje należy do ojca i do Ciebie. Nie opuszczę Cię nigdy. Wszak przyrzekłam to mamie. Tyś był ostatnią jej myślą. A jeśli list mój pogrąży Cię w rozpaczy, pamiętaj o tem, że ona kazała Ci być mężnym, pomnij na te słowa ojca: Póki kto żyw, póty może jeszcze wszystko złe odrobić.

„Żegnam Cię, Maurycy, i całuję serdecznie.

Twoja siostra

Małgorzata".

Czemżeż był smutek i wstyd, doznany przez Maurycego po wykrętnych pół-zwierzeniach Edyty, wobec rwącego nurtu hańby i rozpaczy, w jakim pogrążył go list siostry? Jak ostoi się teraz on, który sromotne podejrzenie o mało, że nie opłacił był ceną życia?. U jego stóp jezioro kusiło go tak, jak i wówczas, szepcząc cichym pluskiem o zapomnieniu, o słodkim śnie, o spoczynku. Dziś jednak kusiło daremnie. W piersi jego rozbrzmiewał coraz potężniej zew rodu — zamiast słabnąć i ulegać, zbierał w sobie wszystką moc, by stawić czoła nagłemu, a okrutnemu ciosowi. Myśl o śmierci częstą jest u kochanków z chwilą, gdy wątpić poczynają o wieczystości swojego szczęścia. Lecz tu nie szło już o osobiste szczęście, rzecz indywidualną, której mienił się panem, którą mógł nawet okupić życiem, jeśli taką byłaby jego wola — tu, wraz z nim, zaangażowana była cała rodzina. Nie rozporządzał już sobą. Z wolą, czy wbrew woli, był jeno ogniwem

długiego łańcucha pokoleń, a odosobnienie, jakie sztucznie wytworzył dokoła siebie, było jeno złudą i pychą. Lecz równocześnie z utratą złudzeń wspólnych wszystkim zakochanym, dla których miłość jest samotnią, od reszty świata odgrodzoną, czerpał otuchę i siłę u czystego źródła tejże samej solidarności rodzinnej, która narzucała mu się z tak potężnym nakazem.

Najmocniej bolała go niemożność opłakiwania matki wyłącznie, bez ubocznych myśli, bez wyrzutów sumienia, tak jak inni synowie, składający daninę łez drogiej pamięci matczynej. Czyż nie przyczynił się także w znacznej mierze do tego zgonu, o którym nie ostrzegło go żadne zgoła przeczucie? Wszak pamiętał, że lekarze bynajmniej nie wróżyli matce rychłego końca, że kładli jedynie nacisk na konieczność spokoju i wypoczynku. Jakim cudem te kruche siły mogły ostać się przed burzą?

Burza, rozpętana jego wyjazdem, zniszczyła, rozbiła ognisko domowe. Wszystko się rozpierzchło: Marcellazowie wyjechali, Hubert wywędrował za morza, by przywrócić świeżą zasługą nieco czci skalanemu nazwisku, nieuchronna sprzedaż starej rodowej spuścizny groziła całkowitą ruiną. W domu został tylko ojciec, nieszczęściem postarzały i Małgorzata. Ale dlaczego Małgosia nie wyszła zamąż? Czyżby jej narzeczony był na tyle nikczemny, by obarczać ją cudzą winą? Nie było o tem wzmianki w jej liście. Wyliczając wspólne cierpienia, zapomniała o sobie. „Życie moje należy do ojca i do ciebie“ — pisała poprostu, bez żadnej aluzji do poniesionej ofiary. Nikt nie został oszczędzony, nikt — za wyjątkiem winowajcy, który zażywał tymczasem rozkoszy życia pod czarownem, włoskiem niebem.

Bo jeśli nie zasługiwał na hańbiący zarzut pana Frasne'a, to ciężko natomiast zawinił, sprzeniewierzając się własnej rodzinie. Oskarżać jął Edytę: jej to nierozwaga odarła go ze czci, jej miłość go upodliła. Lecz czyż to istotnie miłość go spodliła? Miłość, tak gorąco przezeń upragniona w zaraniu egzaltowanej i równocześnie pracowitej młodości, miłość, której płomienny wiew ogarnął jego serce, jak owe liry legendowe, na drzewach zawieszone, — miłość zawarła w sobie wszystką tkliwość jego serca, wydobyła z głębin duszy radosną gędźbę szczęścia: Miłości przypisywał wszystek swój zapał i wszystką słabość, — słabość, której źródło było w nim samym. W tym szalonym biegu poprzez własne życie, uprzytomniał sobie oczy, usta, ruchy Edyty. Tak, pieśń jego serca zawisła istotnie w płomieniu jej oczu, w pieszczocie jej głosu, w wdzięku jej ruchów. Opuści tę kobietę, lecz nie zaprze się swojej miłości.

Cóż mógł zresztą zarzucić Edycie? Czy domyślała się czegokolwiek z bolesnego dramatu rodziny, przez nią na dno zepchniętej? Niewątpliwie nie. Wzięła pieniądze tak, jak wzięła serce, bez złych zamiarów, w mniemaniu, iż przysługuje jej do tego prawo. Uwiadomiona, bez wahania wróciłaby do Chambéry świadczyć o niewinności swojego kochanka. Lecz on nie chciał jej wspaniałomyślności. Niechaj nie wie raczej o niczem, niech sama na żadne nie będzie narażona niebezpieczeństwo. On wyjedzie dziś wieczór... nie, nie dziś wieczorem, jutro rano, nie uprzedziwszy jej, po dokonanem już uzupełnieniu jej bezprawnego posagu, iżby żadnych nie doznała braków.

Ale cóż pocznie wówczas biedna, opuszczona? Czyż nie miał również obowiązków i względem tej, dla której

miłość była wszystkiem?... Usiłował wyobrażać sobie jej przyszłość. Ujrzał ją zrozpaczoną, kolejno przeklinającą go i opłakującą, przy kaplicy, w świętym gaju, wszędzie, gdzie bywali razem. Był świadkiem jej duchowej agonji. A jednak tyle jest w niej siły, tyle żądzy życia, iż bezwątpienia dźwignie się powoli i uspokoi. Wszak widział ją całą drżącą i zbuntowaną wówczas, gdy mówił jej o śmierci. Tak, ona wszystko przeniesie, pocieszy się, będzie żyła. I serce ścisnęło mu się na myśl, że kto inny ją pokocha, że z czasem trawiący ją ogień zapłonąć może dla innego...

„Nie, o nie — westchnął. — Tego nie chcę".

Była to ostatnia jego walka. W pierwszej chwili uznał swoją porażkę. Śmierć matki, nieodparty zew rodziny, hańbiący wyrok, na niego wydany, wykluczały wszelkie wahanie. Pozostawało mu jeno uregulowanie szczegółów wyjazdu w taki sposób, by oszczędzić w miarę możności cierpień Edycie. Nie mógł już, nie chciał żyć z nią dłużej, a zaledwie oddalony od niej kruchą decyzją, cierpiał niewypowiedzianą mękę...

Wyczekiwała go niecierpliwie u progu hotelu. Gdy ukazał się, wybiegła na jego spotkanie.

— Nareszcie! — szepnęła tonem skargi, lecz nie wymówki.

Usiłował uśmiechnąć się.

— Dzień dobry ci, Edyto.

Tkliwa i uważająca, dostrzegła na twarzy kochanka ślad łez.

— Teraz zawsze mi czegoś strach, gdy ciebie niema.

— Strach czego?

— Że już nie wrócisz więcej.

— Moja najmilsza...

— Wiem, że taki dzień nadejdzie — rzekła ze smutkiem. Ale to jeszcze nie dziś, prawda?

— Nie mów tego, Edyto. Kochać cię będę zawsze.

— Zawsze? cokolwiek się stanie?

— Tak, cokolwiek się stanie.

Ruchem pełnym uwielbienia podniosła do ust jego rękę. Poczem zapytała nieśmiało:

— Czy to prawda, że otrzymałeś dziś wiadomości z Francji?

— Istotnie.

— A czy dobre?

Był na tyle mężnym, że przytwierdził głową. Skoro chował dla siebie wszystek swój ból, rozłączenie stawało się faktem dokonanym. Ona dodała:

— Ja nie oczekuję już nigdy żadnych nowin. Tyś serce moje i życie.

I gdy szła przed nim na taras, na którym stał w zacisznym kącie ich stolik, zadał sobie pytanie:

„Czy starczy mi sił, by ją porzucić?“

* * *

## IV

## POWRÓT

Leżąc, Edyta uniosła się na krawędzi łóżka i wsparta na łokciu, patrzyła na ubierającego się kochanka. Postawiona na podłodze lampa, abażurem przysłonięta, słabo oświetlała pokój.

— Poco wstajesz tak wcześnie? — spytała sennym głosem.

— Nie chcę mi się już spać. Spojrzyj zresztą — dnieje.

Zgasił lampę. Nikłe światło przezierać jęło po chwili poprzez szpary żaluzji.

— To jeszcze noc, Maurycy.

— Czy nie widzisz, że świta.

— To nie świt. To miesięczny blask.

— Śpij jeszcze, Edyto. Masz dużo czasu.

— Będę spać. Jestem znużona, tak rozkosznie znużona.

Opadła na poduszkę i zamknęła oczy. Nawet we śnie była zmysłowo namiętną. Maurycy podszedł do łóżka, pochylił się nad śpiącą i przy słabym blasku, przez żaluzje przesianym, długo na nią spoglądał.

„Zagasł oto dla mnie — myślał — płomień jej wzroku, rozjaśniający moje życie. Nie ujrzę go już nigdy. Nie widzę ani rumieńca na jej policzkach, ani bieli zębów wśród rozchylonych warg. Dostrzegam zaledwie zarys ust, kształtną linję nosa i mroczną gęstwinę włosów, które wyczuwam. A ciało jej na zawsze jest dla mnie stracone..."

Ogarnęło go niebezpieczne rozrzewnienie, opadła pokusa, by zostać. Schylił się, musnął ustami jej czoło, ciepłe od snu, i uciekł z pokoju.

W korytarzu nie spotkał nikogo, prócz zaspanego chłopca, który ziewał, froterując i nie zwrócił żadnej uwagi na jego ubiór. Zabierał z sobą jako cały bagaż ręczną torbę podróżną, ciepłe zimowe okrycie i laskę.

Najkrótsza droga na miejscowy dworzec wiedzie przez Święte Wzgórze. Blednąca o świcie miesięczna poświata wnikała tajemniczo i jak gdyby lękliwie w nawpół ogołocony las. Poprzez wyniosłe pnie pinji i melezów, srebrne smugi kładły się na frontonach kaplic, na złocie szeleszczącej podścieli spadłego listowia. Przed piętnastą z rzędu kaplicą, Maurycy przystanął i podniósł głowę. Smukłe kolumienki odcinały się jasną bielą od mrocznych cieniów na murze.

Wszedł na schody i odwrócił się, by po raz ostatni ogarnąć wzrokiem znajomy krajobraz. Cembrowina studni, sylwetki niektórych sanktuarjów bielały w mroku jak widma. Rozróżniał na wprost ciemną linję gór, a z obu stron wzgórza lśniącą toń jeziora. Lecz hotel Belweder znikł mu już z oczu, przesłonięty zboczem. A tego właściwie szukał. Te kamienie przydrożne, te drzewa, te kaplice, te wszystkie niewyraźne zarysy, którym słońce przywróci

za chwilę istotny kształt — wrażał sobie w pamięć, na zawsze. Póki życia, widzieć je będzie dokładnie, nie dla szczególnego ich uroku, lecz jako niezbędne tło, głównej postaci podporządkowane. Ta główna postać — czarowny a jedyny kwiat jego młodości — z oddali nawet ciągnęła go jeszcze ku sobie. Zamiast uciekać — uciekać, nie oglądając się wstecz — stał bez ruchu w miejscu, które osobliwie lubiła, w którem widział ją z pękiem róż w ręku w wilję ich rocznicy, w ostatnim dniu szczęścia.

Teraz, w ich pokoju, ona śpi cicho, rozkosznie znużona. Za godzinę, za dwie, może wcześniej, wstanie i znajdzie na toalecie morderczy list, czułemi słowy zwiastujący jej okrutną rozłąkę. Nie zrozumie zrazu. Objaśnią ją dopiero dołączone do listu papiery: zapłacony rachunek hotelowy, nieco banknotów i kwitów, wydanych na jej imię przez medjolański Bank Międzynarodowy oraz czek na ośm tysięcy z podpisem Małgorzaty Roquevillard. To wskaże jej, skąd pada cios. Pokonana przez nią rodzina odbiera jej kochanka: I wówczas wydrze się z jej piersi zdławiony okrzyk bólu. Okrzyk ten słyszeć będzie zawsze, gdziekolwiek rzuci go los...

Czas mijał. Już dniało. Wsparty o kolumnę kaplicy, Maurycy zwlekał z odejściem.

„Skąd — myślał — ta odwaga, by podeptać swoje i jej serce? Ona jest tam, jeszcze blisko. Jeśli wrócę, nie dowie się o niczem. Zbudzi ją mój pocałunek. Lecz nie, nie ujrzę jej nigdy. Miłość nie może potargać wszystkich więzów. Szczęście nie jest przyrodzonem prawem jednostki. Męczę ją, choć kocham. Zło, jakie mi wyrządziła, było mimowolne. Nie mam do niej żalu — jeno

pamięć dni szczęścia z nią przeżytych, dni minionych na zawsze. Czy pomnisz, Edyto, ten rok? Dałaś mi usta, bez wahania, jak kwiaty. Gdyś rzekła: „Twoją będę, skoro zechcesz, lecz tylko Twoją“ — odrazu uczułem w żyłach wszystek żar Twojej pieszczoty. Dlatego, że tak bardzo tych pieszczot pożądasz, dlatego teraz nawet, gdy cierpieć będziesz przezemnie, lękam się tej Twojej słabości, bo przez nią utracę Cię kiedyś — a choć może nie powinienem o tem myśleć, Edyto, ten lęk czyni mi cię jeszcze droższą i więcej upragnioną... Jakie wspomnienie zachowasz o mnie? Jesień była początkiem i kresem naszej miłości. Lubiłaś ponad wszystko przedziwną, jesienną krasę. Jej złoto lśniło w Twoich oczach, jej czar odnajdywałem w Twoich ramionach. Zdawała mi się pełna niezrównanej rozkoszy. Teraz jednak widzę, iż jest jako chryzantemy na cmentarzu w Orta: kryje śmierć. Czy rozumiesz to — śmierć? Nie pożegnałem Cię, a już koniec wszystkiemu. Będziesz płakać, mówić, chodzić; będziesz dla innych istotą żywą, młodą i uroczą; lecz dla mnie, który już nic nie będę wiedział o Tobie, będziesz umarłą. I zaiste lepiej byłoby, gdybyś umarła naprawdę: nie przeklinałabyś mnie, który kocham Cię, a zmuszony jestem zabić naszą miłość“.

Gwizd lokomotywy wyrwał go brutalnie z tego stanu rozpaczy, w jakim słabła stopniowo jego wola. Czyżby było już zapóźno? Nie, to kurjer, idący do Nowary, wcześniejszy o kilka minut od pociągu w kierunku Domodossoli. To niewczesne hasło przywróciło mu energję. Biegiem minął las i dotarł do dworca. Na skraju gór perłowy wstawał świt, księżyc roztapiał się w przestworzu.

Dla zmylenia ewentualnego pościgu Edyty, wziął bilet do Corconio, stacji najbliższej, lecz w odwrotnym kierunku. W drodze, powoła się na rzekomą omyłkę.

Aż do Omegna, tor okrąża górą jezioro. W wagonie, Maurycy usiadł tyłem do parowozu i wychylił się oknem, by spojrzeć po raz ostatni na te miejsca tak bliskie mu i drogie. Lekki powiew poranny marszczył lśniącą taflę wód. Drzewa półwyspu, o szeroko rozpostartych konarach, rzucały długi, mroczny cień. Tam zaznał szczęścia! Pociąg minął Omegnę. Napróżno usiłował dojrzeć jeszcze Orta Novarese, ogarnąć oczyma i sercem ten niknący w oddali krajobraz. Sekundy, zwiększające odległość, padały jedna po drugiej, ciężko, jak kamienie w przepaść. Słyszał łoskot ich upadku.

W godzinę później, pociąg dojeżdżał do Domodossoli, włoskiej mieściny u podnóża wielkich Alp, powyżej Lago Maggiore, nad brzegiem bystrej, o szmaragdowych wodach Tosy. Stąd wyrusza dyliżans, łączący Włochy ze Szwajcarją, poprzez przełęcz Simplonu. Doborowy, mądrze rozstawiony zaprząg umożliwia przebycie w przeciągu dwunastu godzin sześćdziesięciu czterech kilometrów, które dzielą dolinę Ossola od doliny Rodanu.

Przejazd kosztuje blisko luidora. Żeby uiścić się całkowicie względem Edyty, Maurycy wyczerpał prawie doszczętnie swoje pieniężne zasoby. Przejrzał był poradniki. Owóż droga na Turyn była droższa. Po zapłaceniu biletu trzeciej klasy z Orta do Domodossola i z Brieg do Chambéry, zostawało mu w kieszeni zaledwie dosyć na trzy lub cztery skromne posiłki. Był to w rzeczy samej powrót marnotrawnego dziecięcia. Znosił bez żadnej przykrości ubóstwo, upodobniające go do robotników, z któ-

rymi razem jechał. Mizerne groszowe troski rozpraszały z konieczności ciężkie, żałobne myśli. Wiedział zresztą, jak sobie radzić, co począć, żeby zaoszczędzić cenę dyliżansu i kosztowny nocleg w Brieg. U szczytu przełęczy, schronisko Simplonu, — tak, jak schronisko góry Grand Saint Bernard — gości darmo ubogich przechodniów, a nawet i turyści bezczelnie zeń korzystają. Sąsiad z wagonu, Piemontczyk, z okolicą obeznany, dostarczył mu w tej mierze bliższych informacji: „Schronisko jest zawsze otwarte: dniem i nocą, nocą i dniem. W nocy wchodzi się i nie pytając o nic nikogo, idzie się wprost na pierwsze piętro szukać wolnego pokoju".

Uproszczało to podróż. Przejdzie pieszo Simplon, przenocuje w schronisku. W Domodossola, krańcowej stacji podgórskiej, wyszedł z wagonu i minął z dumną miną dyliżans, stojący przed dworcem, zaprzężony w pięć rosłych koni, raźnie parskających u wylotu stromej, ciągle wzwyż pnącej się drogi. Dyliżans dogonił go wkrótce. Woźnica ocenił na oko tego eleganckiego młodzieńca, który sam niósł torbę podróżną i nie bał się zniszczyć cienkiego obuwia. Ściągnął lejce, żeby konie szły stępa, strzelił z bata, by zwrócić na siebie uwagę, i gestem szarmanckim, z jakim ofiarowuje się niewiastom kwiaty, wskazał na wolne miejsce w pojeździe.

— Dziękuję — rzekł Maurycy. — Idę pieszo.

— Niemożliwe, niemożliwe. Szkoda pańskich nóg. I co za opóźnienie! Jestem pewny, że signorina oczekuje tam pana.

— Nikt na mnie nie czeka.

— To szkoda! Miło zastać w domu tęgi ogień na kominie, gorącą strawę i kochaną niewiastę!

Potrząsnął lejcami. Niebawem dyliżans znikł z oczu. Zupełnie samotny, ruszył Maurycy w dalszą drogę. Powoli wznosił się ponad dolinę. Przed nim czerniały wąskie przesmyki Alp, za nim jaśniała czarem urocza włoska ziemia. Falista równina po obu stronach Tosy wdzięczyła się w słońcu krasą barwnego listowia, złote krzewy obsiadły strome zbocza, złotem lśniły lesiste wzgórza. Naprzekór posępnej urodzie gór, cudny ten kraj światłem promieniał i weselem. Idące do kościoła chłopki — była to niedziela — odziane były w jaskrawe chusty i krótkie, kwieciste spódnice. Pierwsze pozdrawiały przechodniów uprzejmem „dzień dobry", co rozczulało Maurycego. Odnosił wrażenie, że jest dobrowolnym wygnańcem. Czyż Edyta nie zastępowała mu ojczyzny? Edyta... Teraz właśnie obudziła się, już wie wszystko.... I przyśpieszał kroku, by zmęczeniem zagłuszyć ból.

Podzielił na trzy etapy owe 64 kilometry: Izella, 18 kilometrów; przełęcz 22; Brieg 24. Zamierzał zjeść śniadanie w Izella, dotrzeć przed wieczorem do szczytu przełęczy — 2000 metrów ponad poziom morza — posilić się i przenocować w schronisku, a nazajutrz rano zejść w dół do Brieg, na tyle wcześnie, by zdążyć na pociąg Lozanna—Genewa, który łączy się na granicy francuskiej z pociągiem sabaudzkim. W poniedziałek, o godzinie szóstej wieczorem, będzie już w Chambéry.

Izella, położona u kresu zielonej, wesołej dolinki, jest ostatnią wsią pogranicza, ostatniem smętnem pożegnaniem ze słoneczną włoską ziemią. Ciągnie się wzdłuż obu stron traktu Napoleona, między dwiema skalnemi ścianami o czterech do pięciu tysięcy metrów wysokości, lecz dość spojrzeć w tył poza siebie, by ujrzeć jeszcze dalekie łąki,

kępy drzew i jak gdyby otwarte wrota świetlane w mrocznym zwale gór. Dzwonki dyliżansu, który przeprzęga tu konie i ćwiczenia celników, karnych i dziarskich, jak prawdziwi żołnierze, o szumnej nazwie straży finansów, jedynie ożywiały niegdyś wiosczynę, gdy w sierpniu 1838 r rozpoczęto budowę nowej linji kolejowej poprzez Alpy. Jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ludność zwiększyła się w trójnasób. Powstały osiedla robotnicze, pobudowano wille z ogródkami dla inżynierów i podmajstrzych. Wzrosła liczba Alberghi i trattorie o szyldach głoszących chwałę Simplonu i przedziwny smak perlistego Asti.

Cała ta wędrowna ludność była na nogach, z racji niedzieli. Dzwony oznajmiały właśnie koniec sumy, gdy Maurycy wchodził do wsi. Minął barwny tłum niewiast, wracających do domu, z modlitewnikiem w ręku, podczas gdy kręgielnie ciągnęły ku sobie mężczyzn, a z każdej knajpy, wraz z zapachem potraw, wydobywały się dźwięki gitary i harmonji. Pożywił się za skromną kwotę w ubogiej osterji, w hałaśliwem towarzystwie miejscowych bywalców. Lecz zamiast skorzystać z krótkiego listopadowego dnia i przyspieszyć wymarsz, zapóźnił się nieopatrznie, jak gdyby milszym mu był najordynarniejszy gwar od samotności. Nie mógł zdobyć się na przejście granicy. Widział w tem namacalny dowód zerwania, dobrowolne potarganie ostatnich więzów miłości. Zdawało mu się, że nawet w tej niskiej zadymionej sali, której ogłuszająca wrzawa rozpraszała wszelką myśl i niosła temsamem ulgę w cierpieniu — trwa nadal nieprzerwanie tajemna jego łączność z Edytą.

Nieco przed wąwozami Gondo, w których grzmią wodospady, stoi słup graniczny na rubieży obu krajów.

A gdy go minął, nim pogrążył się w cień wąskiej drogi między dwiema skałami, uczuł, jak mrok ogarnia jego serce. Na niebie, w górze, gasły łuny zachodu. Noc, która zaskoczyła go szybciej, niż przewidział to w swojej marszrucie, nie dozwoliła mu iść na przełaj, powyżej Algaby. Późno już dotarł, zmęczony, do wsi Simplon, gdzie zjadł kolację i odpoczął.

Gdy w dalszą ruszał drogę, ciemność i cisza zalegały u progu oberży. Powitał je, jako dobrane towarzyszki tej smutnej wędrówki. Spełniał obowiązek: mniejsza o to, w jakich warunkach. Morderca własnego szczęścia, czyż nie zasługiwał na pokutę? Dopiero około jedenastej, księżyc wypłynął ponad szczyty. W miesięcznem świetle, ujrzał Maurycy, że jest sam w pośrodku pustej, grobowo cichej kotliny, przysypanej śniegiem, który powleka wszystko jednostajną, martwą bielą. Nie słyszał nawet odgłosu własnych kroków. Jeno cień szedł wiernie za nim, niespokojny, chwiejny, znikający i znów odbity na śnieżnem tle.

Zdyszany, zmęczony, oddawna już wypatrywał w oddali schroniska. Czyżby minął je nie dostrzegłszy? Znużenie mąciło w nim świadomość przestrzeni. Zresztą poco ten cały wysiłek? Dość przysiąść przy drodze. Śnieg słodko otuli do snu, w śnieżnych puchach miękko śnić nieprzespany, wieczysty sen. A wtedy koniec będzie wszystkiemu.

— Edyto! — zawołał głośno.

Na dźwięk własnego głosu, przystanął i drgnął, jak gdyby przez kogoś wołany. Czyż to nie ona przyzywa go raz jeszcze, ostatni raz? Pójdzie ku niej z radością. Nie czuje już nóg. Zsunie się w dół powoli, jak księżycowy promień po śniegu. Nadmiar zmęczenia, zimno, rozrze-

dzone powietrze i rozpacz wywoływały halucynacje. W takim stanie wyczerpania, kto przystanie, zgubiony jest bezpowrotnie. Traci wszelką możność ruchu. I ginie.

— Edyto! — szepnął po raz wtóry.

I uśmiechnął się. Nie czuł żadnego lęku. Tak dobrze siąść i czekać. Przed nim, z prawej strony, lodowce na Monte Leone lśniły skrzącym blaskiem, jakby z wewnątrz poruszane. Zdawało mu się, że wszystka biel widnokręgu zstępuje w dół, ku włoskim równinom. Wraz z odrętwieniem, ogarniała go dziwna błogość. Wiedziony instynktem samozachowawczym, czy też z ciekawości wobec niezwykłego mirażu, trzymał oczy szeroko rozwarte, choć morzył go sen, ale nie miał już ochoty ruszyć się z miejsca. Głucha cisza gór, nocą i śniegiem zwiększona, wypełniała cały przestwór, aż hen, pod gwiazdy.

W tym pochodzie całego krajobrazu, który ciągnął go za sobą, nastąpiła przerwa, spowodowana upadkiem torby, bezwiednie z ręki wypuszczonej. Przy pierwszem poruszeniu, urok prysł. Drętwość członków ostrzegła wędrowca o grożącem mu niebezpieczeństwie.

„— Ależ to śmierć! — pomyślał ze zgrozą. — Umrę tu, sam jeden, w tem pustkowiu".

Śmierć! Edyta, ku której zdawało mu się, że wraca, odrazu znikła z jego pamięci, jak syrena w głębi morza, by ustąpić miejsca ziemi lat dziecinnych, ojczystej La Vigie, rodzinie.

„Oni czekają tam na mnie".

Czy był to talizman przeciwko śmierci, to wspomnienie domu i dzieciństwa, idei trwałego bytu jako antytezy śmiertelnych pokus, żądzy unicestwienia się? Dość, że wróciło mu trochę energji. Kolejno podnosił nogi, jak gdyby wyciągał je z grząskiego błota. Wlókł się raczej, niż szedł

na przestrzeni kilkunastu metrów. Ogarniał go teraz lęk przed niebezpieczeństwem, które wyczuwał obok siebie, które towarzyszyło mu krok za krokiem w tej pustce, jak wróg, czyhający na chwilę słabości. Wiedział o istnieniu przydrożnych szałasów z drzewa, wzniesionych tu i owdzie do użytku przechodniów, zaskoczonych przez burzę lub mróz. Nie marzył na razie o niczem więcej. W tem dostrzegł u podnóża Monte Leone nikłe światełko, ledwie widne wśród jasnej nocy. Maleńkie na pozór, przytulone do ogromu góry, było to schronisko, o drzwiach zawsze otwartych, lampą oświetlonych. Z chwilą, gdy widział przed sobą wytknięty cel, był uratowany. Szedł coraz raźniej, wpatrzony w zbawcze światło. Wkrótce ukazał się we właściwych zarysach wysoki i szeroki gmach, z ciosowego kamienia wzniesiony. Po stopniach wszedł na taras, z tarasu na korytarz. Z głębi dalekiej budy, psy oznajmiły szczekaniem jego przybycie. Lecz na korytarzu, od księżyca jasnym, nie spotkał nikogo. Czyżby utonąć miał u brzegu? Już zamierzał kłaść się na kamiennych płytach, gdy przypomniał sobie informacje Piemontczyka:

— W nocy, każdy może i nie pytając o nic nikogo, szukać na piętrze wolnego pokoju.

Wszedł po schodach na górę, namacał ręką jedne drzwi, zamknięte, potem drugie, które się otworzyły. Pokój był skromny, lecz wygodny, z toaletą, komodą, kilkoma krzesłami i dywanem przed łóżkiem; łóżko czyste, o ciepłych, miękkich kołdrach. Uśmiechnął się radośnie na widok takiego komfortu. Gościnna dłoń postawiła na komodzie karafkę z rumem, szklankę i cukiernicę. Mocny napitek pokrzepił go znakomicie. W dwudziestym piątym roku życia niebezpieczeństwo rychło się zapomina.

„Jestem tu u siebie, jak złodziej" — szepnął żartobliwie, rad z tego nawrotu do życia. Lecz własna uwaga szarpnęła nim gwałtownie. Istotnie, jak złodziej. Czyż nie został skazany za kradzież? Wspomnienie hańby zmąciło krótki błysk radości. Rozebrał się i położył coprędzej. Grube kołdry udzieliły mu wkrótce dobroczynnego ciepła. Był tak zmęczony, że zasnął niemal zaraz, nie zdążywszy nawet pomyśleć, że od dnia wyjazdu z rodzicielskiego domu pierwsza to noc zdala od Edyty, poza granicą Włoch.

Nazajutrz obudził się zbyt późno, by nadążyć do Brieg. Uwiadomieni o perypetjach jego wędrówki, zakonnicy zatrzymali go na dzień następny i odżywiali czem mogli. Odrzucił propozycję przejazdu dyliżansem, lecz duma nie pozwoliła mu przyznać się dlaczego. Był to dzień wypoczynku, rozrywki, nieledwie zapomnienia. W tem skalnem odludziu, na wyżynie dwóch tysięcy metrów, odnalazł dawną niefrasobliwą wesołość, zrzadka tylko przerywaną krótkimi napadami smutku. Jadł za dwóch, przechadzał się w pobliżu schroniska, by rozprostować ścierpnięte nogi, pieścił w budzie olbrzymie kudłate brytany, podziwiał grę światła na lodowcach i różnorodność śnieżnych kryształów, wyraził kilkakrotnie chęć dłuższego pobytu w górach i poszedł wcześnie spać. Nikt nie byłby przypuszczał, że rozstał się oto z najmilszą kochanką i że wraca do Francji jako dobrowolny więzień. W pośród najsroższych cierpień, spotykamy takie niespodziewane oazy, które gotuje nam bądź to słabość naszych dusz, niezdolnych trwać niepodzielnie w bólu, bądź też brutalny instynkt życia, który podtrzymuje nas wbrew naszej woli.

Opuścił schronisko we wtorek, o czwartej rano, pożywiwszy się chlebem i serem, przemocą wetkniętym mu

wieczorem poprzedniego dnia przez zakonnika, który miał powierzoną sobie pieczę nad cudzoziemcami. Połowę zapasu zachował na drogę, nie był bowiem pewien, czy wobec dodatkowego posiłku we wsi Simplon, zostanie mu w kieszeni cośkolwiek ponad cenę biletu kolejowego. Wszyscy spali jeszcze w schronisku. Wyszedł tak, jak i przybył — potajemnie. Drzwi tak samo były szeroko otwarte. Na dworze, zamiast spodziewanej poświaty księżycowej, napotkał mrok. Pod nogami wyczuł śnieg.

Zejście zapowiadało się nienajlepiej, trzeba było przyspieszać kroku. Już z drogi, spojrzał wstecz, by dojrzeć jeszcze w nocnym mroku majaczący zarys schroniska i pożegnać je wdzięcznem sercem. Pokrzepiony na duchu, raźnie ruszył naprzód, ku przyszłości. Cisza gór, łagodny spokój zakonników, ukoiły obolałe jego serce. Pewien zwycięstwa, szedł zdobyć ponownie przy ognisku rodzinnem miejsce, z którego wysadziła go przypadkowa namiętność. Bezwiedny ruch, któremu zawdzięczał ocalenie, przywrócił go był równocześnie samemu sobie. Wracał do normalnego życia w szalony i romantyczny sposób, w jaki ludzie zazwyczaj uciekają od świata i napawał się swoją ofiarą z miłosnem samozaparciem.

Śnieg padał już widocznie od kilku godzin, bo droga była całkowicie zasypana. Szedł z ciągłym lękiem, że zboczy i runie gdzie w przepaść. Wkrótce po zejściu z przełęczy, trzeba zapuścić się kolejno w kilka tuneli, w skale wykutych. Ciemność w tych tunelach była taka, iż zdawało mu się, że oślepł na dnie głębokiego lochu. Z prawą ręką wspartą na lasce, a lewą wyciągniętą naprzód mimo trzymanego sakwojażu, szedł poomacku, wchodząc co chwila w kałużę wody, ociekłej ze skał, a przy

wyjściu orjentował się raczej zimnem powietrza, aniżeli wzrokiem.

Lecz te przeszkody wzmagały tylko jego energję. Młodym potrzebne są próby życiowe; miłości pożądają oni bardziej przez namiętne pragnienie życia, niż z potrzeby zmysłowej rozkoszy. Ten oto, który uchodził przed własnem szczęściem, żebrakowi podobny, nie żałował niczego. Walczył mężnie z zimnem, ze śniegiem, z trwogą i walka ta podniecała go.

Dniało powoli, lecz dzień niewielką przyniósł odmianę. Śnieżny tuman zewsząd spowijał wędrowca, jak morskie fale wysepki. Malownicza ta droga, z przepięknym widokiem na Alpy berneńskie, na lodowiec Aletschu, na wspaniałą i różnorodną panoramę doliny Rodanu, wydawała się, jak gdyby usłana z waty. Niekiedy, w odległości kilkunastu kroków, zamajaczył przy drodze samotny, biały od okiści świerk. I znów tylko śnieg, wciąż bez przerwy. Wśród tej niezwykle monotonnej bieli dotarł wreszcie Maurycy do Brieg. Tu kończył się okres bohaterski.

Podróż wagonem długa była i przykra, mimo coraz bliższego sąsiedztwa ziemi ojczystej. Bojąc się, że zostanie poznany i zaaresztowany na dworcu, wysiadł o godzinie szóstej wieczór w Vivier, tuż pod Chambéry. Stąd ruszył pieszo traktem z Aix. Trakt ten przechodzi nieopodal miasta u podnóża Kalwarji na Lémenc.

— Edyto! — westchnął, przystając. Zrozumiał tu, do jakiego stopnia ubiegłe trzy dni oddaliły go od niej. A że kochał ją, przeto oburzył się na własne okrucieństwo. Potem podszedł do barjery, która strzeże drogi od stromego zbocza. W dali błyszczały światła Chambéry. Patrzył długo.

— Cmentarz. Dom.

Najpierw podążył na cmentarz. Lecz brama cmentarna była zamknięta i nie mógł się przedostać. Wówczas, krętemi zaułkami, doszedł do domu. Jakiś zegar wydzwaniał ósmą. Zziębnięty był, głodny: dokąd iść, jeśli nie tam? Z bijącem sercem nacisnął dzwonek. Otworzyła mu drzwi nieznana służąca, tak, że zamiast wejść odrazu, zapytać musiał głosem zdławionym:

— Czy zastałem pannę Roquevillard?

Zostawiono go w przedpokoju. Upokorzony, złamany, uciekać chciał, iść gdziebądź. Jakaż dziwna moc popchnęła go aż tu, pod ten ojcowski dach?

Skrzypnęły drzwi, Małgorzata padła w jego objęcia:

— To ty, Maurycy, to ty!

A gdy sprężał się w sobie, żeby nie wybuchnąć płaczem, dodała łagodnie:

— Czekałam na ciebie od wczoraj.

Poprowadziła go do jadalnego pokoju. Zgnębiony, jak gdyby bezwładny, pozwalał jej robić z sobą co chciała. Stół był jeszcze nakryty.

— A ojciec? — zapytał wreszcie nieśmiało.

— Zamknął się po obiedzie w swoim gabinecie, podczas gdy poszłam rozebrać i ułożyć do snu małego Julka. Pójdę go uprzedzić.

— Nie, Małgosiu, nie chodź.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

I po chwili milczenia, ciężkiego jak kamień, szepnął cicho:

— Tedy bardzo się zmienił?

— O tak, bardzo.

Głodny był, a nie śmiał ruszyć potraw, które własnoręcznie przynosiła mu z kuchni. Zrozumiała to, i gdy pogrążył się w myślach, pobiegła do ojca.

— Ojcze, wrócił. Jest tu.

Pan Roquevillard porwał się z nad biurka. Był to bezwiedny odruch, zaraz opanowany.

— Późno wrócił.

— Czy nie wyjdziesz, ojcze, do niego? Taki jest biedny!

Pan Roquevillard zamyślił się i odparł z wysiłkiem:

— Pójdę do niego jutro, do więzienia, by omówić jego obronę. Nie dzisiaj.

A widząc łzy w oczach córki, przygarnął ją ku sobie:

— Ty zajmij się nim tymczasem. Jeśli zmęczony — — dojrzyj, by wypoczął. Jutro dopiero pójdzie zgłosić się jako więzień.

— Ojcze, przebacz mu! Przez pamięć dla mamy...

— Mam nadzieję, że zasłuży kiedyś na moje przebaczenie. Nie mogę, nie wolno mi zapomnieć odrazu krzywdy, jaką nam wyrządził swoim wyjazdem i chcę, by zrozumiał to, by ocenił należycie rozmiary tej krzywdy. Tego wymaga nasza przeszłość, a jego przyszłość. Nie płacz, dziecko. Ani na chwilę nie przestałem go kochać. Jego powrót przynosi mi ulgę...

Później, znacznie później, wśród nocnej głuszy, pan Roquevillard wysunął się na korytarz i podszedł na palcach pod drzwi pokoju syna. Ręką osłaniał płomień świecy. Z poza drzwi dochodził ledwie dosłyszalny, równy, głęboki oddech śpiącego. Nikły uśmiech rozjaśniał energiczną, cierpieniem porytą twarz adwokata:

„Wrócił. To grunt. Ocalę go — a wraz z nim cały ród..."

# CZĘŚĆ TRZECIA

# I

## TOWARZYSZ BRONI

Gdy Małgorzata Roquevillard weszła, jak zwykle o tej porze, do gabinetu ojca, by zaświecić lampę, zasunąć firanki, a zwłaszcza przejąć na siebie część jego troski, zastała go przy oknie, wpatrzonego w szybko zapadający jesienny zmierzch.

— Ah, to ty! — rzekł. — Było już za ciemno do pracy.

Usprawieliwiał się ze swojej zadumy, jak z przejawu słabości. Lecz ona wiedziała dobrze, skąd ta zaduma.

— Nie przyszli jeszcze ci panowie?

— Oczekuję ich lada chwila. Dziś popołudniu byli prawdopodobnie w więzieniu, u Maurycego.

— Kto będzie bronił? Czy pan Hamel?

— Nie. Hamel jest przewodniczącym Izby adwokackiej, do której Maurycy był już zapisany jako członek, ma za sobą 50 lat chlubnej pracy zawodowej, prosiłem go tedy, w myśl tradycji, by zechciał podjąć się obrony. Odpowiedział mi, że jest już za stary i zbyt wyłącznie wyspecjalizowany w prawie cywilnem, aby stanąć jako obrońca. Zastąpi go Bastard, najznakomitszy z naszych kolegów, z największym osobistym wpływem na przysięgłych.

Małgorzata skrzywiła się na dźwięk tego nazwiska.

— Słyszałam go, ojcze. Mówisz lepiej od niego.

Lecz stary adwokat zaprzeczył nieledwie z gniewem:

— Wcale nie lepiej, maleńka. Mówię poprostu to, co mam do powiedzenia.

— Dlaczego nie bronisz go sam, ojcze?

— Bo to niemożliwe. Czyż tego nie rozumiesz?

Podeszła ku niemu, i z ręką, wspartą na jego ramieniu, przytuliła się pieszczotliwie.

— Czy przebaczyłeś mu? — szepnęła cicho.

— Nie prosił mnie o to.

— Bo cierpi.

— Być może. Los ciężko go doświadcza. Lecz on przynajmniej zasłużył na to.

— Ojcze, przez pamięć dla mamy...

Schylił się, by ucałować czoło córki.

— Nie proś mnie o dowód słabości, Małgosiu. Dwukrotnie byłem u niego w więzieniu. Opancerzony dumą, nie objawił żadnej skruchy, żadnego żalu za wyrządzoną nam krzywdę. Czekam na pierwszy odruch serca z jego strony, by mu przebaczyć — a wymieniamy tylko banalne, nic nieznaczące słowa.

— Przy mnie opłakuje mamę. Ty go onieśmielasz.

— Moim obowiązkiem jest czekać. Będę czekał.

Pochylona pod wrażeniem tych słów, Małgorzata nie widziała w postarzałej twarzy ojca rzewnego smutku, który łagodził surowość mowy. Powtórzyła:

— On cierpi. Jest nieszczęśliwy.

— A my? — odparł pan Roquevillard.

Uniósł lekko głowę dziewczęcia i zmieniając temat rozmowy, zapytał z kolei:

— Co robiłaś dziś popołudniu?

— Byłam z Julkiem na spacerze. A potem pisałam długi list do Huberta.

— Ja także.

Oboje niepokoili się o Huberta. W ostatnim liście młody oficer donosił im z Sudanu, że dostał febry i że leży chory w samotnej chacie, bez pomocy lekarskiej. Żartował wprawdzie z tego niefortunnego zasłabnięcia, lecz żartobliwa forma listu, w zestawieniu z serdeczniejszą niż zwykle formułą pożegnania, uderzyła i zaniepokoiła i ojca jego i siostrę. Umilkli, nagłą przejęci trwogą. Małgorzata zapaliła lampę, by rozproszyć złowróżbną ciemność pokoju. Gdy zapuszczała story, ktoś zapukał do drzwi.

— To oni — rzekł pan Roquevillard.

I ruszył na spotkanie gości, nim dziewczyna zdołała zniknąć w głębi mieszkania. Pierwszy wszedł pan Hamel, za nim pan Bastard.

Przewodniczący Izby adwokackiej cieszył się w sferach prawniczych Chambéry głębokiem poważaniem z racji wieku, wiedzy zawodowej i nieskazitelnego charakteru. Był to siedmdziesięciopięcioletni starzec, tak chudy, że ginął wprost w fałdach wytartego surduta, o którym mawiał uparcie, że starczy mu do śmierci. Zimą chadzał w staroświeckiem, na opaszki włożonem okryciu. Gładko wygolony, o przejrzyście bladych policzkach, zadziwiał bujnością białych jak śnieg, zawsze rozwichrzonych włosów. Wysoka jego postać chyliła się w dół, jak cienka, wichrami przygięta topola. Lecz charakter jego nie ugiął się nigdy. Nic nie zdołało go sprowadzić z wytycznej, obranej za młodu w kierunku czci dla tradycji rodzinnych. Chłodny i sztywny, zwięzły w mowie, wykazywał tyleż surowości za-

sad, co i dumnej kurtuazji w stosunkach z ludźmi. Niezwykła moc jego ducha ujawniała się zarówno w błahych jak i w ważnych okolicznościach. Z jednakową niezamąconą pogodą przyjmował uśmiechy losu, jak i przeciwieństwa. A przeciwieństw tych doznał dopiero na starość, w wieku, w którym każdemu należy się już wypoczynek. Doszczętnie zrujnowany na skutek nieopatrznych spekulacji syna, z powrotem jął się zarobkowej pracy. Rzadko kiedy czynny jako obrońca, był tym zaufanym doradcą, uosobieniem prawdy i rzetelności, rozstrzygającym delikatne sprawy. Nigdy niemal nie widywano go poza obrębem jego gabinetu, mrocznej i ubogiej komnatki, w której przedkładano mu, niczem wszechwładnemu trybunałowi, wszelkie transakcje i arbitraże. Wychodził stamtąd dopiero pod wieczór i szedł do kościoła, przygarbiony, w wiecznym pospiechu, na wszystko obojętny, zasłuchany w głos Boga, z cierpliwą rezygnacją wyczekujący chwili, w której Bóg raczy powołać go do siebie.

Z panem Roquevillardem, którym był opiekował się przed laty w zaraniu jego zawodowej pracy, a której w zamian ratował go później od materjalnej katastrofy, układając się z wierzycielami, uzyskując przeróżne prolongaty, organizując w miarę możności sprzedaż i wypłaty — łączyła go mimo różnicy wieku zażyła przyjaźń, niemal że równa związkowi krwi, ugruntowana na podobieństwie duchowem i wspólności walk życia. Gdy los uderzył z kolei w młodszego, starszy opuścił swoją samotnię. Lecz czuł na sobie obezwładniające brzemię lat, i bezsilność wobec nieszczęścia.

Rozgłos narzucał mu jako pomocnika pana Bastarda.

Młodzieniec ten — nazywany tak przez starca mimo czterdziestu kilku lat — niepokoił go wprawdzie pewnym

cynizmem mowy i sposobem traktowania procesów jedynie z punktu widzenia honorarjum; lecz w sądzie groźnym był bojownikiem: kolejno zjadliwy i liryczny, szyderczy i rzewny z aktorską mimiką i modulacją głosu, brał odrazu prym, imponował bujną, starannie rozczesaną brodą, regularnym profilem, lśniącą łysiną, kręcił się, rzucał, przewodził nad wszystkimi i — zawsze zwycięski — zagarniał ostatecznie przysięgłych, sędziów i przeciwników w połę swojej togi, szeroko, jak sztandar rozpostartej. Należało liczyć się z tą bezsprzeczną umiejętnością fachową i pan Hamel, korny sługa prawdy, wróg wszelkiej sztucznej retoryki i deklamacji, zadał gwałt osobistym swoim upodobaniom, by tylko zapewnić wygraną synowi przyjaciela.

Jakkolwiek pan Roquevillard zawsze trzymał się zdala od niego i prostotą porywającej swojej wymowy zwalczał na posiedzeniach sądu wszelkie jego wybiegi i krasomówcze efekty, to jednak solidarność koleżeńska przeważyła na tyle, że pan Bastard podjął się najchętniej obrony Maurycego i odrazu wykazał dużo energji i dobrej woli.

Po przywitaniu, stary przewodniczący w kilku słowach streścił sytuację:

— Wiesz o tem, drogi przyjacielu, iż prosiłem o pomoc kolegę naszego Bastarda. Jestem już za stary i nie umiem wzruszyć audytorjum. On będzie bronić: ja zostawiam sobie tylko głos doradczy. Razem przestudjowaliśmy akta i porozumieli się z twoim synem w więzieniu. Otóż istnieje pewna przeszkoda.

— Jaka? — spytał zaniepokojony ojciec.

— Bastard wyjaśni to lepiej odemnie.

Piękny adwokat znacząco potrząsnął głową. Dość inteligentny, by osądzić, że wszelki efekt byłby tu bezcelowy, poprzestał na jasnem i zwięzłem exposé.

— Tak jest, przestudjowałem akta. Materjalny fakt nadużycia zaufania wykazany jest w zeznaniu rejenta i w protokóle komisarza policji. Nie widzę dowodów przeciwko waszemu synowi, panie kolego. Widzę natomiast poważne poszlaki. Znaną mu była zawartość kasy, mając w ręku klucze, ostatni wyszedł z kancelarji, wykryć mógł tajną cyfrę od zamku w notatniku starszego dependenta, który cyfrę tę zapisał sobie dla pamięci, pozbawiony był znaczniejszych funduszów osobistych, a porwać zamierzał żonę pryncypała. Materjał dostateczny dla urzędu śledczego. Nadto wyjazd zagranicę, długa nieobecność, spóźniony powrót oraz dziwnie zjadliwe zeznanie owego Philippeaux. Nieborak musiał chyba być zazdrosny o bardziej faworyzowanego kolegę. Podejrzywam go o nieszczęśliwą miłość dla pani Frasne. Niebezpieczna kobieta! Trochę za chuda, ale oczy ma piękne. Zresztą nie mój typ.

Niższego pokroju duchowego, nie wyczuł, jak dalece tego rodzaju uwaga niewłaściwą była w obecności ojca oskarżonego — i po chwili, ciągnął dalej:

— Nie wystarcza — mojem zdaniem — gołosłowne stwierdzenie jego niewinności. Skoro uznano kradzież za fakt dokonany, przysięgli szukać będą winowajcy. Trzeba go wskazać. Przekonałem się już niejednokrotnie, że ofensywa częściej daje pomyślne wyniki od defensywy. Odwraca uwagę i skupia ją gdzieindziej. Czynię to nieraz — zawsze z powodzeniem. Owóż, w danym wypadku, winowajca narzuca się sam, niezbitą siłą logiki.

Przerzucać jął leżący na stole kodeks. Obaj jego interlokutorzy słuchali go w skupieniu.

— Proszę zauważyć, że pani Frasne na nic nie jest narażona. Osłania ją całkowicie artykuł 380: „Nadużycie

popełnione przez męża na szkodę żony lub też przez żonę na szkodę męża... może być tylko skierowane na drogę odszkodowań cywilnych".

— O tem wiemy — zauważył pan Hamel.

— W rodzinie niema kradzieży. Pani Frasne nie ponosi tedy żadnej odpowiedzialności. Lecz ja na inny jeszcze wpadłem trop i pewien jestem, że się nie mylę. Miałem w ręku kontrakt przedślubny obojga Frasne'ów. Sądząc, iż coś w nim odnajdę, postarałem się o kopję. I znalazłem tam dowód tego, że przywłaszczając sobie sto tysięcy franków z kasy mężowskiej, pani Frasne przekonana była, iż podejmuje tylko swoją własność.

— Nie rozumiem — oświadczył tym razem pan Roquevillard.

— Zaraz to wytłómaczę. Nic łatwiejszego. W kontrakcie tym, mąż przyznawał jej darowiznę stu tysięcy franków.

— Na przeżycie?

— Nie, natychmiastową. Lecz oczywiście pod kontrolą męża, z wykluczeniem ewentualności rozwodu. Nieobeznana z kodeksem, pani Frasne mogła mniemać, że jest bezsprzeczną właścicielką tej kwoty, uprawnioną do podjęcia jej bez względu na okoliczności. Jestto rozumowanie zgoła nielogiczne, lecz tem samem bardzo kobiece. Tem tłómacząc sobie fakt, że z koperty, zawierającej sto dwadzieścia tysięcy franków, złodziej wyjął tylko sto tysięcy. Nie jest to kradzież, lecz podjęcie należności. Pani Frasne zdawało się, że postępuje zgodnie z prawem.

— Istotnie — zakonkludował pan Roquevillard, zainteresowany ścisłością argumentacji — kontrakt wyjaśnia wszystko.

— I zapewnia niechybne uniewinnienie — upewnił pan Bastard, ożywiając się i gestykulując. — Któryż sąd mógłby się oprzeć podobnej oczywistości? Rzadko kiedy mam tyle atutów w ręku.

— Nie zawsze bronicie, kolego, niewinnych — wtrącił stary przewodniczący.

— Niewinni czy winowajcy, byle tylko były dowody... Tutaj dowód jest niezbity.

Całkowitej pragnąc rehabilitacji, z kolei zabrał głos ojciec podsądnego:

— Odnalezienie kontraktu jest niewątpliwie czynnikiem sprzyjającym obronie. Wasza wymowa, kolego Bastard, dokona reszty i pewien jestem, iż uzyskamy pomyślny wynik sprawy. Lecz jest jeszcze jeden punkt, który należy koniecznie podkreślić w obronie. Owóż Maurycy wyjeżdżał z pewnym zasobem pieniężnym; zabierał z sobą przeszło pięć tysięcy franków, przeważnie pożyczonych od obu sióstr, od stryjecznego dziada, Stefana Roquevillard, i od ciotki, Teresy Roquevillard, którzy to krewni mogą świadczyć o tem w razie potrzeby. W miejscowości, jaką zamieszkiwał ostatnio, otrzymał czek na ośm tysięcy franków, wystawiony przez filję Banku Kredytowego w Chambéry, gdzie znajduje się odnośne pokwitowanie. Wyjaśnienia te są niezbędne z dwojakiego punktu widzenia: raz dlatego, że wykluczają bezpowrotnie nowe oskarżenie powództwa cywilnego, oparte na art. 380 in fine, oczywiście już z pominięciem art. 408 o nadużyciu zaufania. Kradzież między małżonkami nie podpada rzecz prosta pod ingerencję prawa, wszelako kodeks karny dodaje: „Wszelkie inne osoby, winne ukrycia lub zużytkowania na własną korzyść całości, czy też części skradzio-

nych przedmiotów, karane będą za złodziejstwo". Pod tym względem nie może być żadnej dwuznaczności. Powtóre, nawet gdyby artykuł ten wcale nie istniał, pragnę ustrzec za wszelką cenę cześć mojego syna od jakichkolwiek zarzutów współżycia nie na własny koszt.

— Słusznie — pochwalił pan Hamel.

— Słusznie — powtórzył obojętnie pan Bastard.

A pan Roquevillard, z twarzą rozjaśnioną nadzieją, kończył w paru słowach:

— Tedy broń nasza gotowa, a zwycięstwo pewne!

Przewodniczący podniósł na niego smutne, od starości wyblakłe, niebieskie oczy:

— Zapominasz, drogi przyjacielu, o przeszkodzie, o której wspomnieliśmy ci zaraz na wstępie.

Wrócił lęk...

— O jakiej przeszkodzie?

Pan Bastard znów wysunął się na pierwszy plan, z którego niechętnie ustępował drugim:

— Otóż, kolego, nasz wspaniały plan, o zgoła niewątpliwym wyniku finalnym, rozbija się o upór waszego syna.

— Mojego syna?

— No tak. Dopiero co przedłożyliśmy mu w więzieniu projekt naszej obrony — i wiecie co nam odpowiedział?

— Niestety, lękam się, żem odgadł.

— Że zakłada formalny sprzeciw co do mięszania tu osoby pani Frasne i że, w razie, gdyby jej nazwisko miało być wymówione, winę weźmie na siebie.

— Tak, to było do przewidzenia — szepnął półgłosem pan Roquevillard.

— Napróżno perswadowałem mu, że ten odruch rycerskości jest śmieszny, że nie oskarżałby tu nikogo, gdyż pani Frasne nie jest odpowiedzialna sądownie, a czyn jej łatwo wytłómaczyć brakiem znajomości prawa oraz fałszywą interpretacją kontraktu ślubnego. Wszystko na darmo. Napotkałem niezwalczony upór.

— Czy dał wam jakie racje?

— Jedną tylko: honor.

— To poważna racja.

— Nie, to nie jest żadna racja, to tylko uczucie. Sądem nie kieruje punkt widzenia honoru, lecz prawo.

Pan Hamel, który teorji tej nie podzielał, ujął sprawę z innej strony:

— Podsądny ma przedewszystkiem na względzie cześć pani Frasne. Broniąc swojego honoru, musi dowieść, że ani nie przywłaszczył sobie niczyich pieniędzy, ani też nie korzystał z cudzej kradzieży. Owóż jedynym takim niezbitym dowodem jest wspomniany powyżej kontrakt, drugim pisemne zaświadczenie medjolańskiego Banku Międzynarodowego, w którym złożone były fundusze pani Frasne. Lecz niestety kategorycznie sprzeciwia się użyciu tych dowodów.

— Czyście mu to mówili?

— Mówiłem, i to także, że stając bezbronny wobec sędziów przysięgłych, naraża się na poważne niebezpieczeństwo.

— Cóż odpowiedział na to?

— Że nigdy nie pozwoli stawiać pani Frasne żadnych zarzutów i że zakazuje swojemu obrońcy tykać jej w jakikolwiek sposób. Upór jego jest niewzruszony. A gdy kolega Bastard zapytał go: „Więc jakżeż mamy pana bro-

nić?" — odparł z dumą: „Jak można było wogóle mnie oskarżać? Dość gniazda, z jakiego się wywodzę i tego kim jestem. To powinno wystarczyć".

— Co za dzieciństwo! — zawołał pan Bastard, gładząc z upodobaniem swoją piękną brodę. — Nieskazitelność rodu jest oczywiście potężnym argumentem, który zamierzałem wyzyskać przed sądem. Lecz jestto do pewnego stopnia argument li tylko dodatkowy. Nie sięga istoty rozprawy. Rzeczowych dowodów nie zastąpią ani żywi, ani zmarli krewni.

— A jednak świadczą oni za nami — upewnił z powagą pan Hamel.

— Nie zapominajmy o tem, że w danym wypadku jest winowajca i że sąd będzie go poszukiwał. Jeśli nie kochanek — to metresa; jeśli nie metresa — to kochanek. Mamy w ręku dowód, że to ona, i mielibyśmy go nie użyć! Toć to szaleństwo. Uprzedziłem Waszego Syna, kochany kolego, że w tych warunkach nie mogę podjąć się obrony i powtarzam to tutaj po raz wtóry. Wiecie, z jaką ochotą i energją sprawę rozpoczynałem. Skrępowany, tracę wszelkie szanse powodzenia. Jest mi niewymownie przykro, lecz nie mogę stawać jako obrońca wówczas, gdy klient całkowicie mnie obezwładnia.

Nieszczęśliwy ojciec wyciągnął do niego rękę:

— Tracę cenne Wasze poparcie — i ocalenie syna. Lecz obrona musi mieć swobodę ruchów.

Mimo wzajemnego braku sympatji, obaj adwokaci jednakowo byli wzruszeni. Nie napróżno łączy ludzi ten sam zawód, te same walki, te same myśli i troski.

— Idźcie sami do niego — rzekł, wstając, pan Bastard. — Może uzyskacie to, czego nam odmówiono.

— Wątpię.

— O ile zdołacie go przekonać, jestem do Waszego rozporządzenia. I może liczyć na pełnię mojej dobrej woli. Dochodzi szósta, muszę Was pożegnać. Mam do załatwienia pewną sprawę.

Pan Roquevillard odprowadził go do drzwi.

— Nie zawsze zgadzaliśmy się, kolego. Nigdy jednak nie zapomnę tego, że w najcięższej chwili mojego życia oddaliście mi do dyspozycji Wasz talent i Waszą ofiarną pracę.

— Ależ najchętniej, zawsze — odparł słynny adwokat, własną wspaniałomyślnością zdumiony. — Szkoda, że nie potrafiłem przekonać pana Maurycego. Sprawa piękna. Niech tylko zmieni zdanie, a służę z przyjemnością.

Wróciwszy do gabinetu, pan Roquevillard zastał pana Hamel'a przy kominku, zgarniającego z roztargnieniem żużle. Usiadł wprost niego i obaj pogrążyli się w milczącej zadumie.

— Głos mój nigdy nie sięgał daleko — rzekł wreszcie starzec, głośno kończąc wewnętrzne jakieś dedukcje — a starość stłumiła go do reszty. Umiałem tylko wykazywać — nie umiałem wzruszać. Będę wprawdzie obecny na rozprawie, powiem coś nie coś o rodzinie podsądnego, o nim samym — lecz bronić musi kto inny. Ja mogę być jedynie doradcą.

Nie ujawniał swego zdania co do decyzji Maurycego, być może nawet, że zgoła jej nie rozumiał. Jak zdarza się to nieraz u kresu systematycznego, surowego żywota, czuł w stosunku do kobiet nieufność, graniczącą nieledwie z pogardą. Honor takiej pani Frasne nie wydawał mu się godnym tylu względów. Opowiadano o nim, że gdy raz

ukłonił się pewnej damie o złej opinji i dowiedział następnie, że użyła tego ukłonu jako tarczy ochronnej — przestał wogóle kogokolwiek na ulicy pozdrawiać.

— Czy sędziowie przysięgli ocenią wspaniałomyślność tego milczenia? — spytał półgłosem pan Roquevillard, który lepiej wnikał w pobudki swego syna. — To rzecz wątpliwa.

— To jest wręcz niemożliwe — oświadczył bez ogródek pan Hamel. — Syn Wasz gubi się sam, podczas, gdy nie ma naprawdę żadnej racji oszczędzania tej pani. Lecz czyż nie przysługuje nam prawo bronić go wbrew jego woli?

— W jaki sposób?

— Obrona jest przymusowa. Wiecie o tem dobrze. W braku obrońcy z wyboru podsądnego, prezes sądu wyznacza obrońcę z urzędu. Naznaczony z urzędu — a dość będzie, gdy jako starszy z pośród Wasz wskażę go przewodniczącemu — Bastard odzyskałby pełną swobodę ruchów, chociażby nawet klient go się wyparł.

— Lecz ten sprzeciw podsądnego wywarłby niekorzystny wpływ na ławę przysięgłych.

— Nie widzę innego sposobu. Chyba, że...

I starzec umilkł. Wszelkie pytania pana Roquevillarda nie zdołały przełamać tego milczenia.

— Wszystko stracone — szepnął w końcu.

Wówczas pan Hamel podniósł się.

— Wierzysz w Boga tak jak i ja, mój przyjacielu. Módl się do Niego, On cię natchnie. Syn twój jest niewinny; musi być uwolniony. Istotna jego wina nie podlega ludzkiemu trybunałowi. Skrzywdził sam siebie — i niestety, swoją rodzinę.

Już brał za klamkę, by wyjść, gdy wtem zawrócił wstecz i wyciągnął ramiona. Ruchem tym odsłaniał tkliwość serca, skrywaną od tylu lat pod pozorami chłodu i obojętności. Było to dziwne i ujmujące, jak wdzięk dziewiczy na twarzy starej niewiasty, lub jak kwiat, pod śniegiem rozkwitły. Obaj mężczyźni uścisnęli się gorąco.

— Wy nas nie opuścicie — rzekł pan Roquevillard. — Dziękuję.

— Pamiętam — odparł starzec.

I naciągając na ramiona wierzchnie okrycie, ruszył wzdłuż korytarza tak szybkim krokiem, że gospodarz ledwie mógł nadążyć mu do drzwi.

Pozostawszy sam, pan Roquevillard usiadł przy biurku — przy którem rozstrzygał w ciągu lat tyle trudnych spraw materjalnych i moralnych — i z twarzą ukrytą w dłoniach rozmyślać jął nad sposobem ocalenia syna, a wraz z synem, całego rodu. Mniej despotyczny, bardziej wyrozumiały, lepszy znawca życia i ludzi od zasklepionego w swojej nieugiętości pana Hamel, poznawał w tej decyzji podsądnego upartą wolę i poczucie odpowiedzialności, które tworzyły i wzmacniały, z pokolenia na pokolenia, siłę Roquevillardów. Lecz tym razem, te same cechy rodowe zniweczyć miały ową siłę. Osobistemu szczęściu poświęcił Maurycy bez wahania całą przeszłość swoich najbliższych, lecz nawet wśród winy wykazywał znamienne cechy rodu. Widząc go wolnym od podłości i znikczemnienia, ojciec czuł sercem, że jeśli zdoła przywrócić syna rodzinie i społeczeństwu, to przybędzie tradycji nowy bojownik, a właściwości charakteru, fałszywie zrazu pokierowane, normalnym pójdą torem. Za wszelką cenę nale-

żało ratować go i oderwać od zgubnego uczucia, którego nie chciał się zaprzeć.

„Chyba, że....“ Jak fala od brzegu odbita, przyszło mu na myśl tajemnicze niedomówienie starego druha. Co znaczyć miało to zastrzeżenie?

Podniósł głowę i — wsparty o fotel — spojrzał przed siebie. Wzrok jego zatrzymał się na planie La Vigie, wiszącym nieco poza świetlanem koliskiem lampy, już w cieniu. Uprzytomnił sobie ten własny, ukochany kęs ziemi, jako głowa rodziny, jako bezstronny doradca, a równocześnie dźwięczały mu w uszach okrutne sylogizmy Bastarda:

„Stwierdzono kradzież. Tedy jest winowajca. Kto nim jest? Jeśli nie on, to ona. Skoro on nie chce, by to była ona, zatem on? Czem odeprzeć tę prostotę rozumowania, dostosowaną do nieuczonych mózgów przysięgłego jury?“

I podczas gdy wpatrywał się w niewyraźny rysunek planu, błyskawicą przemknęła mu myśl:

„Gdyby usunąć fakt kradzieży, nie byłoby winowajcy. Sąd musiałby uniewinnić. W jaki sposób kradzież usunąć?“

Przemówiło wówczas w ciszy stare gniazdo rodzinne.

W chwilę później, Małgorzata dyskretnie pukała do drzwi.

— Wejdź — rzekł. Jestem sam.

— I cóż, ojcze, postanowiliście?

Objaśnił jej nowe niebezpieczeństwo, wynikłe z uporu Maurycego, i zakonkludował:

— Bastard opuszcza nas. Niechce w tych warunkach bronić.

— Któż więc go obroni? — pytała strwożona. — I jak go obronić?

— Nie lękaj się jeszcze, maleńka. Znalazłem może sposób.

— A jaki?

— Powiem ci później. Muszę sam jeszcze nad tem pomyśleć. Byłaby to wielka ofiara z naszej strony.

— Złóżmy ją jaknajprędzej!

Nagłym blaskiem zapłonęło w oczach dziewczęcia odbicie jej czystej i szlachetnej duszy.

— Drogie dziecko! — szepnął z dumą adwokat.

Uśmiechnęła się doń nikłym uśmiechem istot oddawna niedolą gnębionych.

— Ojcze — rzekła — zawsze myślałam, że ty jeden zdołasz go ocalić.

* *
*

## II

## RADA FAMILIJNA

Może przeszkadzam? — zapytała Małgorzata, stając w progu gabinetu, wobec zgromadzonych tam osób.

— Miałem posłać po ciebie — rzekł ojciec. — Twoje miejsce wśród nas.

Wsparty o kominek, na którym płonął suty ogień, wysoki, szczelnie opięty starzec, powiedział zjadliwie:

— Za moich czasów, kobiety nie były dopuszczane do rady.

— A przecież to nie kobieta skompromitowała rodzinę — odcięła się z głębi fotelu niemłoda już, tęga, czarno ubrana niewiasta.

Było to jednak skrzyżowanie broni li tylko dla zasady, gdyż oboje serdecznie lubili Małgorzatę. Kolejno witała się ze stryjecznym dziadem, Stefanem Roquevillard, rzeźko dźwigającym brzemię ośmdziesięciu czterech lat życia, ze stryjenką, panią Kamilową Roquevillard i z synem jej Leonem, przemysłowcem z Pontcharra, w Delfinacie, wreszcie z Karolem Marcellaz, przybyłym tegoż dnia rano z Lyonu.

Na dworze chmurne, śnieg zwiastujące niebo, zdawało się opadać na zamek, przygniatać swoim ciężarem baszty i dach. Ogołocone z liści drzewa błagalnie rozpościerały konary. Tylko bluszcz na wieży Archiwum wdzięczył się wieczystą swoją zielenią. Mimo czterech okien, mroczno było i w gabinecie. Smętek szedł ze ścian, z książek biblioteki, z portretów, z krajobrazu Hugarda. Ostatnie dzieła prawnicze, w kącie, na stole, nie były oprawione tak, jak lat poprzednich. Obszerne biurko, założone aktami, z których jedne leżały otwarte, świadczyło o ciągłości pracy, nieprzerywanej mimo najcięższych trosk, podczas gdy świeża wiązanka chryzantem, zdobiąca fotografię zmarłej pani Walentyny Roquevillard, wskazywała na codzienny trud troskliwości dłoni kobiecej.

Adwokat wskazał gościom krzesła. Z głową ku piersi spuszczoną — rozmyślał. Bardzo postarzał się w ciągu ubiegłego roku. Szron siwizny posrebrzył mu skronie i twardy, krótko przystrzyżony wąs. Dwie brózdy żłobiły linję ust, a na wychudzonej szyji ostro sterczała chrząstka krtani. Zwiotczałe policzki i ziemista cera dopełniały tego obrazu fizycznego upadku, tak bolesnego dla Małgorzaty. Jakaż olbrzymia różnica między tym pogrążonym w zadumie, nagle postarzałym człowiekiem, a tym, który rok temu, dozorując winobranie ze szczytu wzgórza, rysował się na tle nieba silną i radosną sylwetką.

Lecz, gdy podniósł głowę, ocknął się w nim dawny, niezwalczony bojownik. Z pod krzaczastych brwi, oczy patrzyły nakazująco, uparcie, z trudną do zniesienia przenikliwością. Nim przemówił, cała jego postać stwierdzała, że on jest głową i wodzem rodziny i że najcięższe próby nie łacno pokonać go zdołają.

— Zwołałem was — oświadczył — gdyż rodzinie grozi niebezpieczeństwo. Owóż nosimy wszyscy to samo nazwisko, za wyjątkiem Karola Marcellaza, któremu przysługują prawa syna, skoro reprezentuje tu moją starszą córkę. Felunia i Hubert zbyt oddaleni są, by można było zasięgnąć ich zdania. Lecz życie ich świadczy o takiem samozaparciu, że zdanie to jest tu zbędne. Aż nadto pewien jestem, że przystaną na wszystko.

— Macie dobre wieści od kapitana? — spytała pani Kamilowa Roquevillard, na którą mundur bratanka robił zawsze silne wrażenie i która była zresztą niezdolna myśleć równocześnie o więcej, niż o jednej osobie.

Odpowiedziała za ojca Małgorzata.

— Niema już nic od dość dawna, a ostatnie wiadomości były nieszczególne. Dostał febry.

— Sesja sądu przysięgłych rozpoczyna się 6-go grudnia, czyli za trzy tygodnie. Maurycy stawać będzie pierwszy.

— Toć to prosta formalność — wtrącił Leon, który, dumny z roli samodzielnego kierownika dość znacznej fabryki, zaznaczał przy każdej sposobności krańcowy pozytywizm i oceniał wszystko li tylko podług wyników. — Uniewinnienie pewne.

Kategoryczne n i e zamknęło mu usta. Kobiety drgnęły, mężczyźni spojrzeli po sobie zdumieni, zaniepokojeni:

— Jakto nie?

— Wszak jest niewinny.

— Wszak to pani Frasne — zawołał ostatni Karol Marcellaz, po imieniu nazywając wroga.

— Nędznica! — mruknęła wdowa, oburzona i na exrejentową i na to, że jej imię wymówione zostało wobec Małgorzaty. Kobiety dzieliła ona poprostu na dwie kategorje: uczciwych niewiast i publicznic, lecz nie pytała nigdy o rodowód dzieci, któremi się opiekowała. Wbrew emancypacji i modernistycznym prądom, horyzont jej myśli był ciasny, lecz rozległem było miłosierdzie i samozaparcie.

— Uniewinnienie nie jest pewne — ciągnął dalej adwokat — na skutek warunków, jakie syn mój stawia obronie. Odwiedzałem go kilkakrotnie w więzieniu. Postanowienie jego niezłomne. Godzi się na obronę, lecz tylko pod warunkiem, że nikt nazwiska pani Frasne nie wymieni.

Marcellaz i młody przemysłowiec wykrzyknęli równocześnie:

— To niemożliwe. Toć to warjat.

— To zdrada.

— Nie trzeba go słuchać.

— Zostawić go losowi.

Nikczemną dezercję doradzał Leon Roquevillard. Adwokat zmierzył go spojrzeniem, w którem gniew i pogarda wkrótce ustąpiły miejsca smutkowi. Rodzina, rozprzęgała się, skoro jeden z jej członków nie uznawał solidarności. Wśród zupełnej ciszy, padły łagodne słowa dziada:

— Uważam, że Maurycy ma słuszność.

Wobec tego niespodziewanego oświadczenia, pan Roquevillard ożywił się:

— Taką wspaniałomyślność mogliby ocenić sędziowie z pośród inteligencji, lecz nie sąd przeważnie chłopski. Czulszy na szkody materjalne niż moralne, chłop zapamięta tylko jedno: fakt wyjęcia z kasy olśniewającej kwoty stu

tysięcy franków. Pieniądze te — tak będzie rozumować — zabrał on albo ona. Jeśli ona, to on powie nam o tem i my go uwolnimy. Uwolnilibyśmy go nawet w razie wątpliwości. Skoro jednak nie oskarża jej, tedy winowajcą jest on. Chłop nie uznaje bowiem naszej koncepcji honoru.

— Honor, honor — powtórzył dwukrotnie Leon, podirytowany zbyt jawnem lekceważeniem stryja. Przedewszystkiem uniknąć trzeba hańbiącego wyroku. Najlepszy honor to ten z kodeksu.

Najstarszy z pośród Roquevillardów zmierzył go z kolei pogardliwem wejrzeniem:

— Winszuję ci — szepnął zjadliwie bezzębnemi usty.

Zapominając o różnicy wieku, przemysłowiec skoczył jak oparzony:

— Dlaczego?

— Bo nie rozumiesz wcale treści pewnych słów.

— Właśnie — tylko słowa i słowa i nic więcej.

Pojednawczy, Karol Marcellaz objaśniał literę prawa:

— Winną jest pani Frasne. Owóż wina jej nie podpada pod kompetencję kodeksu. Kradzież popełniona przez żonę na szkodę męża, nie pociąga za sobą żadnej odpowiedzialności. Oskarżając ją, Maurycy w niczem by jej nie ukrzywdził, a zeznałby tylko zgodnie z prawdą.

Lecz stryj Stefan oświadczył tonem nieznoszącym repliki:

— Uczciwy mężczyzna za nic nie oskarży kobiety, której był kochankiem. Poznaję po tem nieodrodnego twojego syna, Franciszku.

Wdowa, niezadowolona w głębi duszy od samego początku z zachowania się syna, który odziedziczył był po niej ciasną umysłowość, ale nie odziedziczył dobroci, gło-

śno podtrzymać go chciała przeciwko starcowi i głoszonej przez niego dziwnej moralności:

— Czyż tego rodzaju istoty zasługują na jakiekolwiek względy?

Pan Roquevillard uciszył dłonią bezcelową sprzeczkę.

— Dajcie mi dokończyć. Gdy nadejdzie pora, sam poproszę was o interwencję. Maurycy sprzeciwia się wszelkiemu oskarżeniu pani Frasne. Mniejsza z tem, czy ma słuszność, czy też nie, dość, że nie chce, i my jesteśmy bezsilni wobec jego decyzji. Jeśli obrona decyzję tę zlekceważy — obronę i winę przejmie na siebie. A wówczas co? Jądro zagadnienia tkwi tutaj, nie gdzieindziej. Sędziowie przysięgli, zmuszeni uznać niezaprzeczalny materjalny fakt kradzieży, ulegając wrażeniu tak znacznej straty pieniężnej, szukać będą oczywiście winowajcy. Wobec braku dowodów obciążających panią Frasne, zwrócą się przeciwko mojemu synowi. I czy przyznane mu będą okoliczności łagodzące, czy też nie — piętno hańby zostanie.

— Ah! ojcze! — wydarło się z piersi Małgorzaty.

— Niebezpieczeństwo jest groźne. Sami to widzicie. Owóż zdaje mi się, że znalazłem środek zaradczy.

Otucha wstąpiła w serce dziewczęcia, nieświadomego aż po tę chwilę zamiarów ojca.

— Jakimkolwiek by był, ojcze, trzeba go użyć.

— Otóż w ciągu wieloletniej mojej praktyki skonstatowałem, że w sprawach o nadużycie zaufania, zwrot pieniędzy zazwyczaj pociągał za sobą uniewinnienie. Przysięgli zawsze czuli są na straty pieniężne. O ile strata zostanie pokryta, oskarżony liczyć może na pobłażliwość

sądu. Gdzie niema prejudykatu, tam niema i sankcji; gdzie niema ofiary, niema i przestępcy: takiem jest zwykłe zestawienie pojęć.

Wniosek sformułował zięć adwokata:

— Ojciec chce tedy zwrócić panu Frasne kwotę skradzioną przez jego żonę?

— Tak jest.

— Sto tysięcy franków! — wykrzyknął Leon. — Toć to majątek.

— Ależ to niejako uznanie winy Maurycego: płaci, zatem jest winien — zaprotestował energicznie Karol Marcellaz.

— Bynajmniej. Ten, kto składa kaucję za dłużnika, zgoła nie jest tym dłużnikiem. Przez usta swojego obrońcy, Maurycy wyjaśni sędziom przysięgłym, że jeśli nie chce oskarżać nikogo, pragnie odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia. Zwrot pieniędzy przekreśla fakt kradzieży. Nie spłacić pana Frasne — to znaczy zgubić Maurycego.

— Słusznie, Franku — przytwierdził stryj Stefan, kiwając raz po raz swoją łysą głową.

Ten dowód uznania skłonił wdowę do przyjaznej demonstracji.

— Nie rozumiem wprawdzie tego całego kręcenia — rzekła. — Ale dobre imię więcej warte od złota i sercem jestem z tobą, Franciszku.

Syn jej, który słuchał pilnie, uspokoił się dopiero na dźwięk słowa „serce", do niczego nie zobowiązującego. Wymienił ze stryjecznym szwagrem znaczące spojrzenie: „ci wszyscy starzy lekceważą sobie majątek, podczas gdy tylko pieniądz zapewnia znaczenie w świecie i rozwój ro-

dziny". Czując poparcie z tej strony, Marcellaz zagadnął łagodnie:

— A czy będziesz, ojcze, w możności zapłacić te sto tysięcy franków?

— To jest inna sprawa — odparł nieco oschle pan Roquevillard, podirytowany. Zaraz do niej przystąpię. Najpierw zasada jako taka, potem dopiero sposób wykonania.

Sam wszakże, już zdecydowany, zburzył porządek rzeczy, oświadczając:

— Jeśli trzeba będzie, sprzedam La Vigie.

Była to najcięższa ofiara. Małgorzata zrozumiała jej bohaterstwo i pobladła, jak płótno. Wahając się między podziwem a oburzeniem, Karol szukał przez chwilę ujścia dla tej powodzi sprzecznych uczuć i dopiero pod wpływem ironicznego spojrzenia Leona jął argumentować:

— Sprzedać La Vigie! Nie zdąży już ojciec przed 6-ym grudnia, lub też sprzeda poniżej wartości. La Vigie warta jest conajmniej sto sześćdziesiąt tysięcy franków, prócz lasów, dokupionych cztery lata temu na terenie gminy Saint-Cassin.

Zarzuty te adwokat najwidoczniej sam już przemyślał, gdyż odparł ze spokojem:

— Możliwe. Pozostaje nam jeszcze pożyczka hipoteczna.

— Tak, na pięć lub cztery i pół od sta. Raczej na pięć, ze względu na bezpośrednią konieczność, której aferzyści nie omieszkają wyzyskać, podczas gdy ziemia daje zaledwie trzy od sta i że dość jednego mrozu lub gradu, by zniszczyć cały zbiór. Zbyt wiele masz, ojcze, doświadczenia, aby nie wiedzieć, że pożyczka hypoteczna

na ziemię jest nieuleczalną, śmiertelną chorobą. Wszelka nieruchomość stanowi już dzisiaj groźne niebezpieczeństwo dla każdego, kto nie żyje z ziemi, lub nie ma stałych dochodów, dość znacznych, by stawić czoła przeciwieństwom i konkurencji. Sprzedaż La Vigie byłaby bezpowrotnem podcięciem przyszłości rodziny. A wszak ten kęs ziemi, to spuścizna ojców, to święta scheda, której tknąć nie należy.

Pan Roquevillard dał mu się wygadać. Wreszcie zniecierpliwiony, podniósł głos:

— Nikt bardziej odemnie nie kochał i nie rozumiał ziemi, nie słuchał pilniej jej rad, nie śledził baczniej kryzysu, jaki przebywa. I mnie właśnie spotyka zarzut, żem o niej zapomniał? Dowiedzcie się tedy, jeśli tego nie wiecie, że w rozkładzie rzeczy ziemskich jest boski ład, który trzeba uszanować. Ponad spuściznę materjalną stawiam duchową. Rodziny nie stanowi spadek po ojcach. Kolejność pokoleń tworzy i utrzymuje majątek. Rodzina wywłaszczona może ponownie dorobić się pieniędzy. Lecz gdy utraci swoją tradycję, wiarę, solidarność, cześć, gdy stanie się poprostu zbiorowiskiem jednostek o rozbieżnych celach i interesach, przekładających osobiste powodzenie nad wspólną pomyślność — wówczas jest ciałem bez duszy, trupem, cuchnącym zgnilizną i największe dobra nie wrócą jej życia. Ziemię można odkupić, natomiast nikt nie odkupi cnót rodu. I dlatego właśnie strata La Vigie mniej jest mi bolesną od hańby mojego syna i mojego nazwiska. Ponieważ jednak La Vigie pozostawała przez kilkaset lat w rękach Roquevillardów, nie chciałem zrywać pięciowiekowego władania, nie uprzedzając was, nie zasięgając waszej

rady. Zbłądziłem. Teraz z kolei wyjawcie mi szczerze wasze zdanie. Nie powiem, że będę się z niem liczył, gdyż sprzeczne jest z mojem. Ja zaś jestem głową rodziny. Lecz decyzja niwecząca za jednym zamachem pracę tylu pokoleń tak jest ważną, że radbym znaleźć w rodzinie moralne poparcie.

Milczenie, z jakiem przyjęto te słowa, świadczyło, że słuchacze zrozumieli wagę zapaść mającej decyzji. Pan Roquevillard spojrzał ku ścianie, na plan La Vigie, na którym oznaczone były kolejno dokupywane obszary wraz z datą kontraktów. Wieleż to razy, siedząc przy pracy, patrzył nań, nie po to, by śledzić linje graniczne i cyfry, lecz by uprzytomnić sobie lasy, pola, winnice, orkę i winobranie! Cały ten kęs ziemi, praca na roli, ruchomość pór roku — wszystko to zawarte było w szczupłych ramach planu, którego czarne kreski tak błogo podsycały jego wyobraźnię.

Smutne oczy patrzącego przesunęły się po ścianie ku oknom, skąd widać było pod mrocznem niebem stary zamek książęcy, potrochu wznoszony w ciągu dziejów, nawpół zburzony, imponujący mimo ruiny, dumny strażnik przeszłości. Jako żywe świadectwo rzeczy minionych bezpowrotnie, trwaniem swojem lepiej wskrzeszał przeszłość od wszelkich dokumentów i archiwów, od podręczników i tablic chronologicznych. Wskrzeszał dawną Sabaudję, rycerskich przodków i krwawe boje, podczas gdy strzeliste łuki Sainte-Chapelle budziły pamięć wzniosłych porywów duszy. Cóż pozostałoby po zmarłych, po ich czynach i uczuciach, gdyby nie te zewnętrzne oznaki, w których się wypowiedzieli i które ich przypominają? La Vigie uprawna, powiększona, w pełni rozkwitu, czyż

była bez wpływu na losy Roquevillardów? Czy wraz z jej utratą nie zabraknie rodowi głównego punktu oparcia namacalnego kierunku trwania? W rodzinach, z ziemi poczętych, pokolenia przekazywały sobie pług, tak, jak gońcy starożytni przekazywali sobie pochodnię. A oto ostatni z pośród jej wodzów wypuszcza ten pług z ręki.

Lecz adwokat odwrócił głowę, wszelkie odrzucając wahanie. Ojczysta scheda taksamo nie stanowi rodziny, jak pacierz kościoła lub odwaga twierdzy. Zdala od ojczyzny, w Sudanie, w Chinach, Hubert i Felicja oddawali bliźnim swoją energję życiową, z tradycji wysnutą. Przywrócony rodzinie i społeczeństwu, Maurycy pracą odkupi winę. A co do Małgorzaty, to cała płonęła przeczystym ogniem poświęcenia.

Najpierw zagadnął córkę, jako najmłodszą z obecnych, i jako wierne odbicie uczuć jego i myśli.

— Mów pierwsza — rzekł.

— Ja, ojcze? Dobrem będzie wszystko cokolwiek uczynisz. Błagam cię, ocal Maurycego. Jeśli sądzisz, iż konieczną jest sprzedaż La Vigie, sprzedaj, nie zwlekając. Majątek nam nie potrzebny. W każdym razie weź moją część. Nie troszcz się o mnie. Mam niewielkie wymagania i zawsze dam sobie radę.

— Wiedziałem o tem — szepnął pan Roquevillard. I pogłaskał pieszczotliwie dłoń córki.

— Teraz ty, Leonie.

Poczem, nieufny, dodał pół-głosem:

— Pamiętaj o ojcu.

Młody przemysłowiec przybrał napuszoną minę dorobkiewicza, któremu powiodło się w życiu i który niemniej gotów jest użyczyć łaskawie za darmo przepisu na

sukces. Na niego teraz kolej pouczyć tych strupieszałych starców o życiu współczesnem, z konieczności natężonem, egoistycznem i zmaterjalizowanem.

— Kochany stryju — zaczął — jesteś człowiekiem starej daty, jednym z tych, którzy szukali wszędzie krucjaty i bili się z wiatrakami. Ruina wasza jest bezcelowa. Przyjrzyjmy się sprawie w sposób bardziej pozytywny. W danym wypadku, Maurycy stosuje do was szantaż honorem. Cześć pani Frasne nie warta stu tysięcy franków. Mój miły kuzynek stawia się sztorcem w więzieniu. Zmięknie wobec sądu. Nie jestem adwokatem, lecz nieraz czytałem w dziennikach — jak wszyscy zresztą — sprawozdania z tego rodzaju procesów. I zawsze podsądni, nawet najbardziej oporni, ujawniają w ostatniej chwili, lub oskarżają swoich wspólników, byle tylko siebie uratować. Lęk przed wyrokiem jest wstępem do opamiętania. Maurycy jest inteligentnym, obiecującym chłopcem, więc zrozumie to. A gdyby przypadkiem nie zrozumiał, ha! tem gorzej dla niego, sam będzie sobie winien. Przykro mi mówić te rzeczy wobec ciebie, stryju, ale wiem, że lubisz szczerość. Jego krzywda nie szkodzi nikomu więcej prócz niego. Solidarność rodzinna nie każe pokutować wszystkim za winy jednego. Owo pojęcie bezwzględnej solidarności jest jedną z tych absurdalnych teorji, raz na zawsze zepchniętych za naszych czasów do rzędu przeżytków. Każdy dla siebie — oto nowoczesne hasło. Nikt nie odpowiada za cudze długi, choćby to były długi ojca, brata lub syna. Pieniądze przezemnie zarobione, są moją własnością, taksamo jak moje dobre, lub złe czyny. Dość każdy ma trudu z organizacją własnego życia i szczęścia

— po co kłaść sobie na barki straszliwe brzemię dwudziestu pokoleń! Daj stryju, Maurycemu, jego część, skoro ci na tem zależy, lecz nie tykaj majątku jego brata i sióstr, nie pozbawiaj się na starość wszelkich zasobów. Sprzedaj La Vigie, o ile trafi się dobry nabywca, nie dlatego, by zapewnić sobie współczucie przysięgłych, lecz dlatego, że ziemia ma dziś wartość tylko dla chłopa, który ryje w niej jak kret. Przemysł, maszyny — oto właściwa przyszłość, zarówno społeczeństwa, jak jednostki.

Na to przemówienie, wysoki, chudy starzec, zaśmiał się zjadliwie i mruknął:

— Dobrze mówi. Trochę za długo, ale dobrze.

Zaś wdowa kręciła się niespokojnie i składała ręce z wezwaniem do Boga.

— Skończyłeś? — zapytał pan Roquevillard z odcieniem szyderstwa.

— Skończyłem.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, chętnie spławiłbyś Maurycego.

— Przepraszam stryja: sam siebie spławia. A to różnica. Gdyby był rozsądny, wyszedłby z rąk sprawiedliwości zdrowo i cało. Lecz skoro nie chce być rozsądny... Osobiście zawsze jestem za rozsądkiem.

Adwokat zwrócił się do zięcia:

— A ty, Karolu, czy także jesteś za rozsądkiem?

Marcellaz zawahał się, nim zaczął mówić. Ciężyła mu bezsprzeczna wyższość teścia, drażniło niefortunne dla własnej jego rodziny zestawienie z rodziną żony, wyraźniejsze odkąd wrócił w swoje strony. Pracowity i oszczędny, zabezpieczał w nieustającym znoju przyszłość swoich dzieci i strzegł zazdrośnie skromnego mienia z takim trudem

zdobytego. Interesy pochłaniały mu wszystek czas, opancerzyły jego serce, zwężyły horyzont myśli. Lecz szczerze kochał żonę i jeśli odnosił się z nieufnością do odruchów uczuciowych, to dlatego, że sam nie był ich pozbawiony. Obrał więc drogę pośrednią: żalu nad przeszłością, nad sytuacją bez wyjścia.

— Dlaczego nawet w więzieniu Maurycy przekłada panią Frasne nad rodzinę? Jestto absurd, skoro nie grozi jej żadna odpowiedzialność. Sprzeniewierza się rodzinie dla fałszywego punktu honoru. Sto tysięcy franków — zapłacić sto tysięcy franków, czyż to nie jest, ojcze, ponad twoje siły? Nikt nie idzie z motyką na słońce.

— A jednak — wtrąciła Małgorzata — musimy wszystko uczynić, by go ratować.

— Zatem — spytał pan Roquevillard, który chciał jasnej odpowiedzi — ty także radzisz mi opuścić mojego syna?

Marcellaz spuścił głowę, by nie widzieć ironicznych spojrzeń Leona i ze wstydem niemal odparł:

— Mimo wszystko: nie.

A gdy podniósł oczy, ujrzał ze zdziwieniem utkwiony w sobie wzrok teścia, zazwyczaj przenikliwy i dumny — teraz jak gdyby zasnuty mgłą, tkliwy, o niezwykłej słodyczy wyrazu.

— Na ciebie kolej, Tereso.

Wdowa, która od przemówienia syna na nic już nie zwracała uwagi, nie dała się prosić. Nieomylnym wiedziona instynktem, nie próbowała nawet dyskusji nad zasadami, które wprowadzała w czyn, choć nie umiała ich zdefiniować. Jak wiele kobiet, z teorji przechodziła natychmiast do spraw czysto osobistych, co ma przynajmniej

tę zaletę, że usuwa wszelkie konkluzje abstrakcyjne i rozprasza filozoficzne opary. Z całej rozprawy zapamiętała jedno tylko słowo, lecz istotnie ważne. Niezdolna odpowiadać naraz kilku osobom, bez ogródek zaatakowała Leona, nie troszcząc się zgoła o resztę zebranych.

— Każdy dla siebie, powiadasz? Gdyby obecny tu stryj twój był wyznawał, mój chłopcze, tę piękną maksymę, nie stałbyś dziś na czele fabryki, która przynosi ci setki i tysiące franków...

— Chyba drwisz ze mnie, mamo — przerwał jej młody przemysłowiec, do żywego dotknięty.

Niezrażona, zacna dama ciągnęła dalej:

— Nie, nie, kochanku, wiesz doskonale o co chodzi. Opowiadałam ci to nieraz, a jeśliś zapomniał, to zaraz odświeżę ci pamięć. Piętnaście lat temu, ojciec twój włożył cały nasz majątek w nowowybudowaną fabrykę, a że obstalunków było mało, przeto pewnego pięknego poranku zawiesić musiał wypłaty. Dany przemysł był nowością w okolicy — nikt nie miał jeszcze zaufania. Zwrócił się wówczas do swojego starszego brata, a stryja twojego, Franciszka, i przedłożył mu sprawę. Stryj Franciszek pożyczył natychmiast, bez procentów, owe dwadzieścia tysięcy franków, tak niezbędne, że brak ich groził nam niezwłoczną likwidacją. I to ocaliło nas, mój synu. Z tych ciężkich dni został mi wielki lęk przed nędzą. Niech mi Bóg będzie miłościw! W tem przyczyna twojego egoizmu i nieufności.

— Dobrze, dobrze, zapomniałem — przyznał cierpko Leon.

Pani Kamilowa Roquevillard tak była przejęta swoim tematem, że nie dała się ugłaskać tem ustępstwem, ona,

która po krótkim oporze, ustępowała zazwyczaj przed argumentami syna. Żyjąc obok siebie, ludzie nie widzą się wzajemnie i w ważnych okolicznościach zdumieni są własnem osamotnieniem. W dzisiejszych czasach, to uczucie osamotnienia, rozdźwięku między jednem pokoleniem a drugiem, częstsze jest, niż dawniej, na skutek rozluźnienia więzów rodzinnych i szybkich przeobrażeń myśli.

Z kolei zwróciła się do szwagra:

— Jestem krewną waszą tylko przez małżeństwo. Lecz noszę to samo nazwisko i pamiętam, com ci winna, Franciszku. Jeśli zajdzie tego potrzeba, oddaję ci do dyspozycji dwadzieścia tysięcy franków. Nie rozumiem zgoła tej całej sprawy, wiem tylko, żeś nieszczęśliwy. Co się zaś tyczy pani Frasne, to łajdaczka i basta.

— Kochana, dobra ciocia — szepnęła Małgorzata.

A pan Roquevillard odparł:

— Dziękuję ci, Tereso. Twoje pieniądze prawdopodobnie nie będą mi potrzebne, lecz rad jestem, że w razie czego mogę liczyć na ciebie.

Ostatni, jako najstarszy, wypowiedział się pan Stefan Roquevillard. Mówił wolno, lecz dobitnie, głosem, który brzmiał chwilami przykrym dźwiękiem pękniętego dzwonu:

— Ojciec jest panem i sędzią rodziny i majątku. Ponosisz, Franku, pełną odpowiedzialność za wszystko, lecz nie zależysz od nikogo. Byłem młodszy od twojego ojca, wcześnie zostaliśmy sierotami: twój ojciec wychował nas, kierował nami, pomagał nam, gdyż po śmierci rodziców on był spadkobiercą i głową rodziny. W owym czasie — było to jeszcze za niepodległej Sabaudji, przed anckską — córki dostawały tylko odprawę i żeniono się z niemi nie dla ich pieniędzy; ojcowizna przechodziła na jednego,

najstarszego, lecz uwarunkowana była obowiązkami, którym spadkobierca nigdy nie uchybiał: musiał utrzymywać, wyposażyć, pomagać młodszemu rodzeństwu, przyjmować pod swój dach starców, ubogich i niezdolnych do pracy krewnych. Dzisiejsza młodzież nie rozumie nawet tego, czem była wówczas ojcowizna, stanowiąca materjalną siłę rodziny, całej rodziny zebranej pod jednem przywództwem, o niespożytej — dzięki spójności — mocy trwania. Dziś niewarto zabiegać o utrzymanie majątku. Kto nie sprzeda dobrowolnie, temu prawo rozdrobni go niebawem droga działów. Przymusowy podział niweczy ojcowiznę. Hasło „każdy dla siebie" z jednej strony, a z drugiej nieustająca a chciwa interwencja państwa we wszystkie przejawy życia — niweczą rodzinę. Zobaczymy, co stworzy to społeczeństwo jednostek, służalczo podporządkowanych państwu.

Roześmiał się cichym, zjadliwym śmiechem i zakończył uwagą bardziej osobistej natury.

— A jednak, mimo wszystko, masz rację, że wolisz nasz wspólny honor od swoich pieniędzy. Słusznem jest również, że uprzedzasz nas o tem. Towarzyszyliśmy ci w powodzeniu — nie opuścimy teraz w nieszczęściu. Osobiście nie mam wiele. Prócz emerytury radzieckiej, posiadam dwadzieścia pięć do trzydziestu tysięcy franków w papierach, nisko oprocentowanych, i z tego żyję. Jestem już bardzo stary. Weźmiesz wszystko po mojej śmierci, a nawet i zaraz, jeśli zajdzie tego potrzeba.

Do głębi wzruszony, pan Roquevillard odparł z prostotą:

— Dumny jestem z twojej aprobaty, drogi stryju, i wdzięczny za ofiarowaną pomoc. Łatwiej mi będzie wywiązać się teraz z zadania. Ta ofiara pieniężna, to ocalenie Maurycego, a wraz z nim czci całej rodziny. Lecz nie sądzę, bym zdołał uchronić od sprzedaży La Vigie. Oto wykaz naszego majątku.

— To już do nas nie należy — oświadczył starzec, wstając z miejsca.

— Owszem, należy, abyście wiedzieli, że jeśli La Vigie wyjdzie z rąk Roquevillardów, to jedynie z musu i nie bez ciężkiego bólu. Będziecie wszyscy moimi świadkami. La Vigie warta jest conajmniej sto sześćdziesiąt tysięcy franków. Las w Saint-Cassin oszacowany został na dwadzieścia tysięcy. Germaine dostała w posagu sześćdziesiąt tysięcy franków.

— Czy mam je zwrócić w całości czy też częściowo? — spytał nieśmiało Karol Marcellaz, którego szczodrość tem większą stanowiła zasługę, że towarzyszył jej żal, wyrzuty sumienia i wahanie. — Zaangażowane są w cenie kupna kancelarji, jaką nabyłem w Lyonie.

— W żadnym razie, mój synu. Są nieodwołalnie waszą własnością, a macie już troje dzieci. Gdy Felunia wstąpiła do klasztoru, zapewniliśmy jej dożywocie od dwudziestu tysięcy franków. Małgosia miała zarezerwowany taki sam posag, jak i Germaine. Podjęła z tego ośm tysięcy franków, które dała bratu.

— Sto ośm tysięcy — zsumował półgłosem nadąsany Leon. — Drogo was chłopyś kosztuje.

Nie wiedział jeszcze o pieniądzach, na stracenie pożyczonych poprzedniego roku przez dziadka i własną jego matkę.

— Ojcze — odezwała się Małgorzata — weź mój posag. Ja za mąż nie wyjdę.

— Kobieta stworzona jest do małżeństwa — zaopinjowała wdowa.

— Mam dyplom maturalny, będę pracowała. Założę szkołę.

— Jakkolwiek, według mnie, niewiastom nie powinno przysługiwać prawo spadku — wtrącił stryj Stefan — sprzeniewierzę się na jej korzyść moim zasadom. Ona to odziedziczy po mnie moje czterdzieści tysięcy franków.

— Trzydzieści — poprawił Leon, obliczając w duszy własną stratę.

— Nie, czterdzieści — odparł starzec, z przykrością, lecz definitywnie wyzbywający się we wspólnym kryzysie starczego skąpstwa. — Świadomie zmniejszałem przed chwilą kwotę. A nawet czterdzieści pięć, żeby powiedzieć całą prawdę. Przerobię testament, który ciebie, Franku, mianował jedynym spadkobiercą.

— Dziękuję ci w jej imieniu, mój stryju. Lecz posagu jej nie tknę, chyba wówczas dopiero, gdybym nie mógł zlikwidować La Vigie dostatecznie szybko i na możliwych do przyjęcia warunkach. Gdyż sprzedaż La Vigie, o ile tylko będzie wykonalną, jest korzystniejsza od pożyczki. Rozważyłem to ze wszystkich stron. Owóż ziemia jest dziś mało wydajną lokatą kapitału. Nasze winnice, nasze zboża wytrzymać muszą na skutek ułatwionego przewozu

tak silną konkurencję z zewnątrz, że trudno wprost obliczyć zyski netto. Wolę raczej zapewnić przyszłość Małgosi i ułatwić synom pracę w tych zawodach, jakie sobie obrali. Jeśli nie znajdę nabywcy, ziemia posłuży mi jako gwarancja do zaciągnięcia pożyczki.

— My również — upewniła wdowa — służyć możemy naszą gwarancją.

— Oczywiście — przyświadczył stryj Stefan.

Rada familijna była skończona. Wszyscy żegnali się serdecznie, za wyjątkiem jednego Leona, trochę sztywnego i chmurnego.

— Żyrant płaci w razie potrzeby — zaraz na schodach zwrócił się do matki.

— No, to zapłacę — odparowała żywo.

— Zbyt dobra jesteś, mamo.

— A ty zbyt niewdzięczny!

— To nie mnie stryj świadczył, to mojemu ojcu.

— A ty i twój ojciec to nie jedno?

— Nie.

Karol wyszedł razem z panem Stefanem Roquevillard. Adwokat został sam, z córką. Na dworze zapadał zmierzch. Mgły osnuwały mrocznym płaszczem zamek i wieżę Archiwum. Gabinet tonął w posępnym cieniu zimowej, szarej godziny.

Małgorzata przyłożyła na ogień suchą, smolną szczapę.

— Kontent jestem — rzekł do niej ojciec. Wszystko odbyło się jak należy.

Lecz dziewczyna powstała na krewniaka:

— Szkaradny ten Leon. Niecierpię go.

— Jego matka jest zacną kobietą.

Umilkli. Poczem oboje utkwili wzrok w wiszącym wprost biurka planie La Vigie. Zamiast zwykłego, pokreślonego arkusza, ujrzeli w słonecznym blasku złotem połyskujące winnice, zżęte łany, orną, skibami porżniętą ziemię i wygodny, obszerny dom. Był to ostatni zew skazanej prastarej siedziby.

Żegnali ją tak, jak Maurycy przed wyjazdem z Kalwarji na Lémenc, lecz żegnali w imieniu innej miłości, bez żadnych pobudek osobistego szczęścia i zadowolenia.

* * *

## III

## ZNAKOMITY INTERES PANA FRASNE'A

Całe Chambéry nie mówiło o niczem innem tylko o znakomitym interesie pana Frasne'a. Opowiadano o nim na wieczorze, wydanym przez państwo Sassenay z racji ośmnastolecia ich córki Janiny. Jedną z cech charakterystycznych życia na prowincji jest to właśnie, że mężczyźni przenoszą na teren zebrań towarzyskich fachowe zajęcia swoje i troski: między dwoma turami walca, pozostawiając panie wzajemnej rywalizacji w dziedzinie strojów, coprędzej nawiązują po kątach dyskusje na temat operacji pieniężnych i spraw czysto zawodowych. Ponadto dramat który podcinał niezachwiane od tylu stuleci społeczne stanowisko Roquevillardów, a którego rozwiązanie nastąpić miało za dwa dni — zebranie odbywało się 4-go grudnia — przed sądem przysięgłych, roznamiętniał opinję publiczną. Znudzona zbyt widoczną i zbyt długotrwałą przewagą, nurtowana iście współczesną żądzą niwelowania wszystkiego, podrażniona dumą, uparcie zasklepiająca się w milczeniu, bez prośby o litość i współczucie — opinja publiczna czyhała na koniec przedstawienia, by ujrzeć osta-

teczny upadek rodu, który, w innej epoce, byłby słusznie uważany za najcelniejszą ozdobę miasta.

Wśród gości, prawników, lekarzy, przemysłowców, rentierów, którzy zalegli fumoir i z których nieliczni tylko biegli na dźwięk muzyki do salonu, ku grupie młodych mężatek i panien, zdobywać niezbyt obronną twierdzę, by powrócić następnie do czysto męskiego kółka — jeden tylko nie wiedział nic o szczęśliwej spekulacji rejenta, chwalonej przez jednych, potępianej przez drugich: był to wicehrabia de la Mortellerie. Dodać trzeba na jego wytłómaczenie, że w opracowanej przez się historji zamku nie wyszedł poza obręb XI w. Napróżno usiłował zabawiać swoich sąsiadów pomysłowością Amadeusza V-go, który za pomocą drewnianych rur sprowadzić kazał ze źródeł Saint-Martin wodę do kuchni zamkowej, do olbrzymiego kamiennego basenu, gdzie trzymano pstrągi, przeznaczone na stół książęcy: nikt nie słuchał gaduły, ani jego nowinek z przed lat sześciuset. Moralizujący, ceremonjalny, nudny, lecz uczciwy zarówno w słowach, jak w życiu, pan Latache, prezes Izby notarjalnej, dotrzymywał placu młodemu adwokatowi Coulanges, który — wyperfumowany, upudrowany, z ufryzowaną głową i wąsami — bronił Frasne'a w imieniu młodej generacji.

— Nie, nie — twierdził uroczyście — tak być nie powinno. Trzeba było czekać na wyrok sądu i potem dopiero mówić o odszkodowaniu materjalnem. Lub też z chwilą przyjęcia odszkodowania, należało cofnąć skargę. Chciwość niema nic wspólnego z zemstą.

— O przepraszam, przepraszam — zaprotestował skory do sporu adwokat: Rozważmy tylko. Pan Frasne zgłosił przeciwko Maurycemu Roquevillard skargę o zdefrau-

dowanie na jego szkodę stu tysięcy franków i stanął jako powód cywilny. Pan Roquevillard, ojciec, ofiaruje mu zwrot tej sumy przed wyrokiem — i pan ganisz go za to, że przyjmuje!

— Nie ganię go za to, że przyjmuje, lecz za to, że przyjąwszy, nie cofa skargi. I nie rozumiem coprawda pana Roquevillarda.

— Wie dobrze, że syn jest winny i kupuje sobie w ten sposób pobłażliwość sędziów. Co się tyczy pana Frasne'a, to ponieważ wyrok sądu przysięgłych jest zawsze niepewny, woli wróbla w garści, od kanarka na powietrzu. Nadto wyzyska w sądzie ten zwrot jako przyznanie się do winy. Zuch chłop!

Określiłbym go zgoła inaczej! Pan Roquevillard ojciec, jakkolwiek trudno mi dociec pobudek jego czynu, ma zbyt wiele zawodowego doświadczenia, by nieopatrznie dawać w rękę przeciwnikowi tak potężną broń. Kwit, który dano mu w zamian, stwierdza napewno, że jeśli uiszcza się z należności osoby trzeciej, to jednak nie uznaje temsamem, że osobą tą jest jego syn.

— Istotnie, kwit zawiera takie zastrzeżenie i to nader stanowcze — oświadczył z progu adwokat Paillet, odrazu wchodząc w tok dyskusji.

— Odgadłem więc — tryumfował pan Latache. — I zamiast podpisywać się pod tego rodzaju zastrzeżeniem, Frasne byłby raczej poczekał na wyrok sądu.

Lecz pan Coulanges nie dawał za wygraną:

— O czem świadczyć może taki kwit? Ktoby płacić chciał sto tysięcy franków za niewiadomego winowajcę?

Słuchacze przyznali mu słuszność pochlebnym szmerem, oznaczającym, że taką kwotę płaci w rzeczy samej

tylko ten, kto musi. Lecz tryumf jego nie trwał długo. Odrazu zdmuchnął mu go z przed nosa adwokat Paillet. Wesoły, gruby i kusy, wiedział o wszystkiem, wszędzie się wtykał, wszystko rozpowiadał.

— Widzę, że nie wiecie niczego o najnowszym kawale pana Frasne.

— Cóż takiego? cóż takiego?

Otoczyło go grono ciekawych. Równocześnie orkiestra zagrała pobudkę do kadryla. Oburzonych rzucając słuchaczy, pan Paillet potoczył się jak kula do salonu, ku jednej z pań, którą zaprosił do tańca. W braku czego lepszego, mężczyźni skupili się we drzwiach i obserwowali stąd, z minami znawców, liczne pary kręcące się, cofające, kłaniając się w takt muzyki i rytm tańca. Zaróżowiona od gorąca, ze zwichrzonym nieco płowym włosem, smukła i wdzięczna w jasno-niebieskiej sukni, której skromny dekolt odsłaniał białą szyję i szczupłe ramiona, Janka Sassenay pilnie odrabiała figury kontredansa i pokrywała sztuczną powagą wewnętrzne rozradowanie. Na jej widok posypały się uwagi.

— Niebrzydka ta mała.

— Chuda: patrz jakie solniczki.

— Toć to jeszcze dzieciak.

— Nie bój się, prędko znajdzie męża.

— Dlaczego?

— Ma gruby posag.

— Tak, ale brat jej robi grube długi.

— Za kogo ma wyjść?

— Niewiadomo jeszcze. Mówiono o Rajmundzie Bercy.

— Byłym narzeczonym panny Roquevillard?

— Debiutuje jako lekarz.

— Poczciwy, nikogo jeszcze nie uśmiercił.

Po końcowej galopadzie, adwokat Paillet poprowadził swoją danserkę do bufetu, wypił kieliszek szampana, przekąsił kanapką z pasztetem i potem dopiero raczył powrócić do fumoir'u, gdzie ostre powitały go wymówki.

— Jak nie przestaniecie urągać, to nic nie powiem — odgrażał się ze śmiechem.

— Słuchamy już, słuchamy.

— Przetrawiacie jeszcze owe sto tysięcy franków, zwróconych Frasne'owi przez starego Roquevillarda?

— Albo to mało?

— Zgoła nic wobec tego, co ja wam powiem.

Skoczne tony polki pochłonęły jej uwagę. Sądząc, iż po raz wtóry uciekać zechce do dam, obecni zgodnym odruchem zagrodzili mu drogę do drzwi.

— Zgrzany pan jesteś, byłoby to nieostrożnie — upominał pan Latache.

Zaś Coulanges uciekł się do innego wybiegu: podał nowinę w wątpliwość. Plotkarz czemprędzej wypuścił wówczas łup:

— Owóż Frasne nabywa za darmo folwark La Vigie, który wart jest blisko dwieście tysięcy franków.

Ozwały się niedowierzające głosy:

— Akurat!

— Toć to czyste drwiny!

Adwokat Bastard i pan Vallerois, generalny prokurator Republiki, zajęci na uboczu rozmową, zbliżyli się coprędzej, pilnie nadsłuchując.

— Za darmo — powtórzył dobitnie Paillet.

— Jakim cudem?

— Otóż pan Roquevillard, któremu pieniądze były potrzebne, wystawił na sprzedaż La Vigie. Rejent Doudan ofiarował mu za La Vigie sto tysięcy franków, płatnych natychmiast, z warunkiem ujawnienia nabywcy w ciągu dwóch tygodni. W ciągu dwóch tygodni — proszę zapamiętać ten szczegół. Naglony bliskim terminem rozprawy, nie mając zresztą wyboru, pan Roquevillard zgodził się. Tymczasem, dzięki gadulstwu jednego z dependentów, wiadomo już — powiedziano mi to przed chwilą — że nabywcą tym jest Frasne, Frasne, który wypłaca jedną ręką sto tysięcy franków po to, by zagarnąć je drugą i który za darmo staje się drogą takiej kalkulacji właścicielem ślicznej posiadłości.

Chytrość tego podstępu zbyt jawnie przekraczała normę zwykłych mieszczańskich matactw, by nie wywołać osłupienia. Nikt nie zgłębił moralnego podłoża i nikt nie ocenił wielkości ofiary starej rodowej spuścizny. Wśród bolesnego kryzysu, jaki przebywał, wobec całkowitej ruiny domowego ogniska, pan Frasne uczepił się interesów jako jedynej rzeczy istotnie go zajmującej, tak jak artysta szuka pociechy w sztuce, a uczciwa niewiasta w miłosierdziu. Kombinacje kontraktów i cyfr rozpraszały jego smutne myśli. Zapominał chwilowo o własnej trosce przy rozpamiętywaniu trosk klientów i po dawnemu niemal cieszyła go własna zręczność w kierowaniu tymi bezkrwawymi bojami. Losy La Vigie skłoniły go do jednego z tych śmiałych posunięć taktycznych, którym nie umiał się oprzeć. Liczył na to, że tajemnica zostanie utrzymana aż do dnia rozprawy. Lecz czyż możliwem jest ustrzeżenie tajemnicy w mieście o niespełna dwudziestu tysiącach mie-

szkańców, w którem pewne wyodrębnienie życia uchodzi już za pretensjonalne dziwactwo?

Pierwszy wypowiedział się pan Latache w dwóch słowach, które w ustach przewodniczącego Izby dyscyplinarnej miały wartość długiego przemówienia:

— Brzydka afera.

— Bynajmniej — zaprzeczył pan Coulanges. — Majątek jest do sprzedania: nabywca kupuje. Nic więcej.

Niemniej, sztuczny manewr pana Frasne nieliczną tylko uzyskał aprobatę i to wyłącznie z pośród obozu młodych, którzy zapał swój zarówno jak i fundusze na solidnej umieszczają lokacie. Zbyt dobrze wiodło mu się we wszystkich przedsięwzięciach pieniężnych i ogół — surowych obyczajów, a o zdrowym rozsądku — potępiał go za to znacznie bardziej, niż bawił się ucieczką jego żony. Ponadto, w stosunku do miejscowego społeczeństwa, był to obcy przybysz, nagle wzbogacony kosztem okolicy. Niewątpliwie nikt nie ubolewał nad poniżeniem Roquevillardów, których bezsprzeczna wyższość drażniła powszechną miernotę, lecz wszyscy zdumieni byli widząc, że Roquevillardowie sami oto, dobrowolnie, zwiększają i uzupełniają własną ruinę. Na cóż tyle ofiar, jeśli Maurycy jest niewinny, a jeśli winny, to w jakim celu to uznanie jego winy? Gdyż nieznaną była nikomu decyzja podsądnego. Pan Hamel wiernie dotrzymywał tajemnicy, a milczenie pana Bastard'a było celowe: chciwy głośnych spraw, spodziewał się jeszcze, że rodzina zawezwie po raz wtóry jego pomocy.

Podniecony usłyszaną nowiną, nie strzymał dłużej. Po skończonym tańcu, koło słuchaczy, zwiększone przez nowych przybyszów, rozbiło się na pojedyńcze grupy —

tensam temat omawiany był przez wszystkich. Prokurator Vallerois cofnął się za pana Bastard'a pod okno:

— Będziecie mieli, kolego, w trakcie obrony, znakomitą sposobność gnębić szyderstwem męża pani Frasne.

— Nie wiadomo jeszcze na pewno, czy to ja będę bronił — odparł adwokat.

— Jakto? to nie wy będziecie bronić?

Nieopatrzną konfidencję należało uzupełnić drugiem zwierzeniem.

— Ten młody głupiec odrzuca szanse poważnej obrony, żeby ocalić honor swojej metresy.

Szyderstwo dźwięczało w ostatnich kilku słowach.

— Dementuje z góry wszelką aluzję do osoby i winy pani Frasne.

— Jeśli nie wy, to któż będzie bronił?

— Nie wiem. Prawdopodobnie pan Hamel.

Stary prezes Izby adwokackiej potraktowany został nie o wiele lepiej od wiarołomnej żony. Zjadliwy ton uwagi podkreślał aż nadto jego wiek i starczą niemoc.

Po chwili milczenia, pan Vallerois zakonkludował:

— Rozumiem już teraz zachowanie się pana Roquevillard. Usuwa materjalny fakt kradzieży, aby ocalić syna. Jestto w rzeczy samej ostatnia deska ratunku. Poświęca bez wahania cały swój majątek... Szlachetny człowiek!

Nieczuły na ten dowód uznania, pan Bastard rozłożył ręce ruchem, który tłómaczyć można było rozmaicie.

— Oczywiście, to tylko między nami — zaznaczył, ratując zawodową tajemnicę.

Powolnym, majestatycznym krokiem napuszonego pawia, zwrócił się ku grupie pań, starannie gładząc po drodze wspaniałą, lśniącą brodę.

Pozostawiony sobie, prokurator nie spieszył się bynajmniej do reszty towarzystwa. W dalszym ciągu rozmyślał ze szczerym podziwem nad panem Roquevillard, nad ciężką, a tak mężnie znoszoną niedolą tego człowieka od dnia, w którym uwiadomił go w swoim gabinecie o skardze wniesionej przez pana Frasne, od dnia, w którym po raz pierwszy ujawniła mu się w całej pełni czysta, dumna i ofiarna jego dusza.

„Dlaczego — pytał — tylko ja jeden oceniam nieskazitelną prawość jego charakteru? Nikt z obecnych tu nie dorasta mu do kostek, a przed chwilą wszyscy traktowali go z góry, jak gdyby nieszczęście w czemkolwiek umniejszyło go i poniżyło. Prowincja mściwa jest i zazdrosna".

W prostocie swojej, dramat był wzruszający, a budził jeno śmiech. Stając bezbronny przed sądem, Maurycy narażał rodzinę na pewną zgubę, zaś ojciec jego sprzedawał poniżej wartości stary rodowy majątek, byle tylko odzyskać marnotrawne dziecię. Lecz jeśli obrońca podsądnego miał zakneblowane usta, to przemówić mógł natomiast ktoś inny, z ramienia innej, wyższej władzy. Po przedłożeniu sprawy przez powództwo cywilne, głos zabrać winien z kolei przedstawiciel Ministerjum Sprawiedliwości. Zamiast odnieść się poprostu do ławy przysięgłych, w myśl formuły uświęconej w tego rodzaju procesach, bardziej prywatnych niż publicznych, czyż nie było to obowiązkiem ministerjum zainterweniować wobec sądu, ujawnić wreszcie należycie zgubną, przeważającą, destrukcyjną rolę pani Frasne, jedynie winnej nadużycia zaufania, za które nie odpowiadała

wobec prawa? Jakaż znakomita sposobność do służby prawdzie, do oceny ludzi według ich czynów, do wniesienia odrobiny radości w ten smutny, niedolą nękany dom!

Wszystkie te uwagi tłoczyły się razem w umyśle pana Vallerois. Lecz rychło ostygł: krzesła ministerjalne zajmie kto inny, nie on. Sprawa Maurycego Roquevillarda nie wchodziła już w zakres jego kompetencji. Dostał był zresztą ubiegłego roku naganę za niewczesne usiłowanie zmiękczenia rejenta, co wkrótce wyszło na jaw. Po co mieszać się do sprawy, która nie dotyczyła go w niczem, a była tylko powodem nieprzyjemności? Dla miłego spokoju, pozostanie raczej biernym sympatykiem.

Nie chcąc uprzytomnić sobie, ani też zgłębić własnego egoizmu, wszedł w największy tłok i miło mu było czuć ludzi dookoła siebie. Obecność bliźnich jest nam szczególniejszą pociechą wówczas, gdy zbierze nas pokusa własną zmierzyć miernotę. A i ta pokusa jest li tylko udziałem lepszych jednostek.

Wędrówka do bufetu, wywołała w obu salonach, w przedpokoju, w jadalni, długotrwałe zamieszanie, z którego młodzież korzystała, żeby flirtować z pannami. Jedne — li tylko tańcem pochłonięte — głośno domagały się muzyki. Inne ujawniały już pewien wrodzony spryt do niewinnych zabiegów kokieterji, mającej na celu jedynie zdobycie męża. Inne wreszcie, dość nieliczne, z wyrafinowaną zalotnością odpowiadały na czynione im awanse wszystkich bez wyjątku mężczyzn, starych czy młodych, żonatych czy też kawalerów. W świetle lamp i żyrandoli, gorzały jasnym płomieniem rozbawione oczy, skrzyły się migotliwym blaskiem klejnoty we włosach, przy stanikach.

u rąk i uszu. Na czarnem tle fraków, miękko odcinały się pastelowe barwy damskich toalet.

Do jakiej kategorji należała Janka Sassenay, właśnie usuwająca się w kąt salonu pod rękę z Rajmundem Bercy, byłym narzeczonym panny Roquevillard, na oczach czujnej i zdziwionej nieco matki? Mała jej główka, proporcjonalna, jak głowa greckich posągów, z takim wdziękiem unosząc się nad kształtną krągłością kamiennych ramion, czyż była na tyle pustą, by zapomnieć o smutnym losie opuszczonej przyjaciółki? Modre, przejrzyste jej oczy, czyż były tylko obojętne w swojej szczerości? Różane policzki świadczyły o żywym udziale w zabawie, lecz dziewczyna marszczyła równocześnie brwi i zaciskała usta z wyrazem stanowczości, zgoła nie licującej z dziecinną twarzyczką.

— Jeszcze nie tańczyłem z panią — rzekł młody lekarz. Czy mogę prosić o walca?

— Nie — odparła szorstko, upewniwszy się przedtem, że są sami.

— Dlaczego? Czyż nie ma pani ani jednego wolnego walca?

— Bynajmniej.

Uważając ją jeszcze za dziecko, zamiast obrazić się, parsknął śmiechem.

— W każdym bądź razie jestem uprzedzony. Dziękuję i za to.

Dziewczyna westchnęła z wysiłkiem, jak robotnicy przy dźwiganiu ciężarów, i palnęła prosto z mostu:

— Istotnie muszę pana uprzedzić. Pańska matka mówiła o tem z moją mamą, a mama nie ma dla mnie żadnych tajemnic. Odgadłabym zresztą te, które mieć by

mogła. Otóż nigdy — niech pan to zapamięta — nigdy nie wyjdę za pana.

Zdumiony, młody człowiek żachnął się:

— Przepraszam panią, nie prosiłem dotąd o rękę pani.

— Pańska matka badała już teren, żeby użyć delikatnego określenia.

— Projekty, to rzecz matek... Lecz jakkolwiek zaszczytny dla mnie, projekt ten zgoła nie odpowiada moim zamiarom.

— Tem lepiej.

— Nie myślę o ożenku.

— Źle pań robi.

Podobna wymówka z takich ust brzmiała dziwnie, niemal że śmiesznie. Ciągnęła dalej:

— Komu udało się spotkać w życiu taką pannę, jak Małgorzata Roquevillard, ten nie burzy dobrowolnie własnego szczęścia.

Oto był cel, do którego zmierzała. Zrozumiał to. Z twarzy byłaby mogła poznać, jak trafnem było uderzenie, lecz w zaraniu lat oczy nie umieją jeszcze śledzić u drugich zewnętrznego odbicia uczuć. To też przebrała miary, okazując mu iście pensjonarską pogardę.

— Zawsze to niełądnie, mój panie, zerwać z narzeczoną. A już wręcz szkaradnie, gdy ta narzeczona jest nieszczęśliwa.

Jakiem prawem ośmielała się w ten sposób do niego przemawiać? Rajmund Bercy był tem oburzony, lecz równocześnie wzmianka o Małgorzacie budziła w głębi jego duszy pewną cierpką radość. Gniewna też i gorzka była jego odpowiedź.

— Nie ustanawiałem pani moim sędzią. A jeśli pani przemawia w imieniu osoby trzeciej, to odpowiem...

— Nie przemawiam w niczyjem imieniu.

— ...Że pani jest mylnie poinformowana. Nie ja zerwałem narzeczeństwo, które było mi drogiem.

— Które było panu drogiem! Tak, jak świeci słońce, to każdy z was przyjaciel, a jak pada deszcz, to niema już nikogo.

— To zbytnio niesprawiedliwe! Zbraknie mi w końcu cierpliwości.

Zamiast zmilknąć, brzęczała jak osa, która chce ukąsić.

— Kto gniewa się, ten uznaje swoją winę.

— Nie jestem obowiązany do składania przed panią rachunków. Zechce jednak pani zapamiętać, że panna Roquevillard zerwała z własnej, nieprzymuszonej woli.

— Przez wspaniałomyślność!

— Bez żadnych względów na miłość moją, na mój ból.

— W takich okolicznościach, nie wolno było panu godzić się na zerwanie!

Czerwona z gniewu, nie panowała już nad sobą, gestykulowała gwałtownie, a i on również nie wiele był spokojniejszy.

— A jeśli brat jej zostanie skazany?

— Wielkie rzeczy!

— Doprawdy?

— A tak, doprawdy. Ja, gdybym kochała, byłoby mi wszystko jedno, chociażby mojego narzeczonego skazano na katorgę. Poszłabym za nim, słyszy pan? A gdyby do pójścia za nim trzeba było nawet popełnić zbrodnię, tobym ją popełniła. Pif, paf i już!

— Dziecko z pani.

Lecz sam nagle posmutniał i szepnął głucho:

— Czy pani sądzi, że za nią nie tęsknię?

Równie szybko przeobrażona jak i on, tryumfująca, o mało co nie rzuciła mu się z radości na szyję, tak że pani Sassenay, spostrzegłszy to, ruszyła ku córce.

— Aha, wiedziałam dobrze, że pan nie zechce żenić się ze mną. No, dalej, prędko! Niech pan biegnie zaraz do Małgosi, błaga ją w mojem imieniu, by zechciała panu przebaczyć i przed procesem jeszcze — zajmie znów dawne swoje miejsce w rodzinie. Potem będzie za późno. Lepsze to, niż zapisywanie chorym różnych paskudnych lekarstw.

— Dziękuję.

— Niech pan idzie zaraz.

— Jest już wpół do dwunastej, wszyscy tam śpią.

— No, to jutro.

Idącą ku córce panią Sassenay zatrzymała po drodze coraz to liczniejsza, niezwykle poruszona grupa osób.

— Czy to aby pewne? — pytał pan Vallerois młodego oficera w mundurze sztabu.

— Najzupełniej. Wiadomość przyszła do dywizji o godzinie szóstej. Generał osobiście udał się do pana Roquevillard.

— Osobiście — powtórzył pan Culanges, na którym ta oficjalna wizyta u człowieka przez los zgnębionego, ogromne zrobiła wrażenie.

— O czem mowa? — informowała się pani Sassenay u sąsiada swego, pana Latache.

— O śmierci porucznika Roquevillard, łaskawa pani. Zmarł w Sudanie na żółtą febrę.

— Jacyż oni nieszczęśliwi! — szepnęła, ze łzami w oczach.

— Bardzo!

Ta nowa, ciężka żałoba, odrazu przywracała Roquevillardom sympatję wszystkich kobiet i usuwała niechęć mężczyzn, podczas gdy ogół spoglądał był obojętnie na ich materjalny i moralny upadek. Chciano tylko ich poniżenia, a tymczasem los zsyłał im bezlitośnie coraz to inną niedolę. Zwolennicy pana Frasne'a i jego znakomitej kalkulacji, milczeli przeważnie, a prokurator dał wyraz uczuciom ogółu temi słowy:

— Biedni ludzie!

Po tej krótkiej rozmowie, Janka Sassenay znikła. Naprożno matka szukała jej po wszystkich kątach. W westibulu ujrzała Rajmunda Bercy, spiesznie naciągającego palto.

— Pan opuszcza nas?

— Tak jest, łaskawa pani — odparł, nie tłómacząc się z tego nagłego odejścia.

Wyczuwała wzruszenie młodego człowieka, a zestawiając je ze zniknięciem córki, zatrwożyła się naprawdę.

— Nie widziałeś Janki? — spytała męża, stojącego we drzwiach salonu.

— Nie. Szukasz jej?

Pan Sassenay był to człowiek czynny, szczery, szlachetny, lecz pozbawiony wszelkiej intuicji psychologicznej, zdolny zwalczać najcięższe przeszkody materjalne, lecz zgoła niezdolny do jakiejkolwiek analizy uczuć. Żona nie uważała też za właściwe powierzyć mu swoje obawy, poleciła tylko pieczę nad gośćmi. Sama zaś poszła wprost do pokoju córki i odkręciła światło. Skulona, zgięta na fotelu, nie bacząc na suknię, Janka płakała rzewnie, ulewą łez.

— Janiu, co ci jest?

— Mamo!

Była to skarga dziecka, rychło uciszona.

— Czego płaczesz?

— Myślę o Małgosi, i tak mi smutno!

Pani Sassenay odetchnęła. Znaną jej była wielka przyjaźń córki dla panny Roquevillard. Lecz, że płacz nie ustawał, jęła pytać łagodnie:

— Pamiętasz porucznika Huberta?

— Tak... miły był... ale zawsze kłóciliśmy się przy tennisie... Ogrywał mnie.

Nie tu było źródło łez dziewczęcia.

— Biedna Małgosia — dodała po chwili. Wolałam od Huberta Maurycego, który siedzi w więzieniu. Będzie uniewinniony, wszak prawda?

— Mam nadzieję, kochanie.

— Człowiek niewinny, uwolniony, a choćby nawet skazany — to coś wzniosłego, prawda mamo?

— Czy pewna jesteś jego niewinności?

— Brat Małgosi? Miałby zawinić? Także pomysł!

Pani Sassenay wysłuchała z uśmiechem tego oburzenia i tej pewności — rozmyślnie sprowokowanych. A pieszcząc córkę, przypomniała sobie dawną rozmowę swoją z panią Roquevillard, na temat dzieci: „Może kiedyś — mówiła do niej ta święta kobieta — jeśli Maurycy na to zasłuży, poproszę panią dla niego o rękę Janki. Tym sposobem dzieci zostaną przy nas". Maurycy wprawdzie na to nie zasłużył, lecz urok jego trwał nadal w zbyt szlachetnem i zapalnem sercu dziewczęcia. W tem tkwiło niebezpieczeństwo. Nad tem należało czuwać. Obiecując to sobie w duszy, matka Janki myślała mimowoli o tamtych Roque-

villardach, zmarłych i żywych, tyle zasłużonych, a tak ciężko przez los nękanych.

Nawpół stłumione dźwięki orkiestry dochodziły aż tutaj.

— Otrzyj łzy, malutka. Leciutko. Teraz trochę pudru. Dobrze. Ładnie dziś wyglądasz. I wracajmy czemprędzej do salonu. Nie chciałabym, aby zauważono naszą nieobecność.

— Masz słuszność, mamo. Proszono mnie do tego walca.

Nagle rozweselone, dziewczę wyprzedziło matkę na korytarzu.

W tejże samej chwili, Rajmund Bercy, do głębi wstrząśnięty śmiercią Huberta, przyjaciela i kolegi ze szkolnej ławy, odprawiał smętną wartę przed domem Roquevillardów. Śniegiem przysypane dachy jaśniały niewyraźną bielą w nikłym blasku gwiazd. Wieża Archiwum i baszta zdawały się trzymać straż nad uśpionem miastem. Między żaluzjami dobrze znanych mu czterech okien gabinetu, przezierało słabe światło. Czuwał tam ból: gięły się pod nowym straszliwym ciosem głowy ojca i córki.

Miał ochotę iść do nich, lecz nie śmiał. Powstrzymywała go jeszcze pamięć zerwanego narzeczeństwa, niechęć rodziców, opinja świata, wszystkie podświadome czynniki egoizmu. Lecz chodząc tam i z powrotem wśród tej zimnej nocy, zgłębił lepiej własne serce, zrozumiał, że ból i współczucie mocniejsze są w miłości od powodzenia.

* *
*

## IV

## GŁOS ZIEMI

Trzeba było powziąć wreszcie stanowczą decyzję. Złamany śmiercią starszego syna, o którym wiedział tyle tylko z urzędowej, lakonicznej depeszy, że zmarł w służbie ojczyzny, na odległym posterunku, zdala od wszelkiej pomocy, pan Roquevillard nie miał nawet smutnej pociechy dowolnego rozpamiętywania swojej niedoli. Hubert, na własne żądanie wysłany do kolonji, by w ogniu niebezpieczeństwa oczyścić skalane nazwisko, był ostatnią pokutną ofiarą błędów Maurycego. Owóż Maurycy nazajutrz zasiąść miał na ławie oskarżonych, a dotąd obrona szamotała się beznadziejnie wśród dobrowolnych przeszkód. Sprzedaż La Vigie nie była oczywiście daremną. Zwrot prejudykatu jeśli nie zapewniał uniewinnienia, to w każdym razie czynił je prawdopodobnem i obracał szanse na korzyść podsądnego. Lecz uniewinnienie to nie mogło być wynikiem życzliwości, ani też współczucia. Aby móc zająć ponownie dawne swoje miejsce przy ognisku domowem, w mieście, w palestrze, aby móc podtrzymać tradycję i przekazać ją potem następnemu pokoleniu — młodzieniec wyjść powinien z gmachu sądowego wolny od wszelkich

zelżywych podejrzeń, od wszelkiej przewiny przeciwko prawu i czci. A jak uzyskać to, nie wymawiając imienia pani Frasne? Wprawdzie, po sprzedaży La Vigie, pan Bastard cofnął był swoją odmowę:

— „Kosztuje Was to drożej, niż warte — oświadczył ze zwykłym sobie zawodowym cynizmem. Lecz wspaniałomyślność Wasza wzruszy sędziów przysięgłych. Ludzie ci, którzy chętnie ogoliliby jajko i potrafiliby zabić za zrąbaną gruszę, beczyć będą jak owce, dowiedziawszy się, że sprzedaliście majątek, żeby ratować niewinnie oskarżonego. Po namyśle, wydaliby może mimo wszystko wyrok potępiający, z uwagi na zły przykład, jaki dajecie, gdyby nie to, że w porę odkryta podstępna kalkulacja Frasne'a wzbudzi w nich palącą, a dla syna Waszego korzystną zazdrość".

Nie wierzył bowiem ani w sprawiedliwość, ani w uczucie ludzkości. Znając sprawę, ofiarowywał swoje usługi. Sławny już był i ceniony jako mówca. O piątej porozumieć się miał po raz ostatni z panem Roquevillard i z panem Hamel co do głównych zarysów obrony. Wszelako ojciec Maurycego nie żywił zaufania do tej sceptycznej i teatralnej umysłowości. Czuł, iż nie tak bronić należało świętej sprawy rodu.

Po śniadaniu, które nietknięte niemal zeszło ze stołu, wstał, żeby wyjść. Duszno mu było wśród tych ścian, pod zbyt ciężkiem brzemieniem bólu. Na dworze lżej będzie myśleć. Powietrze ożywi jego umysł, wzmocni wyczerpane siły i złamaną energję. Sięgał już drzwi, gdy ozwało się za nim wołanie Małgorzaty:

— Ojcze.

Odwrócił się posłuszny. Od śmierci żony, a nawet i przedtem, ona była mu powiernicą, doradczynią, jedyną osłodą jego życia. Wyjazd małego Julka, którego Marcellaz zabrał z powrotem do Lyonu, nazajutrz po radzie familijnej, pozostawił ich sam na sam w smutnym, powoli opustoszałym domu. Dzisiejszą noc przesiedzieli razem niemal do rana na modlitwie i ze łzami zmieszanej rozmowie o zmarłym. Gdy stanęła przy nim, zwolna położył dłoń na jej bujnych włosach. Zrozumiała, że błogosławi ją w duszy, bez słów, i piękne jej oczy, zaczerwienione od płaczu, nawykłe już do łez, zamgliły się ponownie.

— Ojcze, co postanowiłeś względem Maurycego?

— Bastard gotów jest bronić go. O piątej przyjdzie tu z panem Hamel. Chodząc, przygotuję dla nich ostatnie moje instrukcje.

— Może chcesz, bym ci towarzyszyła?

— Nie, córuchno. Bądź spokojna o mnie. Ruch dobrze mi zrobi. Nie mamy nawet możności opłakiwać naszych zmarłych. Żywi potrzebują naszej pomocy.

— To ja pójdę w takim razie do więzienia.

— Idź, uwiadom go o naszem nieszczęściu.

— Biedny Maurycy, jakżeż będzie cierpiał!

— Mniej od nas.

— O nie, ojcze! tyleż co i my, a nawet i więcej od nas. Będzie robił sobie wyrzuty.

— Słusznie. Hubert wyjechał z jego przyczyny.

— Oczywiście. My, ojcze, płaczemy po nim bez żadnych skrupułów sumienia. Czy nic nie każesz powiedzieć Maurycemu?

— Nie, nic.

— Ojcze...

— Powiedz mu... powiedz mu, niechaj pamięta, że jest ostatnim z Roquevillardów.

Wyszedł, minął zamek, znalazł się niebawem poza miastem, w polu. Dzień był pogodny, śniegiem w słońcu wyiskrzony. W ciężkiej zadumie, bezwiednie zwrócił się traktem lyońskim ku La Vigie, tak, jak chadzał od lat: poprzez osadę Cognin, tartaki przy moście Saint-Charles, wzgórza w Vimines i Saint-Cassin — wstępne zwały gór Lépine i Corbelet — wzdłuż długiego wąwozu, który sięga przełęczy Echelles, a stąd boczną drogą, wprost do dawnej siedziby. Minął spróchniały most na rzeczce Hyères, wąskim strumieniem płynący między dwiema krawędziami lodu, wśród ogołoconych z liści topól i wierzb nadbrzeżnych. Jeszcze jeden zakręt i znalazł się sam w pustym jarze nieopodal Montagnole. Smukła wieża kościelna bielała na tle nieba. Nie spostrzegł jednak swojej samotności. Przeciwnie, szedł raźniej, czuł ulgę w bólu. Czyż nie był tu u siebie, na swojej ziemi? Czyż ziemia ta nie niosła mu otuchy, wiernej, starej przyjaźni, wdzięku wspomnień dzieciństwa, całej przeszłości tych, którzy przekształcili jej oblicze? Ta winnica, na lewo, o zaledwie dostrzegalnych z pod śniegu, drutem połączonych palikach, dała mu jeszcze jesienią obfity, złocisty plon. Na prawo, poza strumieniem rozgraniczającym obie gminy, ten ogołocony pagórek, na którym widnieje jedno tylko drzewo, to poręba lasu — buków, dębów i grabów — kupionego z oszczędności dla zaokrąglenia majątku. Niebawem dojdzie do domu, kolebki jego dni, który starością swoją świadczył najwymowniej o trwałości rodu i mocy jego upodobań. Wejdzie na folwark, popieści dzieci, przepije do grubej rządczyni kieliszek wódki własnego wyrobu, a przedewszystkiem ogarnie wzrokiem rozległy horyzont o niezmiennych, sercu

drogich zarysach gór, urodzajnej równi, modrej przeźroczy dalekiego jeziora — i bliższą perspektywę La Vigie, jej pól i winnic.

Szedł coraz szybciej, coraz raźniejszym krokiem, jak niegdyś, gdy szczęśliwy, kochany, ceniony, czuł się młodym mimo lat.

Nagle przystanął:

„Już nie jestem tu u siebie — myślał. — La Vigie sprzedana. Roquevillardowie nie są już tu panami. Czego tu szukam? Chodźmy stąd".

I zawrócił wstecz, z głową w dół spuszczoną, jak włóczęga w szkodzie przyłapany.

Zatrzymał się nad strumieniem dzielącym Cognin od Saint-Cassin. Przekroczył go i stanął tym razem u siebie, na kawałku ziemi, który, nie mając z resztą majątku żadnej ściślejszej spójni gospodarczej, wyłączony został ze sprzedaży i stanowił dziś jedyną, nieruchomą jego własność. Przystanął chwilę, żeby nabrać tchu, jak wojsko w odwrocie, gdy napotka bezpieczne schronienie. Poczem jął piąć się ku górze, nie bez trudu, gdyż było ślisko i wbijać musiał w ziemię laskę, żeby nie zjeżdżać w dół. Źle przetarta ścieżka znikła wreszcie zupełnie. Poszedł wówczas na przełaj, ku drzewu, samotnie sterczącemu u szczytu wzgórza. Był to prastary dąb, pozostawiony nie z racji rozmiarów lub szacownej starości, lecz poprostu dlatego, że spróchniał już i stracił przez to wartość. Zeschnięte, poskręcane liście uparcie trzymały się gałęzi, a tu i owdzie przebijała z pod szronu rdzawa ich czerwień. Wzdłuż zbocza, widniały w śniegu jak trupy zrąbane pnie, których drwale nie zdążyli ściągnąć przed zimą: jedne nietknięte, inne nagie, z kory odarte.

Pan Roquevillard dotarł wreszcie do celu. Dotknął ręką drzewo jak przyjaciela. Podziwiał jego wielkość i rozłożystość.

„Jesteś jak ja — myślał, z potu ocierając czoło. — Ocalałeś, choć padli koło ciebie wszyscy twoi towarzysze. Lecz obaj jesteśmy skazani. Czas na tę siekierę, która powali nas niebawem".

Zapóźnił się w tym uciążliwym pochodzie pod górę. Mimo dość wczesnej pory, słońce chyliło się już ku górom Lépine. Dzień w grudniu krótki, a bliskość gór czyniła go jeszcze krótszym. Widok był stąd prawie tensam, co z La Vigie: środkiem szczyt Le Signal, poniżej ujście doliny Echelles, w głębi, na prawo, u kresu równiny, jezioro Bourget, pasmo gór Revard, regularne tarasy Nivoletu. Śnieg zacierał kontury i różnice odległości, łagodził, niwelował krajobraz. Odblask zachodu powlekał wszystko blado-różowym odcieniem, niczem lśnienie ciała wśród wszechrzeczy.

Mimo pogody pan Roquevillard uczuł chłód i zapiął szczelnie palto. Teraz, gdy ochłonął już ze zmęczenia, wracało poczucie wieku i troski. Po co wdrapywał się na ten szczyt, którego zbocze, pokryte zwalonemi pniami, wydawało mu się wielkiem, przez śnieg zasypanem cmentarzyskiem? Czy przyszedł tu po to, by spoglądać na starą siedzibę, utraconą po tylowiekowym, twórczym wysiłku pokoleń — i opłakiwać ruinę rodu? Odróżniał, na przeciwległym skraju doliny, budynki i pola, otrzymane w spadku po ojcach i dziadach. Dom, który rok temu, gromadził pod swoim dachem nieuszczuploną jeszcze, wesołą i szczęśliwą rodzinę, zamknięty był na głucho — i nigdy już doń nie powróci.

Na tem pustem, żałobnem wzgórzu, stał samotny. A dokoła niego, w nim samym, rozpościerała się śmierć. Jak wódz po przegranej bitwie, kolejno wzywał do apelu wszystkie bóle swoje i smutki: żonę, zmarłą ze zmartwienia; Felicję, ofiarowaną Bogu hen, daleko, poza morza, na zawsze dla niego straconą; Huberta, o czystej, ofiarnej duszy, zgasłego w kwiecie lat, zdala od ojczyzny i rodziny; Germainę, dobrowolną wygnankę z rodzinnego miasta; Małgorzatę, ubóstwem skazaną na celibat; wreszcie ostatniego z Roquevillardów, jedyną nadzieję rodu, uwięzionego pod zarzutem hańbiącej winy, być może skazanego pomimo ofiary mienia. Napróżno poświęcił sześćdziesiąt lat życia kultowi rodziny. Rodzina zdziesiątkowana, przybita do ziemi z winy jednego, leżała w prochu, u stóp La Vigie, jak te pnie zwalone, z pod śniegu sterczące. Jemu to, którego siła i głęboka wiara niechybne wróżyły zwycięstwo, przypadła w udziale sromota porażki.

Pod wpływem bezsilnego zniechęcenia, wsparł się o drzewo, jak o towarzysza niedoli. Jęknął rozpacznym, przeciągłym jękiem — jękiem drzewa, które chwieje się pod uderzeniem siekiery, by runąć za chwilę. Niebo i ziemia w ciszy swojej obojętne, nie słuchały jego skargi. I uczuł, że jest sam, opuszczony.

Dwie łzy spłynęły mu z oczu — łzy męskie, cenne i wzruszające, jako dowód pokory i słabości. Nawpół skrzepłe od mrozu, spłynęły wolno po zziębniętych policzkach. Nie myślał o tem, że płacze. Zrozumiał to dopiero na widok ludzkiej postaci, powoli pnącej się pod górę. Otarł wówczas oczy, by nikt nie ujrzał jego łez. Czarna postać była to stara niewiasta, mozolnie zbierająca suche gałęzie, w wiązkę związane. Nisko schylona nad

ziemią, nie widziała nikogo. Gdy doszła do dębu, wyprostowała się nieco i poznała adwokata.

— Pan Franciszek — szepnęła.

— La Fauchois.

Przysunęła się jeszcze bliżej, położyła swoje brzemię, myślała nad tem, coby mu powiedzieć, a nie znalazłszy niczego, zaczęła głośno szlochać.

— Czemu płaczesz? — spytał pan Roquevillard.

— Nad panem, panie Franciszku.

— Nademną?

— Tak.

Nigdy trosk swoich nie powierzył był nikomu. Wyniosła duma wszelkie odpychała współczucie. Przyjął jednak litosny odruch starej nędzarki i podał jej rękę.

— Wiesz o mojem nieszczęściu?

— Wiem, panie Franciszku.

— O tem ostatniem?

— Tak... przez swojaka z Saint-Cassin, który wrócił dziś rano z miasta.

— Aha!

Umilkli, poczem La Fauchois znów jęła zawodzić w głos. Milczący ból niezrozumiały jest dla natur pierwotnych.

— Pan Hubert taki dzielny, taki młody, taki grzeczny dla wszystkich... Przychodził nieraz do kuchni zajrzeć w garnki i pożartować z nami... Albo i pani... nieboszczka pani to była święta za życia... Tacy, panie Franciszku, idą wprost do nieba....

Nieruchomy, milczący, pan Roquevillard zazdrościł zmarłym. La Fauchois gadała tymczasem dalej:

— A pan Maurycy? Uwolnią go?

Z lękiem, powszechnym u ludu, gdy mowa o sądzie, dodała po cichu:

— To już jutro...

I przeżegnała się, jak gdyby wzywając boskiego miłosierdzia. Adwokatowi mimowoli przyszła na myśl córka starej, niegdyś za kradzież karana. Zapytał o nią łagodnie, gdyż znękana jego dusza nie znała już uczucia pogardy.

— A cóż tam córka? Masz o niej jakie wieści?

— Wróciła do mnie, panie Franciszku.

— Dobrze zrobiła.

— O, nie jej w tem zasługa. Musiała. Wróciła z Lyonu chora i nie może jakoś przyjść do zdrowia.

— Co jej jest?

— Po połogu.

— Po połogu? to wyszła zamąż?

— Nie, panie Franciszku. Ale ma dziecko. Mały, tłusty berbeć, trzepoczący się, jak ryba, cały dzień. Nie chciałam wcale widzieć tego aniołka. Rozumie pan... zawsze wstyd. Lecz, gdy go ujrzałam, odrazu złość gdzieś prysła. A teraz, to cała moja radość.

— Dziewczynka?

— Dziewczyna?... O nie! chłopak, wielki, pyzaty chłopak.

— Ciężko ci teraz?

— Juści. Lecz za to, gdy wracam do domu, widzę malca jak skacze i śmieje się i jest mi tak, jak po szklance dobrego wina: ciepło i wesoło.

— Stara już jesteś na taką pracę.

— Wiadomo. Nie zdatnam już do niczego więcej.

Czerpała oto pociechę z własnej nędzy, a nieszczęście samo obdarzyło ją na starość promieniem wesela. Zainteresowany opowieścią, pan Roquevillard poczuł niemal że cześć dla tej nędzarki, która bezwiednie dawała mu przykład miłosierdzia i odwagi. Schyliła się, by zadać sobie na plecy leżącą wiązkę chrustu.

— Do zobaczenia, panie Franciszku.

— Dokąd idziesz?

— Do Cognin, zanieść te gałęzie piekarzowi.

— Czekaj.

Chciał wspomódz ją pięciofrankówką, lecz starucha odmówiła.

— Weź, mówię ci.

— Jak mam brać, toć mówią ludzie, że La Vigie sprzedana.

Oczy adwokata sposępniały.

— Tak, La Vigie już nie moja. Ale weź mimo wszystko. Przyniesie mi to szczęście.

Zrozumiała, że odmowa byłaby upokorzeniem i wyciągnęła rękę. Schodziła w dół, zginając za każdym krokiem nogi, żeby nie ślizgać się. Sylwetka jej malała coraz bardziej, aż znikła wreszcie zupełnie na dnie doliny. Adwokat znów sam był, lecz jakżeż odmienny! Ta nędzarka oddała mu oto stokrotnie dar otuchy, jaką wlał w jej serce jesienią poprzedniego roku.

Dzień miał się ku schyłkowi. Tajemnicza cisza przedwieczorna ogarniała zmartwiałą i jak gdyby zakrzepłą pod śniegiem ziemię. Zarysy gór roztapiały się w bladym błękicie nieba. Żaden odgłos nie mącił ciszy, bardziej imponującej w obojętnym swoim bezruchu od najgwałtowniejszych burz.

Dołem, pod cienką — w słońcu topniejącą, o zmierzchu stężałą skorupką lodu, płynął zaczajony strumyk. Jednolita w bieli ziemia, zewsząd otulona była w śnieżne puchy, niczem klejnot w watę.

Pan Roquevillard utkwił wzrok w La Vigie, zamkniętą, opuszczoną, osieroconą przez ród, który ją zdobył. Widok fermy przyciągał go, hypnotyzował. La Fauchois obudziła w nim instynkt walki, odepchnęła rozpacz. Niepomny bólu, myślał już tylko o dziecku, które należało ratować, i szukał środków ratunku. Lecz błagalny jego wzrok ginął w chłodnem i martwem przestworzu — bez ruchu i bez słowa, bez żadnego z tych słów nadziei, jakiemi przemawiają pory życia: wiosna, lato, a nawet i jesień. Czyż sama tylko przeszłość obronić zdoła Maurycego? Czyż opuszczona ziemia i szereg mogił istotnej dostarczą pomocy? W głos powtórzył słowa pana Bastard'a, wyrzeczone wobec zastrzeżeń podsądnego co do obrony:

— Umarli nie bronią żywych.

Nawpół schowane już poza krawędź szczytów, słońce ostatnie rzucało blaski. Na stokach gór, puszysty, jak gdyby w letargu pogrążony śnieg, drgnął w słonecznej pożodze i zapłonął czerwienią. W świetle, ożywił się nareszcie nieruchomy widnokręg. Milczący, a niepokalany, zezwalał na odczucie i ujawnienie życia. Drżąca ziemia odcinała się wyraźnie od nieba, którego blady błękit grał wszystkiemi barwy z przewagą złota. A bliżej, na pierwszym planie, okryte szronem drzewo i krzaki iskrzyły się w łunach zachodu jak drogocenne kamienie, odbijające na maleńkiej przestrzeni migotliwe lśnienie żyrandoli.

Z oczyma utkwionemi w La Vigie, pan Roquevillard obserwował to nagłe zmartwychpowstanie. Pod tchnieniem wieczornej pieszczoty, przyroda wracała chwilowo do życia.

Krew krążyła znów na jej marmurowem licu. Wzdłuż winnic, na szczycie wzgórza mocniej przez słońce oświetlonego, zamiast jednolitej, monotonnie białej przestrzeni, wywłaszczony właściciel dostrzegał teraz nierówności terenu, zdradzające rozmieszczenie pól, a tu i ówdzie niewyraźne dotąd, jak gdyby zatarte drzewa — wysokie topole, proste i dumne jak palmy, rozłożyste lipy, smukłe brzozy, masywne kasztany, delikatne drzewa owocowe o wątłych a jednak tak wytrzymałych na ciężar konarach — wyłaniały się z tła niczem ludzkie postacie.

Nie czuł już osamotnienia. Zewsząd szły ku niemu zjawy przeszłości. Coraz bardziej wzruszony, wspominał kolejno wszystkie pokolenia, które uprawiały tę ziemię, wzniosły ten dom i zabudowania folwarczne, nagromadzały mienie — począwszy od chłopskiej bluzy pierwszego z rodu aż do senatorskiej togi członków Senatu sabaudzkiego i własnej jego adwokackiej sukni. Całe wzgórze wprost niego zajmował — jak twierdzę — długi łańcuch jego przodków, którzy wraz z żytem, pszenicą, owsem, wraz z sadami i winną łozą, rzucili w tę połać ziemi plenny siew tradycji, honoru, męstwa i prawości. I gdy płody ziemi niosły w dal gospodarczą sławę rodu, jego tradycją opromieniała miasto, tonące w mroku hen na równinie, prowincję, której służył, którą popierał, a nawet i wsławiał w pewnych okresach dziejów, wreszcie kraj cały, którego siła polega na trwałości i mocy takich rodów.

I powtórzył po raz wtóry:

— Umarli nie bronią żywych.

Lecz dodał natychmiast:

„Umarli, ale nie żywi. A ci są wszyscy żywi. Nie brak do apelu żadnego z nich. Ziemia otworzyła się, by

ich przepuścić. Przejdę wąwóz, dzielący mnie od nich. Chcę być razem z nimi".

Spojrzał w dół, na dno mrocznego jaru, jak gdyby zeszły się tam wszystkie mary.

Zapadał mrok. Powoli chłonął wszystko, coraz wyżej. Jeno góry jaśniały jeszcze zwycięsko, zwłaszcza tarasowaty szczyt Nivoletu, na którym śnieg gorzał purpurą i fijoletem, jak płynny metal.

Przechylony ku dolinie, pan Roquevillard śledził tę grę barw i świateł. Nagle drgnął całą swoją istotą. Wraz z mrokiem, szły ku górze widma, wszystkie widma. Wychodziły z La Vigie i sunęły niemym, długim korowodem... To one gromadziły się przed chwilą na dnie doliny... Niosły mu obecność swoją, pomoc, świadectwo czynów. Pełno ich było wszędzie... Szły, jak wojsko pod rozkazy wodza. A gdy zeszły się wszystkie, zabrzmiał z przestworza przemożny, władczy ich głos:

„Wszyscyśmy pracowali, kochali, walczyli, cierpieli nie dla osobistych widoków, nie dla celu, który każdy z nas osięgał lub też chybiał, lecz dla idei trwania, dla rodziny. Zdobycze nasze w służbie wspólnego dobra tobie zostały powierzone, byś je przekazał. To nie La Vigie. Do majątku zawsze dojść można pracą i oszczędnością. To duch naszego rodu, przez ciebie reprezentowany. Twoim obowiązkiem obronić go teraz i ustrzec. Zrozpaczony, mówiłeś o samotności i śmierci. O samotności? Policz nas i powiedz, skąd się wywodzisz. O śmierci? Wszak rodzina jest negacją śmierci. Skoro ty żyjesz, żyjemy my wszyscy. A gdy z kolei złączysz się z nami, odżyjesz, musisz odżyć w twojem potomstwie. Patrz: w tej rozstrzygającej chwili jesteśmy tu wszyscy. Odrzuć od siebie

ból, tak jak myśmy odrzucili kamienne płyty naszych mogił. Tobie — czy słyszysz? tobie — przypada w udziale zaszczyt obrony i ocalenie ostatniego z Roquevillardów. Mówić będziesz w naszem imieniu. Później dopiero, po spełnionem zadaniu, wolno ci będzie połączyć się z nami w ciszy wiecznego spoczynku..."

Pan Roquevillard wsparł się ramieniem o dąb. Mrok sięgał krawędzi Nivoletu, którego szczyt, krzyżem wywyższony, zapłonął po raz ostatni i zgasł. Błogi spokój wewnętrzny ogarnął wówczas adwokata i bez lęku już, kornie przyjął powierzoną mu misję.

„Ja będę, Maurycy, twoim obrońcą. I nie wymówię imienia pani Frasne".

A gdy odchodził z pod drzewa, spojrzał na okalającą je przestrzeń i szepnął:

„Tutaj odbuduję siedlisko rodu... Ja lub syn mój".

* *
*

## V

## ZARĘCZYNY MAŁGORZATY

Śmierć Huberta do głębi wstrząsnęła Maurycym i złamała dumę, dzielącą go jeszcze od rodziny. Małgorzata wychodziła właśnie z więzienia, dokąd zaniosła była bratu bolesną nowinę. Szła prędko, w żałobnych pogrążona myślach. Zaraz od progu spytała służącej:

— Pan wrócił?

Silna duchem, tą mocą oporu wobec nieszczęścia, częstszą u kobiet niż u mężczyzn, która pociesza, zamiast poddawać się, po bracie, biegła teraz do ojca, podtrzymać go i dodać mu otuchy.

— Jeszcze nie, proszę panienki — brzmiała odpowiedź.

Zdziwiła się i zaniepokoiła.

— Jeszcze nie?

A przecież długo siedziała u brata. Zciemniało się. Pan Roquevillard wyszedł tylko na krótką przechadzkę. O piątej przyjść mieli panowie Hamel i Bastard celem powzięcia ostatecznych decyzyj na dzień następny. W takich okolicznościach, ta przedłużona nieobecność była istotnie zastanawiającą.

Służąca dodała:

— Ale czeka w salonie jakiś pan, który chce widzieć się z panienką.

— Ze mną?

— Tak, z panienką.

— Któż to taki?

— Powiedział swoje nazwisko, lecz wyszło mi już z głowy. Jakiś doktór.

Była to dziewczyna ze wsi, mało jeszcze obeznana z miastem i jego mieszkańcami.

— Nie trzeba było przyjmować, Melanjo, — skarciła ją Małgorzata. — W taki dzień, zwłaszcza, jak dziś!

— Ja też tak myślałam, panienko. Ale nie chciał odejść. Ma podobno do panienki jakiś ważny interes.

Niechętnie weszła Małgorzata do salonu, w kapeluszu i pod woalem, by pozbyć się coprędzej niewczesnego gościa. Przed nią stał Rajmund Bercy. Również wzruszony jak i ona, szepnął:

— Panno Małgorzato...

A gdy odruchowo cofnęła się wstecz, jął błagać:

— Panno Małgorzato, niech mi pani przebaczy to moje najście. Wczoraj wieczorem dowiedziałem się o waszem nieszczęściu. Więc....

— Panie — przerwała, idąc ku niemu.

To jedno słowo, chłodnym wyrzeczone głosem, odpychało go, odmawiało mu prawa do współczucia. Tak jak ojciec — nie chciała litości. Zbity z tropu, były narzeczony spuścił głowę i umilkł. Łagodniej już zapytała:

— Po co, panie, ten nacisk, by widzieć się ze mną... dzisiaj?

Podniósł na nią błagalne oczy i odparł cicho:

— Bo jutro byłoby już zapóźno.

— Zapóźno? jutro? Ma mi pan coś do powiedzenia? Czyżby dotyczyło to Maurycego?

Zapomniała o sobie, nie myśląc wcale o tem, by jej własna osoba mogła być tu w grze. Czyż wszelkie więzy między nią a Rajmundem nie zostały stargane przed rokiem, w dniu, w którym, broniąc czci swojego nazwiska, zerwać musiała z narzeczonym? Młody człowiek nie robił żadnych zgoła starań dla odzyskania serca jej i słowa. Wypadki potoczyły się tymczasem jak lawina: oskarżenie pana Frasne, śmierć pani Roquevillard, zaoczny wyrok na Maurycego, hańba i ruina rodziny, a nakoniec ostatni, straszny cios — śmierć starszego brata, nadziei i przyszłości rodu. Było tego aż nadto, by usprawiedliwić opuszczenie, niechęć ludzką, głuszę. Czyż pustka nie jest szczególniejszym przywilejem nieszczęścia? W samotności, wypłakała wszystkie swoje łzy, przetrawiła ból; do dna, nie dzieląc się z nikim, wypiła cały kielich goryczy. Jakiem prawem ten przychodzi teraz narzucać jej zbędną obecność swoją i bierną sympatję? Lecz kto wie, może czyni to z innych zgoła pobudek? Może przynosi nieznany jaki przyczynek do obrony podsądnego? To tylko — jedynie to — usprawiedliwiało nagłe wdarcie się przemocą pod ich dach.

Rajmund milczał. Znać było po nim niezmierną rozterkę wewnętrzną.

— Proszę, niech pan mówi.

— Tu nie chodzi o Maurycego — odparł bezdźwięcznym, zdławionym głosem.

— A zatem?...

Postąpiła ku niemu parę kroków i odrzuciła welon, który zawadzał jej i nawpół ją osłaniał. Widna teraz z bliska, wyprostowana, a surowa, wydała mu się jeszcze bardziej daleką. Na czarnem tle welonu, blada jej twarzyczka, zaczerwienione od łez oczy i drobne koralowe usta tchnęły takim smutkiem, a jednocześnie taką nieugiętą dumą, że bojąc się, iż nie zdoła jej przebłagać, w namiętnem pragnieniu niesienia jej pomocy, połknął łzy, zebrał wszystką odwagę i mówić zaczął głosem zrazu przerywanym, potem coraz pewniejszym:

— Wysłuchaj mnie, pani. Musisz mnie wysłuchać. Później zrozumiesz i przebaczysz. Musiałem mówić dziś z tobą... Odczuwam boleść waszą... Nie zaprzeczaj, pani, błagam cię o to. Nikt nie jest mocen zakazać mi współczucia. Cierpię również, od dnia... I własne cierpienie dozwala mi wczuć się w cudzy ból. Kochałem cię. Przyszłość wyobrażałem sobie tylko wraz z tobą. Lecz napotkałem w rodzinie taką opozycję, tyle niechęci.... z powodu... z powodu brata twego, pani. Matka moja, w gruncie dobra kobieta, hołduje wszelkim przesądom. Ojcu szło o moją karjerę. Nauka, gabinet lekarski i chorzy, to całe jego życie. W domu jest niczem. A ja... Nie, nie chcę oskarżać dłużej innych dla zatuszowania własnej winy. Stchórzyłem, nikczemnie stchórzyłem... Lecz jakżeż ciężko zostałem ukarany! Nie obroniłem cię, nie umiałem cię obronić.

Kilkakrotnie usiłowała mu przerwać. Wyprostowana i bezwiednie wzgardliwa, patrzyła mu prosto w twarz. Z całej jej postaci biła duma, ta wrodzona duma Roquevillardów, która przyczyniła im tylu wrogów. Tylko z oczu wyzierał łzawy smętek i mistyczna wrażliwość matki...

— Nie prosiłam pana o obronę — rzekła z prostotą.

— Prawda, Małgosiu...

Zapominał w rozterce o formułach grzecznościowych i zwał ją jak niegdyś, za czasów narzeczeństwa.

— A nawet — dodał — miałem do ciebie urazę za to lekceważenie.

— Nie lekceważę nikogo.

— Zraniłaś mnie tak boleśnie, samem tylko spojrzeniem, w dniu, w którym zwróciłaś mi słowo. Byłaś tak bezlitosna...

— Bezlitosna? ja?

Oburzona taką niesprawiedliwością, uważając za zbędną wszelką replikę, pół-głosem powtórzyła te dwa słowa.

— Tak jest... Nie rozumiałem jeszcze wówczas, iż należy być dumnym w nieszczęściu. Przeklinałem cię, lecz serce moje było złamane. Oskarżałem cię zamiast uznać nikczemność moich zwątpień, moich obaw, mojej troski o ludzką opinję. Zmieniłem się odtąd, przysięgam ci. Teraz podziwiam cię, kocham i uwielbiam. Nie mów nic: pozwól mi skończyć. Chciałem zapomnieć o tobie. Rodzice chcieli ożenić mnie z kim innym, ustalić — jak mówią — mój los. Nie mogłem. Kocham, kochać mogę tylko ciebie.

— Panie...

— Cokolwiek uczyniłem dobrego, twoja w tem zasługa. Powoli dźwignę się aż ku tobie. Ludzie tacy, jak ja — wszyscy niemal ludzie — wahają się między dobrem a złem, między poświęceniem a egoizmem. Nie myślą, idą za przeciętnością życia. Lecz dość niekiedy jednego porywu, by pójść dalej, wyżej. Miłość była dla mnie tym bodźcem, Małgosiu...

Urwał, czekając na słowo zachęty. Oczy dziewczyny były spuszczone, a welon, nie przytrzymywany ręką, ocieniał z tej strony bledziutką twarzyczkę.

Szeptał gorąco, modlitewnie:

— Zwróć mi słowo twoje, Małgosiu. Zostań moją żoną... Kocham cię. Za cały ból twój i smutek, kocham cię....

Drżała jak liść, lecz odparła bez wahania:

— To niemożliwe. Nie żądaj tego odemnie.

Zdumiony tą odmową, wówczas, gdy resztka pychy przekonywała go o własnej szlachetności, krzyknął niemal z rozpaczą:

— W tobie szczęście moje i nie miałbym błagać o nie?

Podeszła wtedy ku niemu i rzekła słodko:

— Inna kobieta da ci szczęście. Jestem tego pewna.

— Dla mnie tyś jedna na świecie!

— Nie, nie, to niemożliwe. Nie męcz mnie.

— Dlaczego niemożliwe, Małgosiu? Dlaczego odpychasz mnie? Nie kochasz już... Może kiedyś zdobędę twoje serce? Przeczysz? O Boże! czyż odejść mam bez jednego słowa?

Namyślała się, niepewna co rzec, jak ominąć istotną prawdę. Niespokojny, czyhał na odpowiedź.

— Nie jestem już Małgosią z przed roku.

— Nie rozumiem.

— Nie mam posagu.

— Tylko tyle? Nie zasłużyłem na takie powiedzenie. W tobie, w oczach twoich, jaśnieje światło życia. Patrząc na ciebie, czuję w sobie moc, pragnienie dobra, wzgardę i niepamięć radości, jakie daje siła materjalna. Wobec

tego czem ty mnie darzysz i co moim będzie puklerzem, czem jest majątek?

— A jeśli jutro...

A że umilkła, powtórzył za nią:

— Jeśli jutro?

— Jeśli spadnie na nas jutro nowy cios, jeśli Maurycy zostanie skazany?

— Dlatego właśnie jestem tu dzisiaj. Chciałem prosić, by wolno mi było — jako synowi — towarzyszyć jutro twojemu ojcu przed sąd. Dziś koniecznie musiałem widzieć się z tobą.

— Ah! — szepnęła osłupiała.

W okrzyku tym wyczuł kres okazywanej mu obojętności. Blada, wyrazista twarz panny opromieniła się nagle sympatją, rozrzewnieniem, może czemś więcej jeszcze. Szczęście było tuż, niepewne, zamglone, lecz obecne. I ta obecność wzruszała go do łez.

Podaniem ręki sama utrwaliła jego nadzieje.

— Dziękuję ci, Rajmundzie — rzekła, zowiąc go jak dawniej, po imieniu. Jestem wzruszona, głęboko wzruszona...

Nieco innej spodziewał się odpowiedzi. Patrzył na nią błagalnie, w trwożnej ekstazie:

— Po co dziękować mi, skoro cię kocham? Kochać cię, to znaczy być lepszym...

I dodał cicho jak westchnienie:

— Małgosiu, zechcesz być moją żoną?

Piękna, bledziutka jej twarz wyrażała współczucie i żal.

— Nie mogę, Rajmundzie!

— Nie możesz? Tedy... tedy kochasz innego!

— Rajmundzie!

— Tak, kochasz innego. Innego, który nie był nikczemnym tak jak ja, innego, który umiał ocenić cię i zrozumieć, który był ciebie godny... Utraciłem szczęście z własnej winy... Sprawiedliwa kara, lecz cierpię, bo kocham...

Łkanie wydarło mu się z piersi.

— Rajmundzie — zawołała, drżąc. Nie mów tego, błagam cię.

— Nie oskarżam nikogo. Ja jeden jestem winien. A twoje szczęście droższe mi jest od mojego.

— Rajmundzie, wysłuchaj mnie!

Złamany, zrozpaczony, upadł na fotel i z twarzą w dłoniach ukrytą, płakał boleśnie, nie myśląc już o tem, że zdradza przed nią niemęską słabość. Szybkim ruchem zdjęła kapelusz, tak jak pielęgniarka zrzuca z siebie wszelką zbędną przy chorym odzież, i ujmując go za ręce, usiłowała odjąć je przemocą.

— Spójrz na mnie.

W głosie jej brzmiał słodki, nieodparty nakaz. Nie zadawała już sobie przymusu, nie trzymała się defensywy, szła do niego z całą prostotą przeczystej duszy. Bezwiednie uległ jej wpływowi i posłuchał nakazu. A gdy spojrzał na nią, podziw osuszył łzy. Dziewczę było przeobrażone. Ekstazą promieniały ciemne, przedziwnie łagodne oczy. Blada twarzyczka jaśniała nieziemskim wyrazem ciszy, wyrazem tych, którzy w pośród burz i namiętności życia, znaleźli spokój — jaśniała świetlaną pogodą zmarłych, którzy zasnęli w Panu. Nie było już śladu cierpienia w jej przejrzystych licach i podkrążonych od

płaczu oczach — jeno głęboki, nienaruszalny, niemal przerażający spokój.

— Małgosiu! co tobie? — błagał z lękiem, tak jak woła się kogoś schylonego nad przepaścią.

Powtórzyła:

— Spójrz na mnie, Rajmundzie. Tak jest, kocham innego....

— Odgadłem to!

— Innego, o którego nie możesz być zazdrosnym. Nie wyjdę nigdy zamąż, nie będę niczyją żoną. Pójdę inną drogą. Wszelako tak jestem ułomna, że przed chwilą, gdyś mówił do mnie, słuchałam cię z dumą. Niestety, jestem jeszcze dumna. To rodzinna nasza przywara. Lecz los tak ciężko nas doświadczył, że trzeba było przeciwstawić mu trochę dumy.

Blady uśmiech wykwitł na jej ustach i znikł, jak gdyby nie chcąc mącić czystości stężałych w ciszy rysów. Ciągnęła dalej, podczas gdy on milczał, podbity tajemniczym jej urokiem:

— Nie zapomnę nigdy, żeś zwrócił się do mnie w najcięższej, najboleśniejszej chwili mojego życia.

Zapłakała w głos, jak dziecko.

Kocham cię...

— Nie trzeba mnie już kochać, Rajmundzie. Przed tobą, innego usłuchałam głosu. Powierzę ci tajemnicę, o której nikt nie wie, nawet ojciec. Powierzam ci ją bez wahania, jak bratu. Po śmierci mamy, ślubowałam Bogu, że zastąpię ją przy nawpół zburzonem ognisku domowem.

— Czyż nie spełniłaś zadania?

— Jeszcze nie.

— Czyż małżeństwo stanowiłoby jakąkolwiek przeszkodę? Wszak nie opuścilibyśmy Chambéry?

— Nie można czynić z siebie połowicznego daru, Rajmundzie. Wyrzekłam się osobistego szczęścia. I w dniu, w którym się go wyrzekłam, wstąpiła we mnie dziwna moc.

Zaprotestował gwałtownie.

— To jest szaleństwo, Małgosiu. Nie masz prawa zapominać tak o sobie. Przeżyjesz ojca. Brat twój, jutro uwolniony, rychło własną pójdzie drogą. Co poczniesz wówczas sama na świecie? W jakim celu ta samoofiara dla próżnych skrupułów?

— Ojciec mój ugodzony w samo serce. Brat jeszcze w niebezpieczeństwie. Nie odbieraj mi odwagi, mówiąc, że jestem im zbędna.

Rajmund zaprzestał walki. Intuicja, płynąca bardziej z wyrazu twarzy Małgorzaty, niż z jej słów, ostrzegła go o porażce. Nieśmiało, ze wzruszeniem błagać jął chociaż o zwłokę.

— A jeśli będę czekał, czy odepchniesz mnie? Jeśli pozostanę ci wiernym aż po kres twojego zadania w rodzinie, czy zechcesz być moją? Kocham cię tak bardzo, że raczej będę cierpliwym, niż miałbym cię utracić. Byłoby to równocześnie straszne i miłe. Czy zechcesz?

Na tę bohaterską, a romantyczną propozycję, zmętniały promienne oczy dziewczyny. Widząc ją w tym odruchu bardziej ludzką, dostępniejszą, sądził, iż świecić mu zaczyna nadzieja. Lecz złudzenie prysło przy pierwszych jej słowach.

— Nie, Rajmundzie. Nigdy nie zgodziłabym się budować mojej przyszłości na twoim bólu. To niemożliwe.

Snać nie rozumiałeś mnie. Ofiarowałam się Bogu. Nie umniejszaj mojej ofiary.

— Małgosiu!

— Ślubować Bogu, to znaczy ślubować tym wszystkim, którzy cierpią.

— Nie rozumiem teraz. Chcesz wstąpić do klasztoru?

— Jeszcze nie wiem. Służyć można Bogu rozmaicie. To, co ci mówię, zachowaj dla siebie. Płaczesz?... Nie płacz, Rajmundzie. Bóg cię pocieszy, tak jak mnie pocieszył.

— Nie mnie, o nie!

I zapytał wśród łez:

— Co zamierzasz uczynić?

— Póki ojciec będzie żył, pozostanę przy nim. Póki Maurycy będzie mnie potrzebował, dopomogę mu. Przyrzekłam to mamie w godzinę śmierci. Potem oddam się na usługi nieszczęśliwych, starców lub też bezdomnych dzieci. Może założę tu szkołę dla ubogiej dziatwy. Nie wiem jeszcze. Nie mogę wiedzieć. Nie trzeba zbytnio naglić przyszłości. Przyjdzie sama z siebie. Widzisz teraz: posiadłeś wszystkie moje tajemnice.

— A ja? — szepnął. — Co będzie ze mną? Wspomagać chcesz wszelką niedolę, a zapominasz o mojej.

— Rajmundzie!

— Jestem biedniejszy od najbardziej nieszczęśliwych. Oni przynajmniej nie cieszyli się nadzieją szczęścia, a ja strącony zostałem z tak wysoka!

— Nie płacz za mną, nie żałuj mnie. Nie byłam snać przeznaczona do zamążpójścia. Bóg ostrzegł mnie o tem, nieco szorstko. Tobie da inną żonę, z którą będziesz szczęśliwy.

— Żadna nie jest do ciebie podobna, Małgosiu. Jesteś z tych, o których się nie zapomina, których nikt inny nie zdoła zastąpić.

Mrok zasnuwał potrochu salon, chłonąc w siebie niewyraźne już kontury czarnej, żałobnej sukni. Tylko przejrzysta twarz dziewczęca jaśniała jeszcze jak gdyby resztką światła. Lecz światło to rozjaśniało zaledwie czysty zarys profilu i bladość lic. Zdawało się, że przy dotknięciu policzki raczej ziębić będą chłodem kamienia, niż grzać ciepłem życia.

— Zapomnisz, Rajmundzie. Trzeba żebyś zapomniał. Chcę tego.

Spojrzał na nią ze zniechęceniem, jak spogląda turysta na szczyt, którego nigdy nie dosięgnie.

— Pamięć moja niezależną jest od twojej woli.

— To przynajmniej wspominaj mnie bez goryczy, jak zmarłą siostrę.

— Nie, Małgosiu, nie bez goryczy. Podniosłaś wzwyż myśli moje i serce. Teraz znów stoczę się w dół!

Wzruszona tym okrzykiem, odpowiedziała mu poważnie, niemal że uroczyście:

— Jeśli kochałeś mnie, Rajmundzie, jeśli kochałeś mnie szczerze, nie pozbawisz mnie tej najgłębszej radości, że powołanie moje tobie również będzie użyteczne. Odmowa moja nie może pogrążyć cię w rozpaczy: nie może ani zranić cię, ani urazić. Pamięć o mnie powinna być ci miła, nie bolesna. Gdyż i ja kochałam cię. Z wiarą i ufnością oczekiwałam dnia naszego ślubu. A ufność to spokój, to gwarancja przyszłości. Nagła burza rozdzieliła nas. Usłyszałam wówczas głos boży. Jeśli Bóg nie dozwolił, bym przyniosła ci szczęście, jeśli doświadczył

z kolei i ciebie, pozwól mi wierzyć, że z próby tej wyjdziesz silniejszy duchem, lepszy, szlachetniejszy. Jeśli mimo wszystkich moich ułomności, w czemkolwiek przyczyniłam się do tego — nie mów mi, że upadniesz. Tak gorąco modlić się będę za ciebie!

Błagała coraz żarliwiej, coraz serdeczniej. Nie zauważyła, że młody człowiek przyklęknął przed nią, lecz nagle uczuła jego usta na swojej dłoni.

— Co robisz, Rajmundzie. Wstań, proszę cię.

Patrzyła na klęczącego u jej stóp, zdziwiona wyrazem jego twarzy. Nie był już ani wzburzony, ani zrozpaczony, poważny tylko i smutny. Uległ mimowoli kojącemu wpływowi wiary.

— Nie byłem godny ciebie — szepnął. Lecz kochałem cię z całej duszy.

— Wstań, proszę cię.

Wstając, oddał jej jeszcze ostatni hołd:

— Nikt nie jest ciebie godny — i to jedyna moja pociecha.

Odwróciła głowę, jak gdyby zawstydzona pochwałą:

— Nie mów tego.

Ofiara była spełniona. Oboje odczuli to niemal fizycznie i umilkli. Ciężkie, smutne milczenie przerwała służąca, wchodząc do pokoju, w którym mroczyło się coraz bardziej. Na tle ciemności, z trudem rozróżniła czarną, w mrok wsiąkającą sylwetkę swojej pani.

— Panienko! — zawołała.

— A co tam, Melanjo?

— Przyszli ci panowie, co mieli przyjść.

— Wprowadziłaś ich do gabinetu pana?

— Tak.

— A pan jeszcze nie wrócił?

— Nie, panienko.

— Proś tych panów, żeby zechcieli zaczekać. Pan zaraz wróci.

To niezrozumiałe opóźnienie stawało się niepokojącem. Rajmund Bercy wyczuł, że myśli Małgorzaty odchodziły od niego.

„Już!" — pomyślał.

Przed chwilą, gdy odpychała z taką słodyczą jego miłość, zajmował przynajmniej umysł jej i serce. Nawet ból, jaki mu sprawiała, zbliżał go do niej, był mu drogi, bo jej ręką zadany. Spojrzał na nią po raz ostatni oczyma pełnemi łez, jak gdyby chcąc zmierzyć wielkość straty i utrwalić w pamięci jej obraz. I zdecydowany już, szepnął:

— Żegnaj mi, Małgosiu.

Podała mu rękę.

— Żegnaj mi, przyjacielu. Idź z Bogiem. W codziennej modlitwie, łączyć będę imię twoje z imionami moich najbliższych. Dobrze?

— Owszem, dziękuję ci. Szczęście stało przedemną otworem, zburzyłem je sam, własnemi rękoma.

Odparła słodko:

— Bóg tak chciał, nie my. Bóg z tobą.

Skłonił się i wyszedł. Pozostawiona sobie, ukryła na chwilę twarz w dłoniach, potem wyprostowała się i przeszła do gabinetu ojca, prosić panów Hamel i Bastard o parę minut cierpliwości. Coraz bardziej niespokojna, zamierzała już wyjść naprzeciwko ojca, gdy zazgrzytał w zamku klucz. Skoczyła ku drzwiom.

— To ty, ojcze. Nareszcie!

Zgrzany mimo zimna od szybkiego chodu, pan Roquevillard ocierał pot z czoła.

— Małgosiu, czy przyszli już?

— Czekają, ojcze, na ciebie.

— Dobrze. Idę.

Stali wprost siebie, w jasno oświetlonym korytarzu. Pożegnawszy się rano w zwątpieniu i depresji, patrzyli ze zdumieniem jedno na drugie: twarze obojga jaśniały nieziemskiem światłem wiary, zwycięską pogodą ducha, który wzniósł się był ponad ból i lęk. Jedno z nich usłyszało z głębin nieśmiertelnej przeszłości zew pokoleń, drugie — głos Boga.

* * *

## VI

## OBROŃCA

Gdy pan Roquevillard wpadł raczej, niż wszedł do gabinetu, obaj jego koledzy natychmiast przerwali dyskusję i podeszli ku niemu. Nie mogli ukryć zdziwienia, ujrzawszy zamiast starca, złamanego bólem po stracie syna, dawnego Roquevillarda, tego, który przed sądem budził lęk w przeciwnikach, którego wzywano na trudne i burzliwe obrady dla jasności sądu i ważkości rezolucji, którego władcze usposobienie i przenikliwy wzrok niejeden znosił nieraz z przykrością.

— Czekaliście na mnie — rzekł ze swobodą, wykluczającą jakiekolwiek tłómaczenie.

W zestawieniu z nim, czcigodny ze wszech miar pan Hamel, siwy jak gołąb, o regularnych rysach i nieco napuszonej dystynkcji — i pan Bastard, wyniosły, z piękną, wspaniale rozczesaną brodą, wszędzie pchający się na pierwsze miejsce — uznać musieli jednak jego przywództwo, jeden z dobrej woli, drugi naprzekór sobie samemu. Niewątpliwe ich walory pierzchały wobec innych, bezsprzecznych oznak wyższości.

— Przyjacielu — szepnął starzec, wyciągając ku niemu rękę.

— Drogi kolego — rzekł Bastard.

Obaj złożyli mu kondolencję; jeden serdecznie i ze wzruszeniem, drugi w banalnych słowach.

— Tak jest — odparł im gospodarz. Został mi już tylko jeden syn. I tego ocalę, muszę ocalić. Oto co postanowiłem.

Ta ostatnia narada trzech prawników miała właśnie ustalić definitywny plan obrony. A oto zdanie jednego przesądzało rzecz z góry, bez żadnej narady.

— Ah! — wykrzyknął stary przewodniczący Izby, podbity taką wiarą i energją.

— Postanowiłem? — powtórzył zdumiony Bastard, wahając się między poszanowaniem dla świeżej żałoby, a poczuciem zadraśniętej ambicji.

Spokojnie, dźwięcznym głosem, pan Roquevillard w paru słowach odsłonił swój zamiar:

— Obaj będziecie moją rezerwą. Bronić będę ja sam.

— Wy!

— Wy!

W jednym wykrzykniku dźwięczało zdziwienie, w drugim oburzenie. Pan Hamel utkwił w starym towarzyszu broni swoje jasne, wyblakłe oczy, w których drżący od starości płomyk życia świecił jeszcze takim czystym blaskiem; zaś piękny adwokat, rozgniewany odmową, pozbawiającą go sensacyjnej sprawy i głośnej obrony, zapomniał o okolicznościach samej sprawy i o niedoli rodu, chwilowo powalonego, by mieć jedynie na względzie własny sukces, znienacka mu wydarty.

Pan Roquevillard mówił tonem zwierzchnika uprzejmego, lecz który umie rozkazywać.

— Tak jest, ja. Wołać będę o syna tak głośno, że mi go oddadzą. Nie odmawia się ojcu dziecka.

A gdy podyktował już — niczem rozkazy — swoje dyspozycje do walki, usiłował niezwłocznie pozyskać sobie sprzymierzeńców odrobiną dyplomacji, umiał bowiem naginać despotyczny swój charakter do wymogów sztuki kierowania ludźmi. Pewnym będąc poparcia starego przyjaciela, szczególniej zwrócił swoje zabiegi ku panu Bastard, który wymykał mu się z rąk.

— Obaj jednak jesteście mi potrzebni. Liczę na was. Jeśli pragnę, kolego Bastard, zastąpić was, to wcale nie dlatego, bym przyrównywać chciał moje zdolności do waszego talentu. Lecz są rzeczy, które, na mocy bolesnego przywileju, ja jeden tylko wyjaśnić mogę przysięgłym.

— Mianowicie?

— To moja tajemnica. Dowiecie się o niej jutro. Sądzę, iż niewymieniając imienia pani Frasne, przekonać zdołam o niewinności mojego syna.

— Przez usunięcie prejudykatu?

— Nie, bezpośrednio.

— Nie rozumiem.

— Zrozumiecie. Jeśli jednak dosłyszycie w głosie moim lub w przemówieniu nutę słabości, jeśli obrona moja będzie się wam zdawać niedość energiczną, polegam wówczas całkowicie na waszej niezrównanej przytomności umysłu. Twarze sędziów są dla was otwartą księgą. Znacie akta równie dobrze, jak i ja, lepiej nawet odemnie. Byli-

ście przygotowani. Pomóżcie mi. Tak wsparty, będę silnym. Wszak, zgoda, kolego?

Piękny adwokat gładził pilnie brodę, pokrywając urazę obojętnością.

— Ależ w jakim celu, kochany kolego? Pomoc moja jest wam zbędną. Niepotrzebujecie nikogo. Odważnie bierzecie na siebie najcięższą i najbardziej zawikłaną odpowiedzialność. Darujcie mi, lecz uważam misję moją za skończoną.

Obaj prawnicy rozmawiali stojąc. Pan Hamel śledził ich z fotelu przy kominku mętnemi od starości oczyma, lecz nie mieszał się do dyskusji.. Pan Roquevillard przystąpił do młodszego kolegi i serdecznym ruchem położył mu rękę na ramieniu:

— Wiem, Bastard, że domagam się od was wielkiej przysługi. Zrozumiecie, że rewindykując dla siebie zaszczyt obrony mojego dziecka, bronić chcę przedewszystkiem naszego nazwiska. Nie umniejszam przez to w niczem ani zasługi waszej, ani kompetencji, ani też niezwykłej wymowy. Na mojem miejscu, zrobilibyście to samo. Dajcie mi ten dowód przyjaźni, bezinteresowności i szacunku. Proszę was o to.

Pan Bastard wciąż nerwowo gładził brodę. Ważył wszystkie za i przeciw, wahał się między tradycją zawodowego pobratymstwa, a urażoną pychą, niechętnie ustępującą na drugi plan. Niemal, że narzucił był pomoc swoją i współdziałanie. Eskontował, jeśli nie uwolnienie klienta, to w każdym bądź razie osobisty sukces wobec sali, przepełnionej elitą miejską, zwłaszcza paniami. Zamiast panować z trybuny jako zwycięzca, w chwale świeżego tryumfu, zasiądzie wobec tej samej publiki w cha-

rakterze pomocnika u boku pana Roquevillarda, groźnego rywala, tak zjadliwie replikującego mu nieraz przed sądem. Czyż wypadało mu przyjąć tak drugorzędną rolę? Skądinąd obecność jego na posiedzeniu istotnie byłaby pożądaną. Nagłym ogarnięty zapałem, ojciec podsądnego łudził się prawdopodobnie co do fascynującej go, a tajemniczej argumentacji, zrodzonej pod wpływem nowego zmartwienia, które podkopać musiało niewątpliwie jego siłę ducha i sprawność umysłu.

Ten sztuczny zapał zgasnąć mógł lada chwila, nagle ustępując miejsca najzupełniejszej, w skutkach opłakanej depresji. Czyż możliwym był skupiony, gwałtowny wysiłek, niezbędny do tego rodzaju obrony, po tak krótkiem przygotowaniu, ze strony człowieka przez los zgnębionego, zrujnowanego, tragicznie pozbawionego w dzień wcześniej starszego syna, a zmuszonego bronić osobiście ostatniego dziecka przed groźbą hańbiącej kary? Wydawało się to wręcz nieprawdopodobnem. Należało tłómaczyć sobie tę nową decyzję jako mistyczny napór bólu i stać w odwodzie aż do końca. Doradzał to rozsądek. Nakazywała troska o obronę, która, u adwokata, górować winna nad wszelką inną troską, a przedewszystkiem nad wszelkim osobistym względem.

Lecz zdumiewająca wobec niebezpieczeństwa pewność siebie pana Roquevillarda powstrzymała ten szlachetny odruch.

— Nie — odparł pan Bastard — nie mogę zadość wam uczynić. Bardzo żałuję, lecz albo wezmę na siebie i utrzymam pełną odpowiedzialność, albo też usunę się całkowicie.

— Idzie o mojego syna. Słusznem jest, bym nie cofał się przed jego obroną.

Pan Hamel powstał z krzesła, żeby zainterweniować.

— Jako przewodniczący Izby, kochany kolego, proszę was usilnie, abyście zechcieli nam dopomóc. Rozumiem wasze wahanie. W każdym innym razie, uznałbym najzupełniej waszą odmowę. Pan Roquevillard musi mieć szczególniejsze powody, skłaniające go do podjęcia się obrony własnego syna, zazwyczaj bowiem obrona osób bliskich powierzana jest obcej pieczy. Złamany nieszczęściem, ufa może zbytnio swoim siłom. Trzeba, abyście stanęli przy nim. Jestto waszym obowiązkiem.

Z chwilą, gdy zamiast pochlebstwa użyto jako argumentu obowiązku, a zamiast perswazji nieomal nakazu, piękny adwokat odrzucił ostatecznie wszelkie skrupuły i zwykłą odzyskując swadę, odparł szorstko:

— Nie, to niemożliwe. Ofiarowałem w pełni moje usługi. Ograniczono je. Zmieniono bez mojej wiedzy plan obrony, ukrywając nadto przedemną decydujący argument. W tych warunkach nie pozostaje mi nic innego jak ustąpić — i ustępuję.

Urażona duma biła mu z oczu. Siląc się na zdawkową uprzejmość, zaproponował panu Roquevillard:

— Może zechcecie, kolego, przejrzeć moje notatki do obrony? Oszczędzi wam to pracy. Są w całości do waszego rozporządzenia.

— Namyślcie się, kolego. Nie opuszczajcie mnie w przededniu bitwy.

— Postanowienie moje jest już powzięte.

— Nieodwołalnie?

— Nieodwołalnie.

Aż do końca rozmowy, pan Roquevillard zachował ten sam dumny spokój, który zaraz na wstępie zbił z tropu jego współkolegów. Mniej od niego pewien nieszkodliwości wyników tego odstępstwa, stary przewodniczący, wbrew szczerej niechęci swojej do pana Bastard, usiłował jeszcze zatrzymać go:

— Błagam was, nie odmawiajcie nam waszej pomocy.

— Niezmiernie żałuję, lecz muszę odmówić.

— Skoro tak — oświadczył z zimną krwią ojciec podsądnego — to poproszę was o akta sprawy, w pierwszym rzędzie o protokół ustalający, o analizę zeznań i o wyrok zaoczny.

Ta obojętność do reszty uraziła adwokata, który nie zamierzał wprawdzie zadośćuczynić naleganiom, lecz który równocześnie — przez czysto ludzką przekorę — niechciał, by obywano się bez niego. Pożegnał obu kolegów ze źle skrywaną irytacją. U wyjścia, gospodarz siłą niemal ujął go za rękę i uścisnął ją, dziękując gorąco za łaskawe zrezygnowanie z obrony. Lecz ten objaw przyjaźni przyjęty został przez pana Bastard jako nowy afront. Pobiegł coprędzej na miasto szkodzić wobec opinji publicznej sprawie Roquevillardów, głosząc niepoczytalność ojca i prawdopodobne skazanie syna.

Po jego odejściu, pan Hamel nie mógł utaić smutku swego, wątpliwości i obaw, wickiem zwiększonych. Czyż dobrowolne wyzbycie się współdziałania najsłynniejszego z pośród miejscowej palestry nie było zbyt nieostrożnem i czy nie przyjdzie drogo nieostrożność tę opłacić? Po co ta nagła decyzja, dezorganizująca w przededniu rozprawy obóz obrony? Uwagi swoje wypowiadał oględnie, lecz

stanowczo, widząc jednak ich bezcelowość, umilkł i po chwili dopiero dodał:

— Moi drodzy, przyszliście niedawno z takim wyrazem natchnienia w twarzy, że pewien byłem, patrząc na was, iż nieusłuchacie nikogo. Skąd wracaliście?

— Z La Vigie — odpowiedział pan Roquevillard, który wysłuchał był cierpliwie wszystkiego. Przemówili do mnie zmarli. Nie chcą, aby szarlatan przeciwstawiał ich zasługi przewinieniu jednego z ich potomków.

— Zmarli?

— Tak, moi zmarli, ci, którzy stworzyli ród i utrzymali go. Oni to będą jutro gwarantami naszej czci. Od pierwszego z rodu aż do mojego starszego syna, iluż z pośród nich oddało życie dla dobra ogółu! Czyżby takie ofiary nie miały być wzięte w rachubę?

Pan Hamel zamyślił się, poczem wstał z krzesła:

— Wierzę w moc duchowej transmisji — i rozumiem was. Lecz czy zrozumieją to przysięgli?

— Muszą zrozumieć — odparł pan domu z taką pewnością, że starzec aż drgnął.

— Dzieje się w was coś — rzekł — co działa i udziela się waszym słuchaczom. Zaiste, lepiej niż ktokolwiek inny obronić zdołacie waszego syna. Macie po temu moc i autorytet. Będę miał zaszczyt towarzyszyć wam jutro. Żegnajcie, nie zabieram wam dłużej czasu.

Otulił chude ramiona w wytarty płaszcz i nagle przyspieszonym krokiem wyszedł z pokoju.

— Małgosiu! — zawołał po jego odejściu pan Roquevillard.

Dziewczyna, czekając w sąsiednim pokoju chwili, kiedy będzie mogła zostać sam na sam z ojcem, natychmiast uchyliła drzwi.

— Jestem.

— Chodź tu, mam z tobą do pomówienia.

Wciągnął ją do gabinetu i pytał spiesznie:

— Widziałaś się z Maurycym?

— Widziałam, ojcze. Płakaliśmy razem.

— Płakaliście?... Ach tak, serce moje rozdarte, a jednak nie płaczę. Dopiero jutro wieczorem będę mógł płakać dowoli. Dotąd nie wolno mi uronić ani jednej łzy.

Jakkolwiek nieco przestraszona egzaltacją bijącą z odmłodzonej nagle, ukochanej twarzy ojcowskiej, na której śledziła tyle razy okrutne piętno przeżytych nieszczęść, Małgorzata niemniej skorzystała zeń niezwłocznie, by dokonać dzieła pojednania.

— Ojcze, Maurycy błaga cię o dawne miejsce w twojem sercu.

— Nigdy go nie utracił.

— Wiedziałam o tem. Czy przebaczasz mu?

— Dawno już przebaczyłem.

— Ah!

— W dniu jego powrotu. Czyżbyś zwątpiła o twoim ojcu, córuchno?

— O nie. Ale dlaczego nie powiedziałeś mu tego?

— Nie prosił o to.

— Więc błaga cię teraz i prosi, byś zechciał pokierować jego obroną jak zechcesz, bez zastrzeżeń. Wie, iż ocalisz jego cześć.

— Bez zastrzeżeń! Już zapóźno.

— Dlaczego zapóźno?

— Bo wyzbyłem się Bastarda, jego obrońcy.

— Któż więc będzie go bronił?

— Ja.

— Ah! — zawołała Małgorzata, padając ojcu w objęcia. — Przestałam już nawet o tem marzyć. Było to mojem najgorętszem pragnieniem.

Pochłonięty nowym, a naglącym obowiązkiem, pan Roquevillard przytulił córkę do serca, mówiąc:

— Zawsze ufałaś mi, maleńka. Idź teraz, przynieś mi djarjusze rodzinne, wszystkie, od najstarszych.

Podczas krótkiej jej nieobecności, otrzymał akta sprawy, odesłane w myśl obietnicy przez pana Bastard, rozłożył je, przejrzał i rzucił okiem na zegar:

— Dochodzi szósta. Czy aby zdążę?

Patrzył ze smutkiem na pokaźny stos zeszytów, przyniesionych w kilku partjach przez Małgorzatę.

— Oto wszystkie, ojcze. Dużo ich i bardzo są stare...

W zeszytach tych mieściło się pięćset lat honoru i uczciwej, nieskalanej pracy.

Podała ojcu ostatnią z rzędu, mniejszych rozmiarów książkę.

— Streściłam tu — rzekła, nieco zarumieniona — dzieje naszej rodziny, ważniejsze fakty, w szczególności usługi oddane ojczyźnie. Jestto rodzaj skrótu, o charakterze raczej publicznym.

— Czy przeczuwałaś, że będzie nam kiedy potrzebny?

— Nie, ojcze. Pisałam to w ciągu zeszłej zimy, jako pewien rodzaj protestu przeciwko ogólnej niechęci. Czytywałam urywki mamie, która potakiwała mi z łóżka.

— I przygotowałaś obronę Maurycego.

— Tem?

— Tak. Teraz idź już, dziecko. Biorę się do pracy.

Lecz gdy odchodziła, przywołał ją z powrotem.

— Małgosiu, chcę spytać cię jeszcze o coś.

Zawróciła z miejsca. Nim zaczął mówić, ogarnął ją tem ojcowskiem spojrzeniem, które daje, zamiast brać i osłania zamiast pożądać — i zauważył zarówno bladość jej słodkiej twarzy, jak świetlany spokój i nieziemską ciszę wyrazu.

— Spotkałem, wracając, Rajmunda Bercy. Stał w bramie nieruchomo, pogrążony w myślach, widocznie wzburzony. Ukłonił mi się, ruszył ku mnie, jak gdyby chcąc coś powiedzieć, lecz nim się zdecydował, przeszedłem już mimo.

— Był tutaj — odparła, żadnego nie zdradzając wzruszenia.

— Tak? Czego chciał?

— Towarzyszyć ci jutro na rozprawie.

— Też pomysł. W jakim niby charakterze?

— Jako syn.

— Jako syn? Prosił cię więc o rękę?

— Tak.

— I nic mi nie powiedziałaś! Bóg zmiłował się nad nami, Małgosiu. Wejrzał na nadmiar naszej niedoli. Rajmund postąpił szlachetnie. Nie czekał na publiczne

zmycie wszelkiej zmazy z naszego imienia. Co mu odpowiedziałaś?

— Odmówiłam.

Pan Roquevillard drgnął ze zdumienia i czule obejmując córkę, zajrzał w głąb wielkich przejrzystych oczu.

— Odmówiłaś? A dlaczego? Rozumiem: ze względu na mnie. Poświęcasz się dla ojca. Lecz ojciec twój nie chce takiej ofiary, kochanie. Mówiłem ci to nieraz: że rodzice podporządkowują swoje życie dzieciom, to jest naturalny bieg rzeczy, lecz nigdy na odwrót.

— Ojcze, kocham cię bardzo. Wiesz o tem. Mylisz się, jednak — przysięgam ci.

— Nie dla mnie?

— Nie, ojcze.

Ciemne oczy dziewczyny siały przedziwny, świetlany blask, opromieniający mizerną twarzyczkę. Po blasku tym odgadł decyzję córki. Odgadywał już raz to samo, przed laty. Bóg odbierał mu dzieci jedno po drugiem. Skąd w ich duszach ten wiecznie żywy płomień poświęcenia i samozaparcia? Czyż nie należało dopatrywać się w tych kolejnych ofiarach Bogu odkupienia za grzechy winowajcy? Jasno stanął mu w pamięci ów słoneczny letni poranek, gdy ścigał wzrokiem statek, uwożący do Chin Felicję — i mocniej przygarnął do drżącego serca najmłodsze, ukochane dziecko.

— I ty także — szepnął cicho.

Objęła go rękami za szyję i zwierzyła mu się wśród pocałunków:

— Nie teraz, ojcze.

— Gdy mnie nie stanie?

— Tak.

Trzymał ją przytuloną, jak małe dziecko, jak niegdyś, za minionych lat, gdy ostrożnie brał niemowlę za ręce. Czując, jak bardzo jest mu sercem oddana, namyślał się i wahał z przyjęciem zwłoki podyktowanej najszczerszą miłością dziecięcą. Lecz wprost niego, duże lustro odbijało wyraźnie grupę, jaką tworzyli z córką. Jednym rzutem oka stwierdził ogromną zmianę, zaszłą w nim od roku.

„Jutro — myślał — oswobodzę Maurycego. Zadanie moje będzie skończone. Później zaś to już niedługo spocznę w grobie".

I przywarł ustami na znak zgody do ukochanej twarzyczki. Poczem, do głównego wracając zadania i głównej troski, otrząsnął się z rozrzewnienia i wydał ostatnie bojowe dyspozycje.

— Każ podać obiad o ósmej. Mam przed sobą blisko dwie godziny czasu, właśnie dość, by uprzytomnić sobie szczegóły tych znanych mi zresztą aktów. Położę się spać o dziewiątej, a wstanę o trzeciej. Od trzeciej do dziewiątej, do rozpoczęcia obrad, przygotuję obronę.

— Dobrze, ojcze. Przyszedł z Lyonu list od Germaine'y. Sercem jest z nami.

— Przeczytasz mi go przy obiedzie.

— Karol przyjeżdża jutro o pierwszej po południu. Nie może wcześniej.

— Wiedziałem, że przyjedzie.

— Idę już, ojcze.

Gdy drzwi zamknęły się za Małgorzatą, wziął z biurka fotografję Huberta i długo patrzył na nią.

„Przebacz mi — mówił doń w duszy — że myślę li tylko o twoim bracie. Nie sądź, żem o tobie zapomniał. Widzisz, że nie mogę inaczej. Jutro będę cię przyzywał, żalił się, płakał po tobie. Jutro będę wyłącznie tobie oddany. Dziś należę do całego rodu, do wszystkich Roquevillardów.

Ostrożnie postawił fotografję na miejscu — i naginając ból swój do nieodzownej konieczności, zasiadł do pracy.

* * *

## VII

## JANKA SASSENAY

Posłuszna żądaniu ojca, Małgorzata Roquevillard zeznawała jako świadek w sprawie pieniędzy przeznaczonych na jej wyprawę, a danych przez nią Maurycemu, w dniu wyjazdu jego do Włoch, oraz w sprawie czeku przesłanego mu do Orta; poczem wróciła coprędzej do domu, jak gdyby uchodząc przed rozgłosem własnej wspaniałomyślności. Zeznanie to było niewątpliwie ważnym przyczynkiem do obrony podsądnego i wyrzucała sobie teraz nieśmiałość swoich odpowiedzi. Odważna w duszy, nie umiała uzewnętrznić się wobec publiczności. Potępiała swoją skromność jako tchórzostwo, w obawie, że nieśmiałością sama zatarła w zeznaniu wrażenie prawdy.

Co działo się w sali posiedzeń przed jej wprowadzeniem i po jej wyjściu, czy też raczej ucieczce? Nie wiedziała o tem zgoła nic, lecz wyniosła z krótkiego kontaktu ze sprawiedliwością lęk, którego nie mogła opanować. Zamknięta wraz z resztą świadków, słyszała, jak woźny wywoływał ich kolejno i jak znikali jeden po drugim, dziadek Stefan i stryjenka Kamilowa jako ostatni z rzędu. I ją wprowadzono wreszcie na salę. Drżąc, jak debiu-

tantka, wypchnięta na scenę, ujrzała przed sobą — na dole i w lożach, na balkonie i na galerji — mnóstwo oczu badawczych, ciekawych, do głębi przenikających. To zebrane tam całe Chambéry śledziło bezlitośnie dziewczęcą trwogę, tak, jak chciwie śledzić będzie niebawem agonję rodu. Stawiono ją wobec trzech sędziów w czerwonych togach. Z boku widniały ławy przysięgłych. Zdawało jej się, że padnie, wymawiając swoje nazwisko, gdy wtem usłyszała głos ojca. Ten piękny, dobrze znany, dźwięczny głos, o ciepłem brzmieniu, natychmiast dodał jej siły i otuchy. Adwokat stał obok Maurycego, tak spokojny, że i ona uspokoiła się odrazu. Dyktował jasną, a zwięzłą formułę pytania. Odpowiedziała nieledwie że szeptem i uciekła, jak ucieka w gąszcz ścigana zwierzyna.

„Ojciec nie będzie ze mnie zadowolony — biadała w duszy. — Jak on panuje nad sobą! I jakie budzi poszanowanie! Wstawał dwukrotnie i za każdym razem wyczułam na sali głębszą ciszę. Oczy jego płonęły. Wydawał się zupełnie młodym. On jest naszą siłą".

O wpół do pierwszej, pan Roquevillard wpadł na śniadanie.

— Podaj prędko, Melanjo — wołał od progu. — Pilno mi.

Głęboka zmarszczka na czole, przenikliwy, trudny do zniesienia wzrok i ściągnięte mięśnie twarzy nadawały mu — jak niegdyś — wygląd nieustraszonego bojownika. Ostatnie niedospane noce, świeża żałoba, niepokój — starcze poorały bruzdy. Lecz potężna wola odpierała chwilowo potrójny napór wieku, znużenia i bólu.

— I cóż, ojcze? — spytała błagalnie Małgorzata.

Uspokoił ją paru słowy:

— Posiedzenie zaczyna się znów o drugiej.

— To jeszcze nie koniec?

— O, nie.

— Jak się odbyło?

— Nie widziałaś sama, córeczko?

— Nie, ojcze, uciekłam zaraz. Powiedz mi wszystko. Patrz: jeszcze cała drżę.

— Nie bój się, Małgosiu. Ufaj.

Przy stole, jedząc szybko i bez apetytu, zdał jej sprawę z obrad.

— Niewiele pewno zrozumiałaś z przedwstępnych formalności: zaprzysiężenia przysięgłych i świadków, uznania lub odrzucenia niektórych świadków, oraz powoływania ich przed sąd?

— Byłam na sali, nieopodal ciebie, ojcze. Gdy wywołano moje nazwisko, wstałam i poszłam za woźnym do pokoju, w którym siedział już dziadek Stefan i ciotka Teresa.

— Sala świadków. Po odczytaniu aktu oskarżenia, protokółu komisarza policji, stwierdzającego kradzież stu tysięcy franków, oraz zeznań Maurycego, który mieni się niewinnym, odmawiając wszelako, mimo nacisku ze strony przewodniczącego, jakichkolwiek wskazówek przeciwko komukolwiek — zawezwano świadków. Z pośród świadków Frasne'a, najbardziej obciążającym jest starszy jego dependent, Philippeaux. Nierozumiem wcale przyczyn nienawiści tego człowieka, niemniej zeznaje on możliwie wrogo, z widoczną niechęcią oczernia, kompromituje, usiłuje przedstawić w świetle niezbitych dowodów poszlaki zmyślone, lub też złośliwie komentowane.

— Jakie poszlaki?

— Znajomość sumy deponowanej w kasie, możliwe, choć nie dowiedzione wykrycie w notatniku tajnej cyfry, spóźniona bytność w kancelarji w dniu kradzieży, brak osobistych środków, wyjazd zagranicę, niemożność znalezienia innego winowajcy itd. Inni dependenci powtórzyli to samo, jak wyuczoną na pamięć lekcję, lecz z mniejszym naciskiem. Wreszcie, niewątpliwie podmówiona, dawna pokojówka pani Frasne zeznała, że pani jej nigdy nie zaglądała do kancelarji pod nieobecność rejenta. Czegóż to dowodzi? Wszak pani Frasne nie zwołała całego personelu do asysty przy zabieraniu z kasy pieniędzy?... Lecz mnie również nie przystoi oskarżać jej.

— Przecież Maurycy już się temu nie sprzeciwia!

— Nie uczynię tego. Zapłaciliśmy za niego okup: niechaj ona zatrzyma te pieniądze i nigdy tu nie wraca... W dowód, że Maurycy wyjechał z pewnym zasobem pieniężnym, prócz ciebie, powołałem na świadków obrony stryja Stefana i bratową moją Teresę, urzędnika z Towarzystwa Kredytowego, który wydał ci w końcu października bieżącego roku na imię Maurycego czek na ośm tysięcy franków, płatny w Medjolańskim Banku Międzynarodowym, wreszcie rejenta Doudan.

— A jego po co?

— Aby zaświadczył prawdziwość wypłaty stu tysięcy franków, złożonych na jego ręce dla pana Frasne, oraz ujawnił nazwisko istotnego nabywcy La Vigie. Po naradzie z panem Latache, przewodniczącym Izby notarjalnej, prezes sądu zwolnił go z zawodowej tajemnicy, wobec czego musiał ujawnić przysięgłym owocną spekulację pana Frasne.

— Więc to pan Frasne dla siebie kupił La Vigie, by osiedlić się tam po nas?

— Nie wiedziałaś o tem?

— Nie mogłam w to uwierzyć. Wogóle nie rozumiem wielu rzeczy. Już w zeszłym roku, podczas winobrania, wtykał nos wszędzie, we wszystkie kąty.

— Tak, córuchno. On to zastąpi Roquevillardów i podtrzyma tradycję. Wszystko za darmo.

Wracając do opowiadania po tym odruchu goryczy, ciągnął dalej:

— O jedenastej zabrał głos jego adwokat.

— Któż to taki?

— Niejaki Porterieux, z Lyonu. Nikt z pośród naszych adwokatów nie chciał stawać w jego imieniu.

— Ze względu na ciebie?

— Prawdopodobnie.

— I cóż ośmielił się powiedzieć?

— Jest to zręczny, chytry, chłodny i wyrachowany jegomość. Zaczął od skreślenia rozmyślnie zeszpeconej sylwetki Maurycego. Zrobił zeń nowoczesnego młodzieńca bez żadnych zgoła hamulców duchowych, wyznawcę praw jednostki, dążącego za wszelką cenę do rozwoju swojej osobowości, wroga wszelkiej współpracy w społeczeństwie zorganizowanem, słowem jednego z tych intelektualistów anarchji, zdolnych do wcielania w czyn myśli swoich i teorji. „Spytajcie — dodał — kolegów jego i przyjaciół. Nie będą mogli zaprzeczyć, że w rozmowach bezustannie krytykował i burzył ustalony porządek rzeczy, że odnosił się z uwielbieniem do szkodliwych zasad pewnego filozofa niemieckiego, dla którego wyższy typ ludzki, nad-

człowiek, buduje własną siłę na ruinie i na cierpieniu maluczkich, ubogich i słabych. Nie tajnem jest nikomu w Chambéry, że żył w niezgodzie z ojcem, którego władzę niechętnie znosił".

— Powiedział to? — zawołała z oburzeniem Małgorzata.

— Tak, i wszystko co mówił utrzymane było w tym tonie. Ja sam, my wszyscy posłużyliśmy mu za argument; podsądny nie może bowiem powoływać się na okoliczności łagodzące złego wychowania, braku wykształcenia, złych przykładów, lub nieszczęśliwego dzieciństwa jako przyczynku do spaczenia charakteru. Pomijam już uwiedzenie pani Frasne, dokonane z premedytacją i wyrachowaniem.

— Z wyrachowaniem?

— Tak. Pod wpływem moralnego nihilizmu, Maurycy pożądał równocześnie bez żadnych skrupułów kobiety i pieniędzy. Ustaliwszy w ten sposób, lub też sądząc, iż ustala prawdopodobieństwo nadużycia zaufania, pan Porterieux przystąpił do oskarżenia i do tego, czego nie lękał się nazwać dowodami rzeczowemi. Pani Frasne godzi się na wyjazd. Mąż jest nieobecny, dzień sprzyjający, pora jak gdyby wybrana. Nie posiadając żadnych funduszów osobistych, kochanek musi znaleźć odpowiednie środki. Wie o depozycie, pochodzącym ze sprzedaży Belvade, wykrył w notatniku tajną cyfrę od kasy, z rąk starszego kolegi otrzymuje klucze, pod pozorem pisania listów zostaje sam w kancelarji, wyjmuje z kasy pieniądze i ucieka zagranicę wraz z metresą. Nietylko, że jest winien, lecz nikt inny nie może być winowajcą.

— A pani Frasne?

— Pani Frasne? Niechaj oskarży ją, niech ośmieli się ją oskarżyć! Milczał podczas śledztwa, milczy na rozprawie. „Podsądny nie próbuje nawet czynić pani Frasne żadnych zarzutów", zakonkludował mówca, nieopatrznie być może uwiadomiony przez Bastarda o wspaniałomyślnym uporze Maurycego — „i to milczenie, które równa się przyznaniu do winy, potępia go".

Ze stołowego pokoju przeszli oboje do gabinetu. W tem gorącem, a jednak bezstronnem sprawozdaniu z przemówienia strony przeciwnej, Małgorzata wyczuła oburzenie i rozpacz ojcowską i lęk ogarnął jej serce.

— Ojcze — szepnęła — czyż nie wszystko jeszcze stracone? Masz jeszcze jaką nadzieję?

— Czy mam!!

— Kiedy będzie koniec?

— O drugiej, czyli za czterdzieści minut, pan Porterieux ponownie zabiera głos.

— Czyż mało mu jeszcze naszej krzywdy?

— Widocznie... pozostaje mu do rozwinięcia jako najmocniejszy atut ostatni argument.

— Jaki?

— Nowe przyznanie się do winy, wynikłe — jego zdaniem — ze zwrotu stu tysięcy franków. Sądzę, iż przed trzecią przyjdzie kolej na mnie. O czwartej lub wpół do piątej będzie już po wszystkiem.

Dodał z pozornym spokojem:

— Pociąg z Lyonu przychodzi o pierwszej. Karol powinien tu już być.

Istotnie, Marcellaz zjawił się wkrótce.

— Co słychać, ojcze? — zagadnął wchodząc. — Germaine płakała dziś rano przy pożegnaniu, a malcy płakali za nią. Wczorajszy telegram tak nas zmartwił! Biedny Hubert!

— Czekałem na ciebie, Karolu. Twoje miejsce przy mnie. Małgorzata opowie ci wszystko podczas śniadania. Idźcie teraz. Bądź gotów pięć minut przed drugą.

— Dobrze. Jeszcze słówko: poczyniłem już kroki do zwrotu połowy posagu Germaine'y. Resztę oddam później.

Mówił to opryskliwie, jak człowiek nieprzyzwyczajony do świadczenia drugim i który czyni to pokryjomu. On również poczuwał się do solidarności rodzinnej, lecz, że rozum jego protestował do końca, przeto nie chciał uznać własnej porażki.

— Odmawiam, mój synu — odparł pan Roquevillard.

I bardziej wzruszony tą pomocą, aniżeli wszystkimi atakami przeciwników, które gotował się odeprzeć, dodał:

— Uściskaj mnie.

Nieszczęście zacieśniało tedy węzły rodzinne.

W ciszy gabinetu, stary adwokat zebrał pokrótce w jedno wszystkie argumenty swojej obrony. Sprawozdanie, jakie złożył córce pod wpływem nerwowego podniecenia, było dlań wyładowaniem bolesnych uczuć, które miotały nim od rana: wstydu i oburzenia za nikczemne zarzuty, stawiane Maurycemu. Nerwy jego ucichły, gniew opadł, jak morze, gdy wiatr przywaruje. Odprowadzając ojca do drzwi, Małgorzata zauważyła, że jest spokojniejszy i że oczy jego sieją ten sam pogodny blask, jakim promieniały poprzedniego dnia, po powrocie z La Vigie.

— Do wieczora, ojcze. Niechaj cię Bóg prowadzi.

Z progu już, odparł szybko:

— Do wieczora, córuchno... z Maurycym...

Zaledwie Małgorzata zamknęła się w swoim pokoju, by szukać otuchy w modlitwie, gdy zadzwoniła Janka Sassenay.

— Panienka w domu?

Bardziej przezorna i nieustępliwa od czasu bytności Rajmunda Bercy, służąca uchyliła stanowczo niewczesne pytanie:

— Panienka zmęczona. Nie przyjmuje nikogo.

— Mniejsza o to. Wchodzę mimo wszystko.

I nim wystraszona pokojówka zdołała zagrodzić jej drogę, pobiegła wzdłuż korytarza aż do drzwi pokoju przyjaciółki, zapukała, weszła i rzuciła się w objęcia Małgorzaty.

— To ja. Niech mnie pani nie odpycha. Melanja nic temu nie winna.

— Ty, Janko? W jakim celu?

— Bo jesteś sama i cierpisz. Będę mówić „ty" — dobrze? Różne baby poszły na posiedzenie tak, jak gdyby szły na majówkę. Pomyślałam wówczas, że moje miejsce tu, przy pani, przy tobie. Kocham cię bardzo.

Małgorzata pogłaskała delikatnie różany policzek dziewczęcia.

— Dobra jesteś!

— Wcale nie. Ale tyle mam dla ciebie przyjaźni... Podziwiałam cię już jako dziecko. Tak bym chciała być choć trochę do ciebie podobna!

Nagle zmieniając temat rozmowy, zwierzyła się tajemniczo:

— Wyobraź sobie, że postroiły się wszystkie jak do teatru.

— Kto taki?

— Te baby.

— Tak — zauważyła z goryczą panna Roquevillard — Nielada przedstawienie: gra o honor rodziny.

Janka Sassenay ujęła ją za rękę:

— Ja tam wcale nie jestem niespokojna.

Kaznodziejskim tonem rozstrzygnęła sprawę:

— W rezultacie, jakiż jest najcięższy zarzut stawiany twojemu bratu? Że porwał kobietę? Toć to głupstwo.

Mimo smutku, Małgorzata nie mogła powstrzymać się od śmiechu, co zachęciło jej towarzyszkę.

— Kobieta nie paczka, żeby ją wywieźć bez jej zgody. Gdyby kto chciał mnie porwać, tobym gryzła, drapała, biła niemiłosiernie... Chyba żebym uciekła z nim z dobrej woli.

— Co też ty wygadujesz, Janko!

— Nikt nie wie, co go czeka. Kto kocha, ten zdolny jest do wszystkiego. Miłość to straszna rzecz!

— Co ty możesz o tem wiedzieć?

— Dlaczego nie? Nie jestem już przecież dzieckiem.

Panna Sassenay poprawiła na głowie przekrzywiony kapelusz, przygładziła zwichrzone płowe loczki nad czołem i kryjąc nagły rumieniec pod pozorami obojętności, zapytała:

— On już chyba nie kocha tej paskudnej baby?

— Maurycy? Nie sądzę.

— Jesteś tego pewna?

— Nigdy o niej nie wspomina.

— Nie widziano jej odtąd?

— Nie.

— To i lepiej. Niecierpię tego babsztyla. Przedewszystkiem wcale nie jest taka piękna. Ma piękne oczy — to prawda, ale też zawraca niemi bez ustanku. Ciągłe uśmiechy i oczkowanie i miny i kręcenie głową i wdzięczne wygięcie szyi i prężenie ramion i kołysanie biodrami...

Chodząc po pokoju, przedrzeźniała chód i ruchy pani Frasne i stałe jej podniecenie, zdradzające wewnętrzny niepokój.

— Janko, daj spokój, — upominała ją Małgorzata.

— Nie, nie, jak cię kocham — prawiła na dobre już rozgadana dziewczyna — brunetki nie dorównują blondynkom ani co do cery, ani co do wdzięku. Ty, jako szatynka, łączysz w sobie urok jednych i drugich, ale tobie to jest obojętne... Niecierpię jej jeszcze i dlatego...

— Kogóż znów?

— Wiadomo, pani Frasne... że związana jest z nią jakaś fatalność. Twój brat odpokutował już za to. Cierpi z jej winy. Najlepszy dowód, że go nie kochała. Teraz ona powinna iść do więzienia. Pan Maurycy będzie uniewinniony. Tatuś i mama są za nim. Tatuś trochę mruczał, ale sfukałam go. Chciałabym widzieć takie uniewinnienie: musi być wzruszające. Powinszujesz mu w mojem imieniu.

Szczebiotała wciąż, jednym tchem. Małgorzata przerwała jej łagodnie:

— Chcesz pomodlić się ze mną, Janiu?

— I owszem.

Obie uklękły obok siebie. Lecz zaledwie zaczęły pacierze gdy zapukano do drzwi:

— Poczta — oznajmiła służąca, oddając swojej pani paczkę listów.

— Pozwolisz? — spytała gościa Małgorzata. — Był to zwykle dzień Huberta... O mój Boże! List od niego... Spodziewałam się go potrochu...

Drżącemi rękoma rozdarła kopertę. Z poza grobu, zmarły brał jeszcze udział w rodzinnym dramacie. Mało jest wrażeń równie wstrząsających, jak wieści od tych, którzy już odeszli. Z piersi Małgorzaty, zrezygnowanej dotąd do pozorów spokoju, wydarł się przeciągły, bolesny jęk. Wzruszona do głębi, onieśmielona tym objawem bólu, Janka nie śmiała jej pocieszać. Lecz dzielna panna zapanowała wkrótce nad sobą. Nie pora teraz na łzy, na rozpacz. Czyż ojciec nie świecił jej przykładem?

— Hubercie... — szepnęła.

Namyślała się chwilę, co czynić.

— Muszę... muszę iść zaraz do Pałacu Sprawiedliwości.

— Po co?

— Bo Hubert także pamiętał o nas.

— Hubert?

— Tak. Wiedział, że umrze... Na początku listu próbuje oszukać nas, rozweselić. A potem... pisze... O Boże!... patrz... tutaj... Nie widzę od łez... tutaj... „Gdybym jednak pozostać miał tu na zawsze, z radością oddam życie za cześć naszego imienia, za ocalenie Maurycego...“ Wi-

dzisz sama. Nakazuje mi iść tam, do nich, do ojca, do Maurycego...

Janka wybuchnęła płaczem. Małgorzata kładła już kapelusz i welon.

— Jestem pewna, że list ten będzie ojcu potrzebny. Idę.

Szczególniejsza spójnia łączyła w tej rodzinie zmarłych i żywych, poprzez czas i przestrzeń.

— Idę z tobą — oświadczyła Janka, również zdecydowana.

— Chodź. Będzie mi raźniej z tobą.

Obie panny wyszły spiesznym krokiem, minęły zamek, którego ponury fronton pławił się w słońcu, i w parę minut dotarły krętemi uliczkami do Pałacu Sprawiedliwości.

— Sala posiedzeń? — nieśmiało zapytała Małgorzata stróża.

— Tam, proszę pani, na parterze. Ale sala pełna, nie dostanie się pani.

— Musimy jednak wejść — oświadczyła stanowczo Janka. — Niesiemy obrońcy podsądnego list, ważny dokument.

— Niemożliwe, łaskawe panie. Rozprawa już w toku. Już zapóźno. Kto pani jest?

Małgorzata odrzuciła welon.

— Panna Roquevillard.

— Ha, w takim razie... proszę za mną.

Poruszony dźwiękiem nazwiska, odprowadził je aż do drzwi przeznaczonych dla świadków.

— Pani otworzy tylko. Zaraz wprost jest ława obrońców. Później, albo panie tędy wyjdą, albo też może znajdą sobie wolne miejsca. Proszę tylko nie mówić, że to ja, bo mógłbym mieć nieprzyjemności.

Małgorzata, która szła pierwsza, ujęła ręką za klamkę. Ktoś mówił na sali. Nie był to głos jej ojca. Za temi drzwiami, rozgrywał się teraz los Maurycego, los wszystkich Roquevillardów. Niosła im wraz z listem Huberta ostatnią, niezwalczoną rezerwę.

* *
*

VIII

## GŁOS Z ZAŚWIATÓW

Weszły. Minęło wpół do trzeciej. Zjadliwy i arogancki pan Porterieux kończył swoje przemówienie. W lożach i na sali, tłoczyła się publiczność, inteligencja i prostactwo, chciwa gorącego żeru z serca Roquevillardów, które podawał jej ociekające krwią wytrawny, a okrutny strzelec. Zauważono natychmiast obecność obu panien. Posypały się uwagi i złośliwe docinki.

— Przyszły szukać tu mężów — objaśniał adwokat Coulanges, który wraz z panem Paillet robił w pierwszym rzędzie balkonu honory rozprawy kilku paniom z towarzystwa i uważał, iż obowiązuje go to do mniej lub więcej udatnych dowcipów.

— Także pomysł! — wykrzyknęła z oburzeniem jedna z pań. Patrzcie, patrzcie na tę bezczelność.

Podczas gdy Małgorzata wręczała ojcu list Huberta, Janka, naprzekór całemu miastu, ostentacyjnie zwróciła się ku Maurycemu Roquevillard i wraz z uroczym uśmiechem ręką przesłała mu pozdrowienie.

Niezwłoczną nagrodą za jej odwagę był wyraz wdzięczności opromieniający nagłym blaskiem twarz młodzieńca — twarz wychudłą, w sobie stężałą, jak gdyby zakrzepłą z nakazu woli pod gradem obelg i kalumnij. Ten drobny incydent wywołał już na sali mnóstwo komentarzy. Małgorzata nie dostrzegła niczego. Ona również pozdrowiła brata, lecz bardziej dyskretnie, i szepnęła do ucha przyjaciółce:

— Chodźmy stąd.

— Co to, to nie. Ja zostaję — odparła Janka, zbyt ciekawa przebiegu rozprawy, by odejść przed końcem.

Stanowczym ruchem, pan Roquevillard wskazał im wolne miejsca na ławie świadków. Pozostawiając w cieniu przysięgłych, którzy siedzieli pod światło, przesiane przez szyby, blade, zimowe słońce oświetlało głównie sędziów, adwokata z ramienia ministerjum, obrońców i podsądnego — niczem oświetlenie sceny podczas przedstawienia. Pan Porterieux przemawiał tedy w pełnem świetle. Streszczał właśnie wszystkie poprzednio użyte argumenty. Powtarzał jako pewniki całą listę zebranych poszlak, przeobrażał po raz wtóry w niezbite dowody winy milczenie podsądnego co do pani Frasne i całkowity zwrot stu tysięcy franków na rzecz pana Frasne. W gwałtownych słowach domagał się jako rzeczy należnej, surowego i hańbiącego wyroku na młodzieńca, który stosował w życiu miłość utylitarną, i — nowy Cherubin epoki materjalizmu — nie zawahał się wziąć równocześnie pieniędzy męża i cześć żony. Usiadł, a mowa jego, wypowiedziana z wszystkimi pozorami przejęcia się i oburzenia, wywołała na sali ten nieujęty jak fala, a tajemniczy pogwar tłumu, który zrywa się niewiadomo z czyich ust i ginie niewiadomo gdzie. Całe przemówienie było od początku do końca niczem lot zatrutych

strzał, godzących bezustanku w to samo miejsce. Rzec można, iż poprzez syna celował w ojca, wstydem zmuszonego do restytucji, i dosięgnąć chciał całego rodu, powalonego w błoto wraz z ostatnim swoim potomkiem. Szarpał swoją ofiarę bardziej, niż to było wogóle wskazanem, jak zaciekły wróg, gotów deptać po trupach. Istotnie rejent nie mógł wybrać lepszego rzecznika: trudno byłoby o więcej złości i jadu w jednych ustach. Zwrócony to w stronę syna, to zięcia, pan Roquevillard kilkakrotnie uciszał ich przykładem własnego spokoju wobec burzy.

— Głos ma teraz pan adwokat generalny — oświadczył przewodniczący sądu głosem znudzonym, co znaczyło: „poco ta wtórna gadanina".

Przez ciekawość, prokurator, pan Vallerois usiadł tuż za obrońcą z ramienia rządu, pana Barré, który zajmował fotel ministerjalny. Wychylił się nieco ku przodowi, by szepnąć kilka słów koledze z wydziału śledczego. Lecz ten potrząsnął przecząco głową i poprzestał na oświadczeniu, iż polega na ocenie panów sędziów przysięgłych w sprawie wniesionej na skutek skargi powództwa cywilnego i raz już osądzonej in contumasio.

— Udzielam głosu obronie — oznajmił przewodniczący z widocznem zadowoleniem, że ominęło go choć jedno przemówienie.

Siedzący obok pana Roquevillarda stary pan Hamel, zapytał półgłosem:

— Czy jesteście gotowi?

— Oczywiście. A bo co?

— Mówcie tedy pierwsi. Poprę was w razie potrzeby.

Pan Roquevillard zrozumiał, że starzec, wstrząśnięty napaścią o niepraktykowanych dotąd sposobach działania, skupiał wszystką swoją energję na wypadek, gdyby obrona była obezwładniona przez wzruszenie, drugorzędna jako wartość, lub też niezupełna.

— Dobrze — odrzekł.

Tymczasem na sali rósł szmer półgłosem prowadzonych rozmów, podnosił się jak pył przydrożny za wozem.

— Roquevillardowie — twierdził adwokat Coulanges, zwolennik pana Frasne — nigdy się już nie podźwigną po takich ciosach.

— He! he! — roześmiał się zawsze wesoły pan Paillet. — Czekajmy na replikę ojca, a wówczas biada panu Porterieux.

Nieopodal, prosty człeczyna, bywalec na wszystkich głośniejszych sprawach, po swojemu sformułował wobec sąsiada zasłyszaną wymianę zdań:

— Tak, stary żylasty dziad.

A pan Paillet żartował w dalszym ciągu:

— Zobaczycie, kolego, czy umie jeszcze ugryźć i czy ma ostre zęby.

— Bardzo jest mizerny — zauważyła jakaś współczująca dama.

— Raczej zupełny starzec — sprostował pan Coulanges, poprawiając drobny szczegół przy swoim ubiorze. Dwóch starców nie dorówna jednemu młodemu.

A cała jego postać świadczyła: „zwłaszcza wobec dam" — podczas gdy wskazywał w dół, na obu adwokatów, rozmawiających z sobą nieopodal od pana Bastard, który, gładząc palcami brodę, czyhał na nieodzowne według niego załamanie obrony.

Pan Roquevillard zdjął z głowy biret i wstał. Kolejno, bez pospiechu, spojrzał na córkę i na syna i wyczytał w ich oczach wiarę i ufność. Cisza zapanowała odrazu, głęboka, pełna drżeń nerwowego napięcia, która tamowała oddech w piersiach i tętno serc. Ta szlachetna postać o siwym, niemal śnieżno-białym włosie, ten starzec reprezentujący długi szereg pokoleń o nieskalanej czci, krajowi zasłużonych — i przeszło sześćdziesiąt lat własnej uczciwej pracy, talentu i odwagi wobec życia, był wymownym protestem przeciwko obelgom i niecnym oszczerstwom strony przeciwnej, usiłującej zwalić w ciągu całego przemówienia wiekami utrwaloną chwałę jego rodu: czyż nie próbowano wmówić w audytorjum, że cena La Vigie pokryła zwrot sumy, którą złodziej nie wydał był w całości? Wszyscy Bastardowie świata nie zdołaliby — mimo całej wymowy — zaprotestować tak gorąco i dowodnie, jak protestował ten sprzeciw bez słów.

Zegar na sali wybił trzecią. Adwokat wyprostował się powoli w całej okazałości i stanął w pełnem świetle promieni słonecznych, zbyt nikłych, by razić mogły kogokolwiek. Białe, wysoko sklepione czoło, piękne, przez wiek trochę zgrubiałe, lecz zawsze czyste i szlachetne rysy, szorstki bujny wąs — nadawały mu ten wyraz bojownika i wodza, który darzył patrzących wrażeniem siły i zapału do życia. Tylko płomień jego oczu, niegdyś tak przenikliwy i władczy, jaśniał już nie chęcią zwycięstwa, lecz niezmąconą pogodą.

— Złamany! niech pan spojrzy na niego! — protestowała dama, o względy której ubiegał się pan Coulanges.

— A jednak nie poznaję go — zauważył pan Paillet.

Drżąc od wewnętrznego lęku, Małgorzata i pan Hamel odnajdywali w nim natomiast nieziemską egzaltację, przyniesioną z dziwnej wędrówki do La Vigie. Zaczął stłumionym nieco głosem, co spowodowało ze strony pana Bastard pełną zadowolenia uwagę:

— Stracił głos.

Poczem nagle — jak z poza rozdartej opony — głos zabrzmiał metalicznym dźwiękiem, wydzwonił zbiórkę, zwołał do apelu wszystkich zmarłych, którzy na śnieżnych stokach w mroku tonącego wzgórza składali poprzedniego dnia jego widmową armję. Jak okręt fale morskie — pruł i żłobił to żywe, przygniatające, gromami brzemienne milczenie.

Aby osądzić podsądnego, trzeba znać go — a chcąc poznać, trzeba cofnąć się wstecz, do kolebki jego rodu. Gdyż nierówność losów ludzkich polega na tem, że człowiek przychodzi na świat w takiem lub innem środowisku, z takiego lub innego wywodzi się gniazda, podlega predestynacji, której celowość i owocność odnajduje dopiero w toku życia, wolą i doświadczeniem. „...Wy, którzy zrodzeni jesteście z uczciwych ludzi i sami macie własne ognisko domowe, przed wydaniem wyroku, wysłuchać musicie dziejów rodziny".

Tym chłopom z równin i z gór, którzy zasiadali jako przysięgli i dla których — z przyrodzenia i rozwagi — nie mogła być obojętną opowieść z żywego życia, prosta i prawdziwa — mówił o długim szeregu Roquevillardów, o pierwszym protoplaście kładzącym podwaliny starej chaty, zapuszczającym w głąb ojczystej ziemi korzenie drzewa bytu, o kolejnym wysiłku pokoleń, o krwawym pocie wsiąkłym w wykarczowane pola, o przetrwaniu

wszelkich przeciwności, klęsk, nieurodzajów, częściowej ruiny plonów zniszczonych przez grad lub mróz, o wstrzemięźliwości, która poprzestaje na małem, o oszczędnej gospodarce, która gotuje przyszłość kosztem uciech osobistych i jest równocześnie aktem całkowitego samozaparcia, aktem wiary w potomstwo. Płodne i radosne w słońcu żniw winnice, lasy, pola i sady La Vigie — to praca, zapobiegliwość i wytrzymałość rodu, wyrosłego z ziemi jak smukła, a silna topola. Gdyż uprawna ziemia ma ludzką nieledwie twarz i patrząc na nią, widzimy oblicze naszych przodków. Jakież wyniki dał wszelako zbiorowy trud Roquevillardów? Majątek przeszedł za darmo w ręce ich przeciwnika. Czyżby Roquevillardowie pracowali pięćset lat na ten tylko dar? Nie. Ojcowiznę nabytą trudem i wytrwałą pracą złożyli jako okup za ostatniego z rodu. Któż więc jest poszkodowanym, a któż złodziejem? Za sto tysięcy skradzionych mu franków, pan Frasne otrzymał i przyjął majątek wart dwa razy tyle. Któż wzbogacił się? Kto zbiedniał? W imię zmarłych, składających okup, podsądny powinien być uniewinniony.

Lecz czyż rodzina jest li tylko wielką siłą materjalną, wyrażoną namacalnie w ciągłości rodzinnej spuścizny, a której solidarność każe płacić długi jednych pracą drugich? Czyż nie jest jeszcze czemś więcej, czemś mniej uchwytnem, lecz bardziej świętem: trwałym łańcuchem tradycji, dziedzicznego honoru, uczciwości, odwagi? Pocóż przekazywać życie następnemu pokoleniu, jeśli nie po to, by zapewnić mu równocześnie ramy życia tego godne, poparcie przeszłości, możność dalszego rozwoju? Wszak przekazanie życia jest uznaniem nieśmiertelności. Mówił o czynach publicznych, o zewnętrznej, zawsze użytecznej,

często chlubnej egzystencji Roquevillardów. Jeden z pośród nich, syndyk gminy, zmarł na posterunku w czasie epidemji jako czynny organizator akcji obronnej. Nieco później, w okresie bezładu i zamieszek, inny rządził miastem Chambéry i uratował zagrożony skarb miasta. Inni jeszcze, szanowani od ogółu członkowie Senatu sabaudzkiego, żołnierze polegli w bojach czasu wielkich wojen — wszyscy mieli w piersiach, pod togą czy mundurem, to samo śmiałe i mężne serce, bijące pod chłopską bluzą protoplasty. Ostatni z nich, Hubert, umierając za ojczyznę, zdala od rodziny, na spalonej od żaru, wrogiej ziemi, w przedśmiertnym liście wyraził formalne życzenie całego rodu: „Życie moje daję w ofierze za cześć naszego imienia, za ocalenie mojego brata". Czyż można odrzucić taką ofiarę, zapomnieć całopalenie, składane w ciągu stuleci z cnót rodu, wciąż żywych — jak ognie, wypalające wieczorem pośród pól perz i chwasty?... W ten sposób rzucał na szalę ciężar zasług i szala przechylała się w jego stronę.

Cała armja zmarłych, którzy zeszli byli poprzedniego dnia z La Vigie, by przebyć w mroku dolinę i skupić się pod dębem, na wzgórzu Saint-Cassin, koło swego wodza — defilowała teraz jak na rewji.

Do zasług zmarłych, dołączył zasługi żyjących. Nie pora była na skromność i usuwanie się w cień. Więc Felicja, obsługująca chorych w dalekim szpitalu w Hanoi. Więc obie jej siostry, przekładając z dobrej woli ubóstwo nad najlżejsze chociażby podejrzenie o nieuczciwość. Gdyż suma wypłacona panu Frasne nie była, nie mogła być zarówno dla rodziny podsądnego, jak i dla sędziów, ani zwrotem, ani przyznaniem się do czegokolwiek, lecz li

tylko ostatecznem odsunięciem wszelkiego wspólnictwa, chociażby mimowolnego i nieświadomego.

Nie usprawiedliwiając się niemal wcale, z naciskiem, jak wyrzut niewdzięczności, wymieniał wszystkie oddane usługi. Strona przeciwna nietylko, że przekreśliła je całkowicie, lecz nawet użyła ich jako argumentów obciążających. Rzekoma wina podsądnego wyzyskana została jako atut do zburzenia za jednym zamachem całej tej przeszłości. Natomiast odmawiano niesłusznie winowajcy prawa do obrony. Owóż zasługi rodu są jego tarczą aż po dzień, w którym błędy przeważą na szali i spowodują upadek. A któż ośmielił się twierdzić, że w danym wypadku błędy przeważyły? Tak jest, zmarli — jego zmarli — stanowią moralną gwarancję ostatniego z Roquevillardów, tak jak złożyli zań kaucję materjalną przez sprzedaż La Vigie. Nawet gdyby był winnym, sędziowie nie mogliby go skazać sprawiedliwie.

Lecz czyż może być tu mowa o winie? Jakim cudem potomek tylu uczciwych ludzi wyrodziłby się nagle w złoczyńcę? Gdzież w rezultacie dowody jego winy? Wobec precedensów moralnych, tryskających z rodzinnego jego środowiska jak wartki potok z gór, cóż znaczą nikczemne poszlaki, zrodzone z przypadku, a rozdmuchane przez złośliwą interpretację okoliczności? Klucze od kancelarji: przechodziły wszak z rąk do rąk? Tajna cyfra: jakim sposobem podsądny mógł ją dojrzeć, wyszukać, odgadnąć? Kiedyż zresztą dependent Philippeaux wpisał ją do swego notatnika? Brak środków? Oskarżony zlikwidował wszystkie bez wyjątku, główne i poboczne koszta podróży, bądź to pieniędzmi, które miał przy sobie w dniu wyjazdu, a których rozrachunek ustaliło śledztwo, bądź też pieniędzmi

nadesłanemi do Orta. Wykazywały to przedłożone sądowi rachunki hotelowe. Gdzież więc podziały się owe sto tysięcy franków, skoro wszystkie wydatki zostały pokryte z funduszów dostarczonych przez rodzinę? A jeśli — jak insynuuje to strona przeciwna — podsądny złożył je gdzie w depozycie, pocóż w takim razie wrócił zgłosić się jako więzień natychmiast po uwiadomieniu go o wydanym nań zaocznym wyroku?

Nic zostawało z oskarżenia nic, prócz zemsty, która nie zdołała nawet oprzeć się pokusie zysku. Szczególniejsza sprawa, gdzie okradziony korzysta z łupu rzekomego złodzieja.

Temi słowy zakończył pan Roquevillard swoją obronę:

„Skończyłem, panowie przysięgli. W imieniu wszystkich naszych zmarłych, których długi korowód strzeże zawsze żywej czci naszej, w imieniu ziemi, stopniowo zdobytej i uprawionej trudem pokoleń, a złożonej dziś w dobrowolnej ofierze na ołtarzu tej czci — domagam się od was zwrotu mojego dziecka. Oddajcie mi je nie przez litość, lecz przez poczucie sprawiedliwości, nie przez życzliwą mi decyzję, lecz jednogłośnie. Cały mój ród i ja sam ręczymy za jego niewinność...“

Usiadł. Mówił tylko godzinę. Gdy umilkł spokojny, dźwięczny, silny, lecz zawsze opanowany jego głos — niczem poważna pieśń — cisza trwała dalej na sali, cisza kościelna, niezmącona, uroczysta. Zamiast wybuchu gniewu i goryczy, jakiego należało spodziewać się po znanym z energji starym obrońcy w odpowiedzi na zaprawne żółcią wycieczki pana Porterieux, zamiast oczekiwanego skandalu zarzutów ze strony oskarżonego pod adresem byłej kochanki, usłyszano tę pełną godności obronę, lekce sobie

ważącą zjadliwe obelgi, ufną w moc swojej siły moralnej, do głębi wzruszającą prostotą struktury, jasnej i wyraźnej jak zarysy kamiennych posągów, wobec których cichną żądze i korzą się dusze. I nie zostało wymówione ani razu imię pani Frasne.

Wtem rozbrzmiał nagle okrzyk:

— Niech żyją Roquevillardowie!

To La Fauchois rzucała serce w dani. Wzruszony, opanowany, podbity tłum zerwał tamy milczenia. Sala zatrzęsła się od oklasków.

Podczas gdy przewodniczący uciszał te objawy uznania, które wysadziły z miejsca mocno podrażnionego pana Bastarda, pan Vallerois pochylił się znów ku panu Barré. Po panu Hamel, który nie chciał już mówić, zabrał głos delegat ministerjum, usprawiedliwiając się na wstępie, że korzysta z prawa repliki, choć zaniechał był poprzednio przysługującego mu prawa konkluzji.

— Tak jak i wy, panowie sędziowie — oświadczył, zwracając się do przysięgłych — wysłuchałem obrony pana Roquevillarda. Nie, nie jest winnym ten młodzieniec, którego sądzić będziecie za chwilę. Winowajcy tu niema. A skoro podsądny na tyle był szlachetnym, że go nie wymienił, nie wymienię go również. Ujawnię natomiast zbyt podstępny manewr oskarżyciela, który odstręcza od siebie wszelką sympatję przez użycie osobistych nieszczęść jako środka do zrobienia majątku. Spieszcie więc uwolnić Maurycego Roquevillard, oddajcie go ojcu — chlubie i ozdobie naszej palestry. Jeśli pobłądził w prywatnem życiu, to wolny jest natomiast od wszelkich zarzutów nadużycia zaufania.

Zapadał zmierzch. Sala pogrążała się w skupionych mrokach wieczoru. Po krótkiej naradzie, sąd wydał jednomyślny wyrok uniewinniający.

— Brawo!... — zawołała w głos Janka Sassenay.

— Ojcze — szepnęła cicho Małgorzata — mama byłaby rada....

U wejścia, publiczność, życzliwie nastrojona, wymieniała uwagi i komentarze. Perorując wśród dość licznej grupy, pan Latache poważnie kiwał głową:

— Jest to policzek dla pana Frasne. Po takiej naganie ze strony ministerjum, będzie musiał zwinąć kancelarję i wyjechać stąd.

Odprzeda La Vigie — zauważył pan Paillet.

Dama, eskortowana przez adwokata Coulanges, ucieszyła się tem i by mocniej podrażnić swojego kawalera, co szczególniejszą sprawiało jej przyjemność, rzekła przekornie:

— A mała Sassenay majątek odkupi. Ma duży posag. Zauważył pan przed chwilą jej wdzięczne minki pod adresem podsądnego — tryumfatora? Wyjdzie za niego.

— Nie inaczej — zreasumował nachmurzony pan Coulanges. — Ci Roquevillardowie mieli zawsze szczęście do wszystkiego.

* * *

## IX

## SIŁA ŻYCIA

Dobra wola przewodniczącego sądu przyspieszyła formalności uwolnienia. Podczas gdy tłum, wyszedłszy z sali, gromadził się na dziedzińcu przed Pałacem Sprawiedliwości, by zgotować oskarżonemu i jego obrońcy owację tem burzliwszą, że odczuwano w stosunku do całej rodziny spóźnione wyrzuty sumienia — pan Roquevillard czekał na syna na wewnętrznem podwórzu. Był sam, gdyż Karol Marcellaz poszedł odprowadzić pana Hamel. Po skończonej walce, czuł znużenie i wyczerpanie. Pogrążył się w myślach.

— Ojcze! — zawołał ktoś nieśmiało.

— To ty?!

Zamiast rzucić się sobie w objęcia, stali bez ruchu, jak gdyby zakrzepli. Dość czasem jednego fałszywego gestu, by stworzyć rozdźwięk, wznieść przeszkody. Ojciec czytał w twarzy syna podziw, wdzięczność, cześć synowską; syn widział w twarzy ojca miłość, dobroć oraz wzruszające stygmaty cierpienia i wieku. Obaj zaś trwali w bolesnem nieprzezwyciężonem milczeniu.

Z zewnątrz grzmiały oklaski.

— Chodź! — rzekł szorstko pan Roquevillard.

I pociągnął Maurycego ku wrotom wychodzącym z przeciwnej strony podwórca na publiczny ogród, szczęściem pusty. Przeszli go szybkim krokiem, minęli żelazny mostek na Leysse'ie, mętnie toczącej wody, i bez słowa dotarli do cmentarza.

Cmentarz w Chambéry, położony na wschód od miasta, na skraju obszernej równiny, zakończonej w dali jeziorem Bourget, tuli się do stóp skalitego wzgórza Lémenc, poza którem widnieje Nivolet, o regularnych, tarasowatych stokach. Mrok zasnuł już dolinę i spiął się wzwyż, na wzgórza. Lecz ogniste łuny zachodu gorzały jeszcze na śnieżnym szczycie, którego biel rumieniła się, jak gdyby od napływu krwi. Piękne wieczory zimowe, chłodne i ciche, nagie jak marmur, dają wrażenie niezmiernej czystości.

Maurycy dojrzał w górze, na Lémenc, smukłe kolumienki Kalwarji, to miejsce nieszczęsne, gdzie uległ był pokusie miłości. Ostatni odblask światła zaznaczał ich kontury, poczem wsiąkły powoli w mrok, w szary, jednolity cień wieczoru.

„Jakie to dalekie!“ — pomyślał.

Minęli żelazne, szronem obielone słupy przybramne, poważne jak warta na posterunku. Za kwaterą ubogich, darniowych mogiłek, ledwie widnych z pod śniegu — bieliały podwójnym szeregiem grobowce, krzyże i pomniki.

— Ojcze! wiem dokąd idziemy — szepnął wreszcie Maurycy, myśląc o matce.

— Idziemy do grobów rodzinnych — odparł pan Roquevillard — podziękować zmarłym, którzy cię bronili.

— Toś ty, ojcze, mnie obronił.

— Mówiłem w ich imieniu.

U kresu pielgrzymki poprzez pusty cmentarz, przy grobie poprzedzającym długą katakumbę, pokrytą napisami, klęczała w śniegu smukła, czarna postać.

— Ojcze, to tu. Ktoś tu jest.

— To Małgosia. Wyprzedziła nas.

Dziewczę dosłyszało głuchy chrzęst śniegu pod stopami i odwróciło się. Zapłonione wstało, jak gdyby nie chcąc mącić im rozmowy:

— Przyszłam do mamy, ale już idę.

— Zostań — łagodnie rozkazał ojciec.

Zmierzch ogarniał stoki Nivoletu. Tylko sam szczyt bronił się jeszcze: gorzał kaskadą blasków, złota i czerwieni. Zapłonął po raz ostatni i zgasł. Zwycięski mrok rozpostarł się wszędzie.

Stali wprost olbrzymiej katakumby, na której wyryte było tylko jedno nazwisko, ich własne, lecz niezliczona ilość imion i dat. Giętki bluszcz o wiecznie zielonych liściach oplatał mur i nawpół opadał z góry, jak świeży wieniec.

— Słuchaj — rzekł pan Roquevillard, z tą samą niezmienną pogodą w oczach i twarzy. — Jest noc i jesteśmy na cmentarzu, wśród zmarłych. Nigdzie jednak, w żadnem innem miejscu na ziemi, nie usłyszysz równie mocarnych słów życia. Patrz. Nim do reszty pokryje go mrok — oto krajobraz sercu twemu miły. A tu, spoczywa cały twój ród.

Maurycy przyklęknął z kolei u grobu matki i z myślą o tej, która odeszła bez pożegnania się z nim, o tym, który za niego złożył w ofierze swoje życie — ukrył twarz w dłoniach. Lecz ojciec dotknął jego ramienia i ciągnął dalej:

— Dziecko moje, jestem już teraz starcem. Wkrótce zajmiesz moje miejsce. Trzeba byś wysłuchał mnie w tym dniu uroczystym, w którym obowiązek nakazuje mi przemówić do ciebie. Tu, na cmentarzu, masz obraz tego co jedynie trwałe. Kult zmarłych jest treścią nieśmiertelności naszych przeznaczeń. Czemżeż byłoby życie ludzkie, czem własne moje istnienie, gdyby przyszłość i przeszłość nie nadawały mu prawdziwej wartości? Zapomniałeś o tem w pogoni za osobistą dolą. Tylko w służbie tkwi piękno i wielkość przeznaczeń jednostki: w służbie rodziny, ojczyzny, Boga, sztuki, wiedzy, ideału. Hańba temu, kto służy tylko sobie! W nas była siła twoja, lecz równocześnie i twoja zależność. Podporządkowanie się karności uszlachetnia człowieka, stanowi o jego czci.

Maurycy wstał z klęczek i spojrzał ze smutkiem ku Kalwarji na Lémenc.

„A miłość?“ — pomyślał.

Ojciec zrozumiał:

— Nikłą jest nieraz granica między uczciwym a nieuczciwym człowiekiem. Miłość ją burzy. Rodzina ją utrwala. A jednak, mimo wszystko, Maurycy, nie potępię miłości, jeśli zdołasz przeniknąć jej istotę. Miłość jest naszem westchnieniem wzwyż. Zachowaj to westchnienie w sercu. Ono do ciebie należy. Odnajdziesz je wobec wzniosłych czynów, wobec przyrody, w poddaniu się władzy swoich przeznaczeń bez lęku i bez słabości. Nie daj

mu zboczyć na manowce. Już nigdy. Nim pokochasz -- pomyśl o matce, o siostrach, o szczęściu, jakiem Bóg obdarzy cię może, dając ci córkę. Gdyś przyszedł na świat, cieszyłem się tak samo, jak w dniu urodzin sióstr twoich i brata. Strzegłem cię ze wszystkich sił. A gdy umrę, śmierć moja będzie dla ciebie jak gdyby rozsypującym się w gruz murem i staniesz oko w oko z życiem. Wówczas zrozumiesz mnie lepiej.

— Ojcze — szepnął ze łzami Maurycy -- przebacz mi. Nie będę niegodnym ciebie.

— Dziecko moje! — odpowiedział z prostotą pan Roquevillard.

Widząc ich nareszcie uściskiem zespolonych, Małgorzata pomyślała, że spełnione oto życzenie matki.

Na ciemniejącym nieboskłonie zabłysła od strony La Vigie pierwsza gwiazda. Tuląc do serca odzyskanego syna, ostatniego, jedynego syna, pan Roquevillard patrzył na nią jak na znak nadziei. I wśród mrocznego cmentarza, dokąd przyszedł nawiedzić z podzięką swoich zmarłych, choć sam zagrożony na zdrowiu, stary wódz rodziny uczynił gorący akt wiary w życie.

KONIEC